

PAMFLET KRZYSZTOFA MASŁONIA



Adam Michnik i Jerzy Urban
- miłość z odzysku



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/391 14-20 WRZEŚNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Jak LGBT wykańcza
amerykańskie Oscary

ZYCHOWICZ
O NIEUDANEJ
BERLIŃSKIEJ MISJI
GERMANOFILA
STUDNICKIEGO



Polacy na Białorusi
wychodzą z podziemia



Była premier Beata Szydło w rozmowie z „Do Rzeczy”:

WOBEĆ WŁASNYCH WYBORCÓW ZAWSZE TRZEBA BYĆ FAIR

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 58 000 egzemplarzy

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Realizm i tragizm polityki

Jak co roku we wrześniu wraca dyskusja o przyczynach klęski Polski w wojnie wywołanej przez Hitlera w 1939 r. Różnica polega na tym, że za sprawą głównie publikacji Piotra Zychowicza (fragment jego ostatniej książki „Do Rzeczy” publikuje w tym numerze) systematycznie rośnie grupa publicystów i historyków uznających, że właściwym rozwiązaniem, lepszym dla Polski niż pakt z państwami Zachodu, Wielką Brytanią i Francją, był sojusz z wodzem III Rzeszy. Czy mają oni rację? I czy warto wciąż wracać do tej fatalnej historii?

Nie mam wątpliwości, że taka debata jest potrzebna. Jeśli historia ma być nauczycielką dla współczesnych, to trzeba ją właściwie rozumieć. To zaś oznacza także badanie, niekiedy bolesne, motywów, możliwych scenariuszy, wreszcie słabości bohaterów. Niektórzy uważają, że w ogóle zadawanie pytań o słuszność polskich wyborów w 1939 r. to niepotrzebne fantasmagorie, szukanie dziury w całym, kwestionowanie wielkości narodu, oddawanie pola wrogom, wręcz służba obcym interesom. Nawet jeśli emocjonalnie można taką postawę zrozumieć – Polacy przetrwali komunizm w dużym

stopniu dzięki silnej wierze w sens ofiary – to dzisiaj debata na temat przyczyn katastrofy powinna być całkiem otwarta.

Jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tej dyskusji – powtarzam, jak najbardziej uprawnionej – również druga strona, niech będzie realistyczna, popełnia podobne błędy, jakie zarzuca swoim oponentom. Przede wszystkim historyk nie jest konstruktorem rzeczywistości, ale jej badaczem. O ile może zatem wskazać faktyczne błędy aktorów na scenie dziejów – wie bowiem, jakie ich decyzje przyniosły skutki – o tyle nie może z równym prawdopodobieństwem przewidzieć, czy inne decyzje nie przyniosłyby podobnych albo jeszcze bardziej fatalnych konsekwencji.

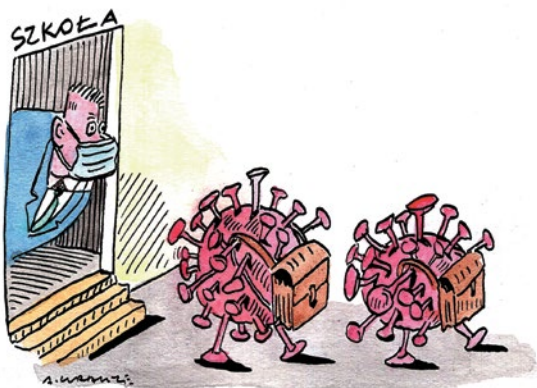
Otóż Polska w 1939 r. stanęła przed wyborem prawdziwie tragicznym. Nie, jak chcą tego realisci, przed wyborem między prostym dyktatem zdrowego rozsądku a romantyczną tromtadacją, ale przed wyborem między złem a złem. Sojusz z wodzem III Rzeszy zakładał spełnienie jego ultimatum. Skąd pewność, że uchroniłoby to Polskę przed kolejnymi roszczeniami? Los Czechosłowacji mówi sam za siebie. A może rozzuchwalony uległością Warszawy w sprawie Gdańska i korytarza Berlin zaraz potem przedstawiłby kolejne? Na przykład odzyskanie Śląska? Albo Wielkopolski? Czy zgoda na – niech będzie – umiarkowane ograniczenie suwerenności państwa nie musi prowadzić do kolejnych zgód i kompromisów?

Dalej: Skąd pewność, czy sojusz z Hitlerem, nawet gdyby doprowadził do klęski Rosji sowieckiej, nie przyniósłby Polsce takiego samego losu jak wojna z nim? Chyba że zakładamy, iż w ramach porozumienia Polacy sami dokonaliby tych zbrodni, które popełnili Niemcy. Można mnożyć takie

pytania. Tym, co najważniejsze, jest pewien całkowicie „nierealistyczny” błąd popełniany przez realistów: rozważając opcje sojuszu z Hitlerem, traktuje się go, jakby był politykiem racjonalnym, i na tym buduje się dalsze wizje. Te są spójne i logiczne pod warunkiem, że logiczne i spójne jest założenie. Tyle że to założenie jest z gruntu nierealistyczne i niespójne, co najlepiej pokazała kampania Hitlera przeciw Rosji sowieckiej przegrana przez niego właśnie z powodu szaleństwa i zbrodniczej obsesji.

Dlatego kiedy historyk opisuje nie to, co się wydarzyło, ale to, co mogło się być wydarzyć, może jedynie przewidywać i spekulować, co oznacza, że wypowiedane przez siebie sądy powinien zawsze traktować z daleko idącą ostrożnością. To, co hipotetyczne, nie może być tak pewne jak to, co się faktycznie stało. Chyba że nie mamy do czynienia z badaniem historii, ale z powieściopisarstwem – tu historia alternatywna może być bardziej prawdziwa niż ta, która naprawdę się dokonała. Otóż tej świadomości własnych granic, tego poczucia pokory wobec rzeczywistości, tego zrozumienia ciężaru faktów i zdarzeń czasem mi u realistów brakuje. W ich wizji sojusz Polski z Hitlerem był odpowiedzią jedyłą, właściwie oczywistą i bezdyskusyjną. Był lekarstwem na wszelkie zło. Jeśli do niego nie doszło, to mogło to wynikać jedynie z głupoty, tępoty i ograniczonych horyzontów sanacyjnych polityków. Ale czy właśnie w tej „oczywistości” nie kryje się coś całkiem nierealistycznego? Co to za realizm, który z pasją i przekonaniem głosi wiarę w słuszność tego, co się nie wydarzyło? Co to za lekarstwo, którego działania nikt nie sprawdził? Co to za realizm, który ucieka od tragizmu? ©©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z BEATĄ SZYDŁO
**WOBEC WŁASNYCH WYBORCÓW
ZAWSZE TRZEBA BYĆ FAIR**
PiS powinien się otwierać na nowe pomysły

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
**BEZ SILNEJ TOŻSAMOŚCI
PIS BĘDZIE SŁABY JAK DZIECKO**
Odwaga ideowa gwarantuje sukces



22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZAS WYZWAŃ

24 TOMASZ ROWIŃSKI
DEMONIZOWANIE ZIOBRY

26 MACIEJ PIECZYŃSKI
**PIĄTKA DLA ZWIERZĄT,
CIOS W PRZEDSIĘBIORCÓW?**

28 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**MICHNIK I URBAN:
MIŁOŚĆ Z ODZYSKU**

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CZAS WIELKICH MUZEÓW

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
WUJEK OSCAR NIE ŻYJE
Szaleństwa politycznej poprawności

36 WIEŚLAW CHEŁMINIAK
PEWNEGO RAZU... SERGIO LEONE

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE



46 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SOBOLEWSKIM
**JAROSŁAW KACZYŃSKI TO NASZA
NAJWIEKSZA PRZEWAGA**
Chcemy przyciągnąć najmłodszych wyborców

48 ŁUKASZ WARZECHA
WINNI PRZEZ PRACOWNIKA

50 PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA
PO CO NAM DZIECI, SKORO SĄ W DELHI?

HISTORIA

52 PIOTR ZYCHOWICZ
GERMANOFIL W KLESZCZACH GESTAPO
Jak Władysław Studnicki chciał przekonać Hitlera do zaprzestania mordowania Polaków

56 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM
NISZCZENIE SYMBOLU POLSKI

ŚWIAT

60 PIOTR KOŚCIŃSKI
POLACY WYCHODZĄ Z PODZIEMIA
Rodacy na Białorusi



62 WITOLD REPETOWICZ
LIBAN NA BECZCE Z SALETRĄ

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
PODCIĘTE SKRZYDŁA
Czy abonamenty na loty uratują branżę?

70 RADOŚLAW WOJTAS
POLSKIE W MODZIE

STYL

76 JOANNA BOJAŃCZYK
BUTY SPORTOWE, ZŁOTO MODY
Sneakerologia

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (10), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (78), MAKOWSKI (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zdrowo ograniczeni”,
Łukasz Warzecha, „DRz” 33/2020

Szanowna Redakcjo, w artykule „Zdrowo ograniczeni” pan red. Łukasz Warzecha słusznie zwraca uwagę na słabości walki z otyłością prowadzonej przez państwo. Chciałabym jednak sprostować informację o rządowym programie walki z nadwagą wprowadzonym w Wielkiej Brytanii. Otóż fakt, że w nowej strategii premier Boris

Johnson nie zapowiedział wprowadzenia podatku cukrowego, nie oznacza, że brytyjskie państwo jest mniej „zamordystyczne” w tych kwestiach niż polskie. Powód jest inny. Podatek taki (nakładany na napoje zawierające cukier) obowiązuje w Wielkiej Brytanii już od kwietnia 2018 r. Oznacza to, że rząd brytyjski dużo wcześniej niż polski zdecydował, iż należy ingerować w wybory żywieniowe obywateli.

Z wyrazami szacunku
Magdalena Strzelecka

Od autora

Dziękuję Czytelniczce za słuszne zwrócenie uwagi.

Łukasz Warzecha

Z wielkim żalem i bólem przyjęliśmy wiadomość, że 3 września 2020 roku, w 71. roku życia zmarł



Zdzisław Bradel

Poeta

Absolwent Wydziału Nauk Humanistycznych KUL;
zasłużony działacz na rzecz niepodległości Polski;
w 1976 roku uczestnik akcji pomocy represjonowanym robotnikom
Radomia;

współtwórca, autor i redaktor założonego w 1977 roku
Niezależnego Pisma Młodych Katolików „Spotkania”;
kurier przewożący na Litwę i Białoruś literaturę bezdebitową i religijną;
uczestnik Duszpasterstwa Akademickiego w Lublinie
oraz Ruchu Młodej Polski;

w 1979 uczestnik głódówki w intencji pielgrzymki Jana Pawła II na Śląsk;
w czasie pierwszej Solidarności redaktor pism związkowych,
współpracownik NSZZ RI „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego,
współorganizator Wszechnicy Związkowej i Wszechnicy Ludowej;
po wprowadzeniu stanu wojennego uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej,
internowany; przewodniczący podziemnego Zarządu Regionu Środkowo-
-Wschodniego NSZZ „Solidarność”;

w połowie lat osiemdziesiątych koordynator krajowy ruchu
Comunione e Liberazione;

po 1990 roku działacz samorządowy;
Aktywny w formacjach politycznych: PChD, ZChN, ROP, RNK;
Pośmiertnie Odznaczony Krzyżem Komandorskim
Orderu Polonia Restituta.

Był dla nas wzorem człowieka wielkiej wiary,
dla którego wierność Bogu i Ojczyźnie była najwyższą wartością.

Requiescat in Pace

Przyjaciele, Koledzy, Współpracownicy środowiska „Spotkań”

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w poniedziałek 14 września 2020.
O godz. 13.15 Msza Św. w kościele pw. św. Józefata przy ul. Powązkowskiej 90
w Warszawie, po czym złożenie do grobu na Powązkach Wojskowych.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (*Brusela*),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czaibanski, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toralski, Szewach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Woźninski, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska.
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoreporter: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krystopa

Okładka: Beata Zawrzel/NurPhoto/Getty Images

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); Monika Doros, tel.: 508 040 664

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawcy),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: 539 953 631

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jesień brukselczyka

Cytat pierwszy: „Tusk ma dość poweru, żeby nam zaszkodzić, ale nie dość, żeby nas zabić”.

Cytat drugi: „Tuska nie ma już w polskiej polityce, a dla Platformy wizerunkowo jest dzisiaj raczej obciążeniem niż atutem”.

Cytat trzeci: „Odbudowę i przebudowę partii zaczyna się od utwardzenia skały, na której ona stoi, a dopiero potem buduje się wokół tego nowe rzeczy. Donald nam tę skałę, na której stoimy, kruszy”.

Czyje to słowa? Tak, tak – polityków PO, którzy na portalu gazeta.pl bez oporów zwierają się ze swoich problemów z Donaldem Tuskiem.

Kto dziś pamięta, że nieco ponad rok temu wszyscy po stronie opozycji oczekiwali z niecierpliwością na stąpienie Tuska na czele Ruchu 4 Czerwca? Czy ktoś wspomina jeszcze, jak spore nadzieje wiązano z jego przemówieniem w Gdańsku 31 sierpnia 2019 r.?

Dzisiaj widać, że szanse Tuska na odegranie jakiejś większej roli w polskiej polityce były uzależnione od wyniku wyborów

do Sejmu i elekcji prezydenckiej. Tusk miał nadzieję, że chociaż jeden z tych pojedynków Platforma wygra, ale sam chciał w tym pojedynku odgrywać rolę pasażera na gapę. Kogoś, kto przyglądać się będzie batalii ze spokojnej Brukseli. Cały wkład gdańskiego liberała w politykę w ciągu ostatniego roku to jedynie dziesiątki mniej lub bardziej złośliwych tweetów. Niewiele.

Jest też kwestia wieku. Tusk, wyjeżdżając do Brukseli w 2014 r., zamroził w swojej pamięci obraz Platformy z lat 2007–2014. Jeden z dawnych tuskowców mówi dla gazety.pl: „Tusk uważa, że juniorstwo przejęło mu partię i nie okazuje należytego szacunku, a przecież jest twórcą potęgi Platformy i dla wielu związanych z nią ludzi wciąż postacią symboliczną. W ten sposób nowe kierownictwo obraziło miłość własną Tuska. Budkę Tusk kojarzy piąte przez dziesiąte, Nitrasa nigdy nie lubił, Tomczyk to dla niego młody chłopaczek, a Pomaskę lubi, ale to zawsze dla niego była młoda dziewczynka”.

Jednak już w przypadku ruchu Szymona Hołowni nie przeszkadza mu wiek lidera (44 lata). Komplementując co pewien czas Hołownię, Tusk zbudował w platformersach przekonanie, że chce postawić na nowego politycznego konia. Tym bardziej że Tuskowi nie brakuje pewności siebie. W niedawnym wywiadzie dla „Polityki” przestrzegł, by nikt nie wysyłał go na emeryturę.

„Nie po to proponowałem podwyższenie wieku emerytalnego, żeby samemu iść na emeryturę, mając 63 lata” – wycedził z przekąsem, nawiązując do słów z kampanii Rafała Trzaskowskiego o odesłaniu na zasłużony odpoczynek liderów wojny polsko-polskiej.

Tusk dziś oczekuje od Platformy pełnego uznania dla swej roli politycznego guru. Jeśli jednak degeneracja PO będzie postępować, to nie zawaha się ani chwili i porzuci dawnych kolegów na rzecz ruchu Hołowni. I wtedy dopiero się okaże, czy Polska 2050 będzie chciała być kojarzona z brukselskim „Wujkiem Dobrą Radą”. ©

KOSZTOWNY BŁĄD NOVAKA DJOKOVICIA

Takiej sensacji podczas US Open nikt się nie spodziewał. Najwyżej rozstawiony Novak Djoković został zdyskwalifikowany już w 1/8 finału za przypadkowe uderzenie piłką sędzi liniowej. Siła wystrzelonej na osłep piłki była tak duża, że powaliła kobietę na ziemię. Djoković stracił punkty rankingowe oraz premię za udział w turnieju. Łącznie z karą finansową stracił w sumie ponad ćwierć miliona dolarów. Decyzja sędziów wzbudziła wśród fanów Serba wielkie kontrowersje. Zgodnie z regulaminem w takiej sytuacji trzeba było jednak wyrzucić Djokovicia z turnieju. (jap) ©



FOT. AL BELLO/GETTY IMAGES

dwaj panowie G

Straszne rzeczy opowiadają wiewiórki o nadchodzącej rekonstrukcji rządu. Otóż będzie ona nadchodziła i nadchodziła. To znaczy nie ma szans, by doszło do niej na początku października. Najpierw dokonać się musi bowiem rekonstrukcja PiS. A ta zaplanowana jest dopiero po Wszystkich Świętych, kiedy odbędzie się kongres PiS i wybierze nowe władze.

Wszystko przez wierzgające nogami przystawki. Przystawki w dodatku demonstracyjnie lekce sobie ważą premiera Mateusza, niezależnie od tego, jak bardzo wzmacnia go Naczelnik Państwa. Po kongresie PiS premier będzie też wiceprezesem partii, więc trudniej będzie lekce go sobie ważyć. Chyba.

Jedni mówią o lekceważeniu, inni o przewrażliwieniu, faktem jest, że na rozmowy o rekonstrukcji z Naczelnikiem Kaczyńskim przystawki przychodzą osobiście, to znaczy w osobach Gowina i Ziobry. A na spotkania w tej samej sprawie z premierem Mateuszem przysyłają różnych Jakich i innych takich. No jednak trudno o większy wyraz lekce sobie ważenia. To tak, jakby Trump na negocjacje w sprawie tarczy przysłał do Dudy jakiegoś kongresmena ze stanu równie ważnego co Opolskie. Trudno nam sobie nawet wyobrazić, że taki stan istnieje.

Przyczyna nagłego wierzgania przystawek jest prosta. Dotychczasowe rozmowy sondażowe PiS z Peezelem nie przyniosły zbyt wiele. Oczekiwania chłopów w sprawie ewentualnej koalicji okazały się bardziej wygórowane niż oczekiwania Ziobry i Gowina. Przy czym oczekiwania obecnych partnerów koalicyjnych da się łatwiej temperować.

Mottem obecnej rekonstrukcji powinna być myśl starego księcia Saliny z „Lamparta”: „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko musi się zmienić”. Zaiście wiele się zmieni, ale wszystko pozostanie po staremu.

Jedna z wierzgających przystawek potrafi nawet wywołać skandale zagraniczne. Na przykład Marcin Romanowski, wiceminister i ZiZou Ziobry, i szczery SolPol-owiec, napisał do rządu Słowenii list w sprawie konwencji stambulskiej. No i wywołał lokalny



FOT. ROBERT CAROZINSKI

kryzys rządowy, bo się tam w tej sprawie od razu zaczęli żreć. To się nazywa „wierzganie eksportowe”.

Ápropos wierzgania wewnętrznego. Jest takie miejsce, w którym radni PiS przeszli do Ziobry. To zostało uznane za akt wojny, więc negocjacje będą jeszcze przyjemniejsze. Wiecie, jak to w koalicji.

Oznaką załamania się negocjacji z Peezelem jest – jak zapowiadaliśmy – szybkie smażenie ustawy o podziale Mazowsza i kasacji księcia Struzika i Mazowieckiego. Są jednak w opozycji i rozsądni ludowcy. Na przykład senator Jan Filip Libicki nie miałby nic przeciwko przymierzowi z PiS. W Wielkopolsce mówią nawet, że się do tego rwie, ale tato nie pozwala. Tato ma na imię Marcin i wyleciał kiedyś z PiS za rzekomą współpracę z SB.

Wczeniu rekonstrukcji rządu nadchodzi rekonstrukcja Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Zapytaliśmy tamtejsze wiewiórki, czy to prawda, że wybiera się do nich na stanowisko Jan Krzysztof Ardanowski.

Odpowiedziały pytaniem: A czy nie jest już ministrem rolnictwa? Aha. Czyli już całkiem niedługo się wybiera.

Pojawił się nawet pomysł transferu obecnej szefowej Kancelarii Prezydenta, Haliny Szymańskiej, na stanowisko ministra rolnictwa. W końcu absolwentka Akademii Rolniczej, a i w ARiMR-ze pracowała. Tak czy inaczej frakcja zachodniopomorska u Andrzeja Sebastiana zostanie rozmontowana. Zapytajcie Pawła Muchę.

Kto miałby zostać szefem w miejsce Haliny? Słyszeliśmy, że Grażyna Ignaczak-Bandych. Dotychczasowa dyrektorka Kancelarii Prezydenta. Co do nowego pełnomocnika ds. społeczeństwa obywatelskiego nie dajcie się wpuścić mediom. Żadna decyzja personalna jeszcze nie zapadła.

Bardzo się ostatnio interesujemy wszystkim, co stało się w roku 2005. Na przykład Francuzi i Belgowie głosowali przeciwko traktatowi konstytucyjnemu UE, a sama Unia rozpoczęła negocjacje akcesyjne z Turcją. Z czego, jak wiadomo, nic nie wyszło do dziś. Naszym zdaniem za wszystkie te fiaszki odpowiada Rafcio Trzaskowski vel Rafał Czapkowski. Dlaczego? A dlaczego nie?

Już tłumaczmy. Rafcio był naonczas jednym z doradców delegacji PeŁo w Parlamencie Europejskim. Rozumiecie? 2005, Rafcio, Unia, Turcja... Co, wciąż nie rozumiecie? No skoro Rafcio może twierdzić, że awarię Czapki w roku 2020 wywołał osobiście śp. Lech Kaczyński w 2005 r., to nasze twierdzenie, że za brak wejścia Turcji do UE odpowiada osobiście Rafcio, jest równie uprawnione.

Tymczasem warszawski wice-Rafcio, czyli Paweł Rabiej, ogłosił, że ryby w Wiśle padły nie z powodu ścieków z Czapki, tylko przez zgniliznę państwa PiS. My słyszeliśmy co innego. Ryby wysłuchały wstępnej wersji wystąpienia Rafcia Czapkowskiego planowanego na inaugurację Nowej Solidarności. Szybko zasnęły, więc są śnięte.

Giełda pracy. Rusłana. Tak ma podobno mieć na imię nowa rzeczniczka Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Piękne imię. ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Misja Gill-Piątek

Szymon Hołownia, by pożyczyc frazy Michała Sz. „Margot”, „identyfikuje się jako katolik”. Ponoć nawet za młodu chciał być księdzem; przynajmniej, w kampanii wyborczej pokazał jeden z cennych dla księdza talentów, a mianowicie do zbierania na tacę. Ale tylko ten jeden. Poza tym jego katolicyzm okazał się zupełnie bezobjawowy, w stylu „Tygodnika Powszechnego”, w którym zresztą długo pisywał. To znaczy: krzyż i święte obrazy to fajne bibeloty, a Jezus był sympatycznym hipisem, który każe bezwarunkowo, z miłością akceptować wszelkie ataki na nasze wartości, normy i dobry smak, ale żeby czegokolwiek od ludzi, powołując się na Jego nauki, wymagać czy próbować ich nawracać, to już zdecydowana przesada i obciach.

Mimo oczywistej pozorności tego katolickiego lukru, używanego w PR, wybór parlamentarzystki, która tworzyć ma z ramienia Hołowni sejmowe koło nowego politycznego ruchu, naiwnych mógł zszokować. Osobą tą okazała się Hanna Gill-Piątek, zagorzała feministka i zwolenniczka LGBT, podobnie jak całe to środowisko epatująca demonstracyjnym antyklerykalizmem i wrogością wobec religii. Ciekawych zachęcam do znalezienia w Internecie filmu z napaści, jakiej grupka fanatyków LGBT dopuściła się w marcu tego roku na uczestników mszy św. odprowadzanej w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych przez abp. Jędraszewskiego. Warto wiedzieć, że ten atak, z aktywnym udziałem wspomnianej posłanki,

był prezentem dla bawiącego w Polsce reportera-geja z BBC, który przybył zarejestrować sceny agresji wobec „społeczności LGBT”. Zresztą, mimo starań sprowokować jej się nie udało. Ale pani Gill-Piątek była tam naprawdę w swoim żywiole.

Co jednak ma lewicowa fanatyczka do roboty w ruchu, którego twórca, pomijając już pozowanie na umiarkowanego katolika, epatował hasłami o zasypywaniu ideologicznych podziałów i odrzuceniu radykalizmów? Chyba tylko jedno: zdemaskowanie swym akcesem od razu na starcie całej obłudy przedsięwzięcia. Pan Bóg, w którego Hołownia twierdzi, że wierzy, słynie przecież z tego, iż „umie pisać prosto po krzywych liniach”. © ©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Lepiej nie czekać

Ksiądz James Martin SJ jest w życiu Kościoła postacią istotną, doradcą watykańskiego sekretariatu do spraw komunikacji. W wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, feministycznego dodatku „Gazety Wyborczej”, opowiada o zjawisku homoseksualizmu wśród duchowieństwa katolickiego. Wyznaje, że „zna wielu, może setki” księży o takich skłonnościach.

Mocne słowa i świadectwo, obok którego – ze względu na rangę autora – trudno obojętnie przejść. Pokazuje, jak poważna jest skala problemu. Miesiąc temu pisałem o konieczności przeniesienia wszystkich tych księży do stanu świeckiego. Skoro bowiem nie uwzględniono (lub nie zauwa-

żono) ich „utrwalonej tendencji” jako przeszkody dla święceń, to czas ją uwzględnić jako ustawiczną przeszkodę dla ich pracy w stanie duchownym. Tu nie trzeba – i nie wolno – czekać na przejście od tendencji do aktów.

Świadectwo ks. Martina oznacza też, że w ciągu ostatnich 15 lat, a więc w czasie, który minął od jasnego sformułowania przez Kongregację Wychowania Katolickiego normy (obowiązującej implícite i wcześniej), że nie tylko akty, lecz także „głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne” są przeszkodą dla święceń, wyświęcono wbrew prawu Kościoła wielu homoseksualnych księży. Przeszłości nie zmienimy, ale można zmienić przyszłość. I tego właśnie

dzisiaj dotyczy odpowiedzialność wszystkich, od których zależy nieutrwalenie tego fatalnego stanu rzeczy. Być może jest lepsze wyjście z tej sytuacji niż przeniesienie do stanu świeckiego. Ale właściwie jakie?

Ciała rzecz ma swój kontekst i swoją dynamikę. „Wyborcza” – słuchając ks. Martina – od razu apeluje, by Kościół „przestał się interesować naszą seksualnością” (czyli by przestał głosić etykę, na której opierają się małżeństwo i rodzina). Tymczasem tu chodzi o samą misję Kościoła, a im dłużej ten kryzys będzie trwał, tym słabiej głos Kościoła będzie docierał do sumień i umysłów. Dlatego właśnie reakcji odkładać nie można. © ©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:





PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O problemach z tożsamością

Bardzo popularny we Włoszech reżyser komedii Carlo Verdone obchodził artystyczny jubileusz. Z tej okazji udzielił wielu wywiadów. Uskarżał się, że idee postępowych salonów o płciach społecznych porządnie namieszają ludziom we łbach. Na przykład jego amerykańska przyjaciół-

ludzi czarnych czy kalekich. Przypomniawszy Adele na słynnym londyńskim festiwalu w Notting Hill. Wystąpiła w skąpym stroju i było wyraźnie widać, że schudła. Oburzyli się grubi, szczególnie pochodzący z Karaibów. A jako że Adele jest biała jak ser, a na głowie nakręciła sobie loczki na wzór afrykańskich plemion Bantu, oskarżono ją o kradzież tożsamości.

Ostatnio okazało się, że takiej kradzieży z powodów ideologicznych dopuściła się prof. Jessica Krug, wykładająca historię afroamerykańską na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Powoływała się często na swoje afrykańskie korzenie, a w rzeczywistości jest białą Żydówką.

Aż się prosi o przytoczenie prastarego dowcipu. Pan w samolocie siedzi obok zaczytanej atrakcyjnej damy i zagaduje, pytając,

o czym traktuje pasjonująca lektura. Dama na to, że studiuje wyniki badań nad zależnością jakości i długości usług seksualnych mężczyzn od rasy. „I na co wychodzi?” – pyta pan. „Że najlepsi są Indianie i Żydzi”. Pan skłonił głowę, wyciągnął dłoń i się przedstawił: „Winnetou Rosenkranz do usług”. Z góry uprzedzam, że na listy P.T. Czytelników z oskarżeniami o antysemityzm i rasizm odpowiadać nie będę. Proszę się udać prosto do lekarza. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Nie bój się maleńka...
jestem lesbijka...



ka, uważająca się za osobę „poliseksualną”, w napadzie szału omal nie zastrzeliła nieostroznego osobnika, który w towarzystwie mówił o niej „she” (ona), a nie „they” (oni).

Niepokoił się również, że wkrótce zostanie bezrobotny, bo w kuźniach postępu szurnięci ideolodzy politpopu produkują coraz dłuższe listy kategorii ludzi pod ochroną, z których nie wolno się śmiać. Przy czym wcale nie chodziło mu o takie oczywistości jak mniejszości seksualne, 58 tożsamości płciowych,



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Róbmy swoje

Chociaż wielu skazywało go na pożarcie, to Szymon Hołownia ruszył na parlamentarne łowy, pozyskując (na razie) jedną posłankę Lewicy. W jego orbicie znaleźli się też inni politycy, którzy – chcąc oddalić od siebie widmo „zdrady” – wybrali ciekawe tłumaczenie. „Jestem posłem bezpartyjnym i niezależnym. Dobrze mi z tym. Kibicuję wszystkim demokratycznym partiom i ruchom. Wierzę, że w oparciu o dialog i współpracę uda nam się sprostać takim wyzwaniom jak kryzys klimatyczny, recesja czy autorytarna władza. #RóbmySwoje” – zadeklarował Franek Sterczewski.

Szybko wyprowadzono go jednak z błędu.

„O ile wiem, poseł Sterczewski dostał się do Sejmu z list KO i jest wciąż członkiem Klubu KO, a więc – póki co – nie jest posłem niezależnym” – dodał kolega z ław sejmowych, Dariusz Rosati.

À propos znajomych Hołowni. „Kiedyś ten parasol zostanie zdjęty” – napisał Roman Giertych pod zdjęciem ilustrującym mundurowego trzymającego parasol nad głową przemawiającego o. Tadeusza Rydzka. „Życie jest przewrotne. W 2006 byłem dziennikarzem w Toruniu i starałem się nagrać wypowiedź wicepremiera Romana Giertycha, który przyjechał na urodziny Radia Maryja. Dostałem parasolkę od jego ówczesnych wyznawców” – odpowiedział mu Piotr Witwicki z Polsat News.

Skoro z polityki przeszliśmy w rejony

humorystyczne, proponuję dwa smakowite tweety od Sylwii Spurek. Pierwszy dotyczy nowych zasad przyznawania Oscarów za najlepszy film, zakładających „odpowiednie” parytety mniejszościowe w obsadzie i zapleczu produkcyjnym. „Nie ma demokracji bez kobiet, bez praw osób LGBT+, bez poszanowania praw mniejszości. Nie możemy liczyć na polityków i polityczki? To znaczy, że czas na kulturę. Teraz naszą sojuszniczką będzie Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej. Jestem za!” – zakrzyknęła europosłankini. Później jednak straciła humor. „Uwaga: zła informacja! Wczoraj spotkałam się z kom. środowiskowym ws. zatrzymania przekopu Mierzei Wiślanej. Wnioski? Interwencja KE zajmie lata. Musimy szukać innej formy nacisku na rząd, tu i teraz, żeby zatrzymać tę patologiczną inwestycję”. No, co zrobić? ©©

Już za tydzień w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



FOT. PIOTR LOPADADA

HITY EDYTY

Edyta Górniak postanowiła odpowiedzieć Michałowi Wiśniewskiemu, który krytycznie wypowiedział się o jej ewentualnym duecie z Zenkiem Martyniukiem. Stwierdził, że taki duet nie jest Zenkowi do niczego potrzebny, bo i bez tego ma się dobrze. Wiśniewski dodał jeszcze, że „Edyta nie chce sięgać po wybitnych twórców i nie ma przeboju na własne życzenie”. – Nie będę negocjować z kimkolwiek. Nie ja decyduję, czy coś jest hitem – stwierdziła Górniak z żalem. Faktycznie, jej kariera byłaby dużo bardziej

udana, gdyby o tym, co jest hitem, decydowała ona sama. A nie jakaś tam gawiedź zwana publicznością.

KŁOPOTY ANNY

Anna Lewandowska nie ma ostatnio dobrej passy. Najpierw podpadła, nagrywając filmik i udając na nim osobę otyłą, co oburzyło parę osób. Niby przeprosiła, wyjaśniła, że nie miała złych intencji, ale chwilę później tym, którzy ją skrytykowali, zaczęła grozić pozwami na kilkadziesiąt tysięcy złotych. Wyszło raczej kiepsko i mało wiarygodnie. Potem w serwisach plotkarskich pojawiły się zdjęcia Ani z wakacji. Jest na nich w stroju kąpielowym i nie wygląda na nich tak fit jak na wystudiowanych fotkach z Instagrama. Wśród fanów Ani zawrzało i znów pojawiły się oskarżenia o hipokryzję i zwyczajnie oszukiwanie kobiet, które wpadają potem w kompleksy. Lewandowska na razie nie zabrała jeszcze głosu w tej sprawie, ale w jej obronie postanowiła stanąć blogerka modowa Maffashion, która sama obecnie jest w ciąży. „Czy serio to jest aż tak mało oczywiste, że poza, kadr, perspektywa, a nawet światło robi »robotę«? Logiczne, że możemy zawsze ustawić się mniej lub bardziej korzystnie” – pisze. No właśnie! Ci wstrętnei paparazzi za każdym razem powinni podejść i grzecznie poprosić każdą bez wyjątku panią celebrytkę, by się odpowiednio ustawiła do zdjęcia. I publikować tylko te ładne. Świat byłby wówczas może nie lepszy, ale przynajmniej piękniejszy!

NIESTETY NIE FAŁSZYWKĄ

Monika Miller, znana z bycia wnuczką byłego premiera i zmniejszenia biustu o dwa rozmiary, żali się swoim fanom, że ma zablokowany dostęp do aplikacji randkowych.

– Zbanowali mnie już prawie na wszystkich aplikacjach randkowych! Zbanowali mnie, ponieważ dużo osób raportowało moje konto za bycie fałszywką – pożałowała się gwiazdka. W sumie to



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

chcielibyśmy, żeby Monika okazała się fałszywką. Niestety, coraz bardziej widać, że to celebrytka z krwi i kości.

REKLAMA DŹWIGNIĄ CELEBRYTY

Małgorzata Rozenek-Majdan, świeżo upieczona mama małego Henryka, postanowiła wyznać swoim fankom, gdzie leży tajemnica jej urody. I jak to robi, że mimo braku snu wygląda promiennie. Wszystko, jak się okazuje, dzięki serum za jedyne trzy stówki! – Dziewczyny, kolejny już dzień śpię po 3–4 godziny, karmię Henryczka, wróciłam do pracy, codziennie jestem na planie zdjęciowym i totalnie brakuje mi czasu na regenerację skóry – skarży się Małgorzata. I natychmiast dodaje, że nowe serum to „prawdziwa rewolucja”. – Zauważyłam, że moja skóra nabrała blasku – zachwala kosmetyk celebrytka, nie kryjąc specjalnie, że mamy do czynienia z dość toporną reklamą. – Moja skóra jest zachwycona! – dodaje. Bardziej zachwycony jest chyba jednak jej portfel.

WSZYSTKO Z UMIAREM

Nowym celebrytą zostaje na naszych oczach Bartłomiej Misiewicz. Były współpracownik ministra Macierewicza przeszedł bowiem spektakularną metamorfozę, o której chętnie opowiada na przykład tabloidom. Ekspolityk schudł już 43 kg! „Jestem na diecie pudełkowej i korzystam z porad dietetyka. Pudełeczka mam na 1800 kalorii, ale zdarza mi się zjeść jakiegoś zdrowego batonika czy wypić świeżo wyciskany sok pomarańczowy, więc dobijam do 2000–2200 kalorii dziennie. Przy aktywności fizycznej jest to odpowiednie” – relacjonuje tajemnicę swojej odchudzonej sylwetki na łamach „Faktu”. „Nie jem po godz. 19. Oczywiście zdarzy mi się zjeść pizzę czy wypić lampkę dobrego alkoholu, ale w umiarze nie ma to dziś wpływu na moją wagę” – zapewnia Misiewicz. Właśnie, umiar. Okazuje się, że łatwiej go zachować w diecie niż w polityce. ©



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020





MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH ŌŚRODKÓW

Kochani, ale przypał. Szliśmy sobie dzisiaj jak gdyby nigdy nic ulicą, a z naprzeciwka szła matka z małym dzieckiem. I kiedy przechodziliśmy obok, to dziecko nienawości wyciągnęło palec w naszą stronę i powiedziało: „O, pan”. To po to różne kolektywy walczą o prawidłową identyfikację osób niebinarnych, aby potem osobodzieci wychowywane w podkarpackich zaściankach publicznie stygmatyzowały osoby na podstawie zewnętrznych cech płciowych? Prawidłowo wychowywane dziecko powiedziałoby: „O, pan lub pani lub osoba niebinarna”. Ludzie, przecież to takie proste i naturalne, serio, przeciętny dwulatek nie może ogarnąć takich podstaw?

Są i dobre wiadomości ze świata filmu. Chciałoby się rzec – nareszcie! Otóż już za kilka lat o Oscary będą mogły walczyć te filmy, w których należycie zostały wyekspozowane mniejszości oraz przy których produkcji pracowali przedstawiciele mniejszości.

Naszym zdaniem istnieje jednak o wiele prostsza recepta – trzeba by po prostu odsunąć od pracy w przemyśle

Tylko nie do piekła...
Ręczę za mnie ks. Bodziecki i
rabini Michael Schudrich...



filmowym wszystkich białych, binarnych, heteroseksualnych mężczyzn. Wtedy automatycznie pozbedziemy się opresyjnej większości i zostanie sama mniejszość.

Analogicznie powinno się postępować stopniowo w innych dziedzinach życia publicznego – od polityki przez kulturę do sportu, a nawet rzemiosła. W ten sposób zbudujemy jasne i przejrzyste zasady konkurencji, dzięki którym wszyscy będą mieli równe szanse

– of kors z wyjątkiem białych, heteroseksualnych mężczyzn.

Nie musicie tego wiedzieć, ale trwa sezon na grzyby. Of kors nikt normalny z naszego kolektywu nie wyjeżdża poza miasto, do lasu, żeby ryć nosem w glebie i je zbierać. Jednak Nowy z Tarnowa okazał się fanatykiem grzybiarstwa. Na szczęście home office ratuje nas od konieczności ciągłego wysłuchiwanie o dorodnych maślakach, pod jakim drzewem poszukiwać prawdziwków, dlaczego szanuje opieńki i jak najlepiej smakują podgrzybki.

Mimo wszystko na wspólnych telekonferencjach ustawicznie zachęca nas do wspólnych wypraw na grzyby połączonych niestety z tradycyjnym polskim opróżnianiem 0,7 i straszeniem osobodzików.

A już poza wszystkim niejasno z lekcji biologii pamiętamy, iż grzyby to takie ani rośliny, ani zwierzęta, w sumie to nie wiadomo, co to jest. Trochę to jednak budzi nasz niepokój, bo nie możemy jednoznacznie rozstrzygnąć, czy są na pewno wege. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Piękny sen

Andrzej! Andrzej!!! Obudź się!

Co?! Błazej, jak mnie przestraszyłeś... Taki miałem ładny sen.

Może i tak, ale jest prawie czarna-sza i już czas, żebyś...

Czekaj, momentik.

Muszę sobie dobrze zapamiętać, co mi się śniło.

Naczelnik kazał uchwalić ustawę... Tylko jaką?

Może tę o zakazie hodowli na futra?

Nie, nie, to już było później... A, już wiem: o zakazie hodowli na mięso. Wszystkiego, w ogóle. To był taki pomysł, że cały naród ma przejść na zdrową, beźmięsną dietę.

Koszmar.

No więc uchwalili i ja to miałem podpisać. Uroczyscie.

Znaczy – przed kamerami?

Tak, kamery, cała kancelaria, pełna pompa. No i śniło mi się, że wszystko jest naszykowane, ja siadam przy stole, kładą mi ten

papier, a ja na to: „Postanowiłem nie podpisywać”. Wyobrażasz sobie?

Nie bardzo...

I wtedy nad nami wszystkimi pojawiła się taka ogromna twarz wściekłego Naczelnika, jak Kot z Cheshire w „Alicji”. I ja go pstryknąłem w nos. Piękny sen.

No dobrze, ale musimy jechać, po południu masz narty wodne. A wcześniej machnij tu kilka podpisów, porcja ustaw z Sejmu przyszła.
©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„23 proc. Hołowni i 20 proc. Trzaskowskiego daje większość mandatów w Sejmie. To daje nadzieję na przyszłość”

ROMAN GIERTYCH, były wicepremier, na Twitterze

Jasny płomień niepodległości

Był czerwiec 1867 r. Od ponad 70 lat Polski nie było na mapie Europy, a od ostatnich strzałów powstania styczniowego minęły zaledwie trzy lata. Kanonizacji Józafata Kuncewicza dokonał Pius IX, wielki przyjaciel Polaków i orędownik sprawy polskiej na dworach europejskich, nazywany przez współczesnych Defensor Poloniae (Obróńca Polski). Zwracając się do pielgrzymów polskich, powiedział: „Miejcie nadzieję, wytrwałość, odwagę i módlcie się, a ciemieży wasi runą i Królestwo Polskie powróci”. Po zakończeniu uroczystości Pius IX polecił, by stojąca przy ołtarzu świeca była do czasu odzyskania niepodległości przez Polskę przechowywana w rzymskim Kolegium Polskim prowadzonym przez zmarłych powstańców. Powiedział:

„Zanieście tę świecę do Kolegium Polskiego, niech tam tak długo pozostanie, aż ją ze sobą do wolnej Warszawy zabiorą”.

I stało się tak, choć na ten dzień przyszło czekać następne długie 53 lata.

W grudniu 1919 r. Benedykt XV wręczył dwóm polskim biskupom, prymasowi Polski Edmundowi Dalborowi i metropolicie warszawskiemu Aleksandrowi Kakowskiemu (oba byli wychowankami Kolegium Polskiego), birety kardynalskie. W trakcie tej uroczystości Benedykt XV wyraził nadzieję, że świeca Piusa IX, która może być już przewieziona do Warszawy, będzie symbolem promieniującego z Kościoła światła.

W styczniu 1920 r. świecę wniesiono w procesji do warszawskiej archikatedry i tam, podczas uroczystej mszy świętej, marszałek Sejmu Wojciech Trąpczyński zapalił



Niezwykła jest historia świecy, zwanej Świecą Niepodległości lub Świecą Piusową. Zaczęła się w Watykanie, w dniu kanonizacji Józafata Kuncewicza

ją jako widomy znak tego, że ojczyzna nasza odzyskała wolność!

Kazanie podczas tej Eucharystii wygłosił biskup przemyski Józef Pelczar, który jako młody ksiądz, wychowanek Kolegium Polskiego, był

obecny na uroczystościach kanonizacyjnych. Powiedział między innymi: „Radujmy się ze wskrzeszenia Ojczyzny, lecz trwóźmy o jej przyszłe losy. Błagać trzeba Pana, aby nie opuszczał Polski, aż do końca wieków”.

Świeca Piusa IX, którą nazywamy Świecą Niepodległości, była przechowywana w warszawskiej archikatedrze. Po wybuchu drugiej wojny światowej została przeniesiona do kaplicy seminaryjnej, co uchroniło ją przed losem zburzonej podczas powstania warszawskiego świątyni. Potem przeniesiono ją do kościoła seminaryjnego przy Krakowskim Przedmieściu. W 2018 r. została przekazana do Świątyni Opatrzności Bożej.

W czasie XI Święta Dziękczynienia zapalił ją podczas uroczystej mszy świętej prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda. Powiedział wówczas między innymi: „Dziś spotkał mnie zaszczyt, że mogłem ją zapalić po raz drugi. Znow w wolnej, niepodległej, suwerennej Polsce”.

Od tej pory Świeca Niepodległości jest zapalana przez prezydenta RP podczas Eucharystii w czasie kolejnych obchodów Narodowego Święta Niepodległości.

Zrodziła się również nowa tradycja. Już w kilkudziesięciu tysiącach domów 11 listopada o godz. 19.18 (symboliczne nawiązanie do daty odzyskania niepodległości) przy blasku replik Świecy Piusowej wierni modlą się, dziękując Bogu za wolność ojczyzny i powierzając Polskę opiece Bożej Opatrzności.

Wierna miniatura Świecy Niepodległości może trafić do każdego, by mogła zajaśnieć w jego domu 11 listopada. Świecę może otrzymać każdy darczyńca, który do 23 października złoży ofiarę na budowę świątyni. Przy składaniu darowizny należy w tytule dopisać: ŚWIECA.

Więcej informacji:
www.centrumopatrznosci.pl/swieca



**Z Beatą Szydło,
byłą premier,
obecnie europoseł PiS**
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Dwóch ministrów i dwóch wiceministrów odeszło z rządu jeszcze przed zapowiedzianą rekonstrukcją. Ona sama coraz bardziej przypomina przeciąganie liny między partiami Zjednoczonej Prawicy. Co z tego obrazu ma rozumieć zwykły wyborca?

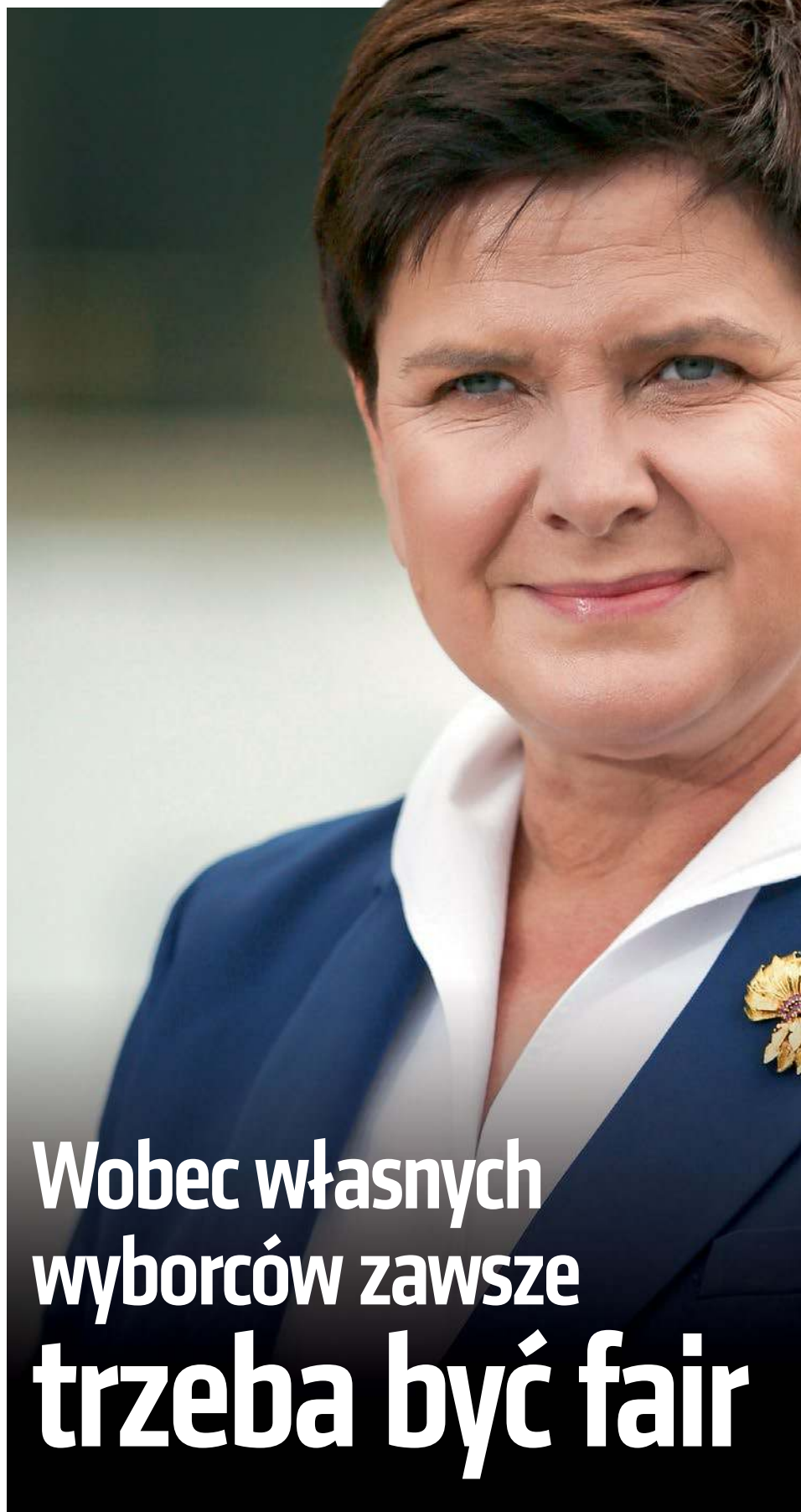
BEATA SZYDŁO: W formacji koalicyjnej, zwłaszcza w momencie rekonstrukcji, czymś naturalnym są różnice zdań wynikające z różnic programowych. W takich chwilach musimy przededefiniować i dostosować priorytety uprawianej polityki, ale nie zapominajmy, że ostatecznym celem jest stworzenie sprawniejszego rządu, by skutecznie realizować nasz program. Podobną zapowiedź usłyszałam z ust premiera Morawieckiego, który chce szybciej podejmować kluczowe decyzje. Po ostatnich wyborach faktycznie jego gabinet mocno się rozrósł. Rozumiem, że nastąpiła refleksja.

Z moich informacji wynika, że jednym z celów rekonstrukcji ma być wzmocnienie roli Komitetu Stałego Rady Ministrów, który będzie mocniej niż do tej pory nadzorować politykę prowadzoną przez resorty.

Komitet Stały, przynajmniej kiedy ja byłam premierem, stanowił ciało, które podejmowało ostateczne decyzje administracyjne i legislacyjne co do kształtu ustaw. Nie sądzę, aby jego rola zmalała. Trudno powiedzieć, w jaką stronę pójdzie Mateusz Morawiecki, ale ministerstwa muszą mieć pewną autonomię w wyznaczaniu długofalowych kierunków prowadzonej przez siebie polityki. Nie wyobrażam sobie, aby minister konstytucyjny nie miał wpływu na to, w jaki sposób jego resort współtworzy politykę rządu. W końcu to jego odpowiedzialność wynikająca z ustawy zasadniczej.

Niemniej pojawiają się doniesienia, że właśnie w ten sposób PiS chciałby utemperować trudne do kontrolowania i niekiedy kłopotliwe inicjatywy polityczne resortów kontrolowanych przez koalicjantów.

Z mojego doświadczenia pracy w rządzie nie dostrzegałam takiego problemu. W końcu realizowaliśmy program wyborczy Zjednoczonej Prawicy, przedstawiony publicznie w 2015 r., który z ogólnych zapowiedzi przekładaliśmy na konkretne



**Wobec własnych
wyborców zawsze
trzeba być fair**



FOT. BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

działania resortowe. Nie da się również zlikwidować konsultacji międzyresortowych, które czasami spowalniają prace, ale są wymogami legislacyjnymi w Polsce. Prawdą jest jednak, że mamy obecnie wiele resortów, bardzo rozbudowaną Radę Ministrów, wielu wiceministrów i podmiotów kształtujących prawo – moim zdaniem chodzi o ich konsolidację, a nie cele polityczne.

Liczybą na „gieldzie rekonstrukcyjnej” są różne. Liczba resortów z 20 ma się skurczyć do maksymalnie 15. Czy to jest przyznanie się do błędu? W końcu to wasz rząd te ministerstwa ustanowił.

Tak, szczególnie po ostatnich wyborach nowych ministerstw powstało kilka. W 2015 r., kiedy przejęliśmy władzę, jedną z pierwszych moich decyzji była likwidacja Ministerstwa Skarbu. Taki był wówczas nasz program i z analiz, które otrzymałam, wynikało, że redukcja resortu oraz podział spółek, którymi zarządzał – właśnie pomiędzy resorty merytoryczne – będą dawały lepsze efekty. Po trzech latach okazało się, że musi powstać ministerstwo aktywów państwowych, bo pierwotna koncepcja nie spełniła oczekiwań. Przy tak dużych reformach często okazuje się, że po czasie wymagają one uzupełnienia, doprecyzowania. Mówi o tym wprost również prezes Jarosław Kaczyński, akcentując konieczność konsolidacji i uwspółcześnienia zarządzania państwem. Na koniec chodzi jednak o to, aby skuteczniej wdrażać nasz program, a nie o ty, by zajmować się samą mechaniką rządzenia.

Niestety to nie program, ale właśnie ta mechanika wybija się w mediach na pierwszy plan. Koalicjanci obawiają się, że na cięciach po prostu stracą.

Owszem, redukcje będą, ale na nich tracą przecież wszyscy.

Ale nie każdy tyle samo.

Jeżeli mówimy o PiS, to jednak jesteśmy dominującym podmiotem Zjednoczonej Prawicy. Stąd też wyższa liczba resortów, która trafi pod nasze skrzydła. Nie oznacza to jednak, że nie będzie można do nich dokooptować wiceministrów z Porozumienia czy Solidarnej Polski. Dzisiaj musimy pamiętać, że największą siłą Zjednoczonej Prawicy są jedność i wspólny program, któremu nasi wyborcy już wielokrotnie zaufali i który sprawdził się w praktyce. To powinno być nadrzędnym celem w dyskusjach koalicyjnych, a nie to, kto ile i jakich synekur utrzyma.

Nie boi się pani, że to zaufanie – nadwyreżone przecież przy okazji dyskusji o terminie wyborów – jest już wewnątrz koalicji nie do odbudowania? Politycy Solidarnej Polski mówią w mediach wprost, że gdyby ich partia wystartowała samodzielnie, mogłaby liczyć na ok. 5 proc. poparcia. To brzmi jak podbijanie stawki.

5 proc. poparcia nie daje szansy na rządzenie. Myślę, że koledzy i koleżanki z Solidarnej Polski zdają sobie z tego doskonale sprawę. Raz jeszcze podkreślam – fakt, że twardo negocjujemy i się różnimy, nie jest sam w sobie niczym złym. Gdybyśmy nie różnili się programowo, byłibyśmy przecież jedną partią.

W kuluarach się mówi, że jesienią 2019 r. Zbigniew Ziobro wystąpił z propozycją połączenia jego partii z PiS.

Czy takie propozycje były, nie wiem, ale prawdą jest, że bardzo dużo nas łączy. Zarówno Zbigniew Ziobro, jak i wielu polityków SP, wywodzą się przecież z Prawa i Sprawiedliwości. Z jakiegoś powodu zdecydowali się w pewnym momencie na pójście własną drogą, ale dzisiaj mam wrażenie, że większość „konfliktów” między nami to tematy wykreowane przez media oraz pewnych polityków, którzy w sezonie ogórkowym uznali, że podsycanie napięć może im przynieść popularność. Niezmiennie stoję jednak na stanowisku, że to, co robimy, nie wykracza poza standardy negocjacyjne obecne od zawsze w polityce.

Był jednak moment, w którym poza standardy wykroczone – włącznie z groźbą rozpadu koalicji.

Faktycznie, termin wyborów prezydenckich był dla nas poważnym kryzysem. Sama byłam bardzo krytycznie nastawiona do zmiany daty z maja na lipiec.

Dzisiaj, po czasie, też tak pani myśli?

To już jest historia i nie ma co do niej wracać, ale wtedy było blisko poważnego pęknięcia w Zjednoczonej Prawicy. Na szczęście udało się tę sytuację opanować.

A czy teraz udało się opanować front sporów światopoglądowych? Sam wielokrotnie słyszałem z ust polityków PiS, że Solidarna Polska zdominowała agendę światopoglądową tematyką LGBT, a teraz należy stłuszczyć nastroje.

Nie dostrzegam tutaj dysonansu programowego, ponieważ również moja partia podkreśla, że stoi na straży wartości i nie akceptuje ideologii LGBT. Byliśmy krytyczni wobec polityki gender propono-

wanej przez Unię Europejską. Osobiście w Rzymie na rocznicy podpisania traktatów rzymskich nie zgodziłam się podpisać rezolucji okolicznościowej, w której podkreślono, że m.in. sprawy gender powinny być jednym z filarów wspólnoty.

Podam jeden przykład – wypowiedzenie konwencji stambulskiej. Temat wywołany do tablicy przez Zbigniewa Ziobrę, który później musiał być wygaszany przez premiera Mateusza Morawieckiego poprzez skierowanie go do Trybunału Konstytucyjnego.

Premier miał prawo skierować ten temat do Trybunału i taką decyzję podjął. Również u nas w partii dyskusja o konwencji toczy się od dawna i nie ukrywamy, że mamy wobec niej negatywne stanowisko. To oczywiście tematy emocjonalne.

Pani jako premier wypowiedziałaby konwencję stambulską?

Gdybym nadal była premierem, zapewne taką decyzję bym podjęła. Łatwiej mi to jednak mówić z obecnej pozycji, premier może mieć natomiast inne motywacje i argumenty, o których mam prawo nie wiedzieć. To w końcu on odpowiada dzisiaj za rząd. Jeśli chodzi o spory światopoglądowe, to przypominam, że ten temat zaczął wybrzmiewać znacznie wcześniej i był jedną z osi kampanii prezydenckiej, podczas której Andrzej Duda mocno podkreślał swoją rolę w obronie konserwatywnej agendy.

Czy cieszy się pani z zapowiedzi Kamila Bortnicka, który niedawno na antenie TVN24 mówił, że Jarosław Gowin zdecydował o powrocie do rządu, ale jeszcze nie wiadomo w jakiej roli.

To są decyzje koalicjanta, jakiego reprezentanta będzie miał w rządzie. My w to nie ingerujemy.

Czyli zupełnie bez emocji podchodzi pani do powrotu człowieka, który zmienił datę wyborów prezydenckich?

Nie jest tajemnicą, że publicznie krytykowałam Jarosława Gowina wtedy, kiedy ważyła się data 10 maja, i uważam, że jego zachowanie mogło nas wiele kosztować. To był z jego strony poważny błąd.

Nie ma pani premiera wrażenia, że patrząc z obecnej perspektywy, ten „błąd” wzmocnił zarówno jego, jak i podmiotowość Porozumienia?

Cóż, na tym polega koalicja, że trzeba szanować decyzje partnerów, nawet jeśli czasem trzeba zagryźć zęby. Cytując klasyka: są takie sytuacje, w których

„głosuje się za, ale się nie cieszy”. Dlatego powtórzę: spory sporami, ale na koniec dnia i tak najważniejsze jest to, abyśmy byli w stanie sprawnie realizować nasz program wyborczy, wywiązywać się z naszych obietnic, być wiarygodnymi w oczach ludzi, naszych wyborców. Obrażanie się w polityce do niczego nie prowadzi. Nie o ambicje polityków w polityce winno chodzić, ale o dobro wspólne.

Zmienimy nieco temat. Czy jest pani dobrym człowiekiem?

Sama siebie nie oceniam, to inni musieliby zabrać głos. Staram się być dobra, ale jak każdy z nas mam swoje wady. Dlaczego pan pyta?

Ponieważ niedawno Jarosław Kaczyński, prezentując na konferencji prasowej projekt zakazujący m.in. hodowania zwierząt futerkowych, stwierdził, że „poprze go każdy dobry człowiek”. Czy pani premier za tym projektem by zagłosowała?

Tak, tym bardziej że za mojej kadencji klub przygotowywał podobne rozwiązania służące ochronie zwierząt. Później nie znalazły one niestety szczęśliwego finału. Może warto podejść do sprawy raz jeszcze? Jarosław Kaczyński nigdy przecież nie ukrywał, że to dla niego osobiście ważne zagadnienie.

Ważne, ale jego przeciwnicy znajdują się nawet w samym PiS. Czy w takim razie nie są dobrymi ludźmi?

Rozumiem, że oni ostatecznie poprą tę ustawę. Te inicjatywy zawsze budziły dużo emocji, ale nigdy nie było tak, że ostatecznym argumentem przeciwko była niechęć do ochrony zwierząt, tylko próba znalezienia kompromisu z przedsiębiorcami, którzy utrzymują się z hodowli. Mam nadzieję, że tym razem uda się te przeciwności pokonać.

Ile jest prawdy w twierdzeniu, że to początek większego zwrotu partii, a zwłaszcza jej struktur młodzieżowych, w kierunku tematów środowiskowo-ekologicznych i odbicia ich lewicy?

PiS, będąc wiernym swoim fundamentom programowym, powinien otwierać się na nowe pomysły – inaczej pogrążymy się w ideowej stagnacji. Na tym polega długofalowe myślenie o polityce, a my jesteśmy partią, która chce umiejętnie odpowiadać na wyzwania współczesności. Jeśli chodzi o młodzieżówkę Prawa i Sprawiedliwości, to tematy środowiskowo-ekologiczne od dawna są tam szeroko dyskutowane. Osobiście jestem ostrożna,

jeśli chodzi o tematykę środowiskową, o tzw. Zielony Ład, to, co się próbuje na Polsce wymuszać za pośrednictwem Unii. Nie można jednak zamykać oczu na to, że świat wokół nas się zmienia, a wraz z nim ewoluują oczekiwania ludzi. Dobrze, że w Zjednoczonej Prawicy podejmujemy tę dyskusję, nie zostając w tyle.

Tylko po jaki elektorat sięga partia, która forsuje stanowisko szeroko krytykowane również wśród jej najwierniejszych wyborców? Na razie pozytywnie o „piątce dla zwierząt” wypowiadają się głównie lewica i Koalicja Obywatelska.

Zawsze trzeba dbać o elektorat, który wiernie stoi przy partii w jej najtrudniejszych momentach. Jestem w tym aspekcie często krytycznie nastawiona do działań podejmowanych przez nasz obóz w ciągu ostatnich lat, jeżeli odbywały się one kosztem uczciwych wobec nas wyborców. Wobec nich trzeba być zawsze fair. Dzięki nim wygramyśmy ponownie wybory prezydenckie i parlamentarne, wcześniej europejskie i samorządowe. Bardzo im za to jeszcze raz dziękuję. We wszystkich tych kampaniach kluczową rolę odegrały dokonania z pierwszych miesięcy naszych rządów – realizacja obietnic z kampanii 2015 r., która stworzyła nasz pancierz wiarygodności, pozwalający nam ponownie prosić o zaufanie. Jeżeli chcemy nadal wygrywać, to musimy o tym pamiętać. I tu nic się nie zmieniło.

Wielu komentatorów twierdzi jednak, że PiS skręca tym postulatami na lewo.

Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego ochrona zwierząt z automatu ma być przypisana partiom lewicowym, które zawłaszczyły sobie ten obszar. Przecież nie chodzi nam o żaden manifest polityczny, tylko dobrostan żywych istot, których futro wykorzystywane jest do produkcji odzieży, a resztę ciała trzeba w kosztowny sposób utylizować. Co do środowisk prawicowych, które bardzo krytycznie wypowiadają się o naszym projekcie po zaledwie jednej konferencji – mam prostą prośbę o przeczytanie go w całości. Może wtedy zmienią zdanie. Zaręczam, że nie chcemy niczego robić kosztem polskiego rolnictwa. Jeśli chodzi o opozycję, to warto, by również ona zastanowiła się, czy nie podchodzi do zagadnienia praw zwierząt instrumentalnie. Przecież ci sami ludzie, gdy tylko podnosimy temat życia nienarodzonego, od razu wpadają w histerię. Na tych przykładach widać, że nie możemy być zakładnikami żadnych skrajności.

Nie obawia się pani premier otwartego konfliktu z o. Tadeuszem Rydzykiem, który od początku wspierał interesy lobby futrzarskiego i otwarcie krytykował wcześniejsze projekty PiS?

Każdy projekt ustawy ma swoich krytyków, ale po to jest cały proces legislacyjny, aby w jego toku znaleźć możliwie kompromisowy kształt rozwiązania. Natomiast to, czy o. Tadeusz Rydzyk będzie z niego zadowolony, wykracza poza dyskusję polityczną.

Dyskusją ściśle polityczną jest jednak debata na temat nepotyzmu w szeregach władzy. Jak pani, oglądając wszystko z Brukseli, ocenia kontrowersje wokół zatrudnienia, a później zwolnienia m.in. byłego posła PiS Łukasza Zbonikowskiego, małżonki ministra Adama Andruszkiewicza czy sstryja prezydenta Andrzeja Dudy? Wszyscy znaleźli pracę w instytucjach państwowych.

To odwieczny dylemat pod tytułem: „Czy rodziny członków partii politycznych mogą i powinny zajmować określone stanowiska w administracji publicznej i spółkach Skarbu Państwa?”. Moim zdaniem na pierwszym planie zawsze powinny być kompetencje i przygotowanie merytoryczne do pełnionej pracy, a proces naboru musi być maksymalnie transparentny.

Czy tego zabrakło?

Na pewno politycy powinni bardzo uważać na to, aby nie faworyzować swojej rodziny i bliskich, bo to zawsze budzi naturalne wątpliwości wyborców. Nie chcę oceniać kompetencji wymienionych przez pana osób, ale sama nigdy nie pomogłam mojej rodzinie w pozyskaniu posady

w instytucjach państwowych i zarządach spółek – tego się trzymam.

Czy pani zdaniem dwa tematy, które były osią pierwszej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy – mam na myśli reformę wymiaru sprawiedliwości i dekoncentrację mediów – doczekają się w ciągu następnych trzech lat jakiegoś finału? Końca prac nad ustawami nadal nie widać.

Chciałabym, aby reforma sądów została wreszcie dokończona, bo ja i mój rząd ją rozpoczynaliśmy i nadal czuję w tej kwestii swoją odpowiedzialność. Trzymam kciuki za ministra Zbigniewa Ziobrę, aby tę misję doprowadził do końca, bo uzdrowienie wymiaru sprawiedliwości jest czymś od dawna oczekiwanym przez wielu Polaków – nie tylko nasz elektorat. Kiedy to robić, jeśli nie teraz? Również prezydent Andrzej Duda może i powinien wnieść w proces reformy swoje pomysły, bo to on ostatecznie ustawy podpisuje. Tak samo życzyłabym sobie, aby udało się przeprowadzić dekoncentrację mediów. Podchodziliśmy do tematu kilka razy...

Pamiętam moją rozmowę z ministrem Pawłem Lewandowskim w 2017 r. Już wtedy ustawa dekoncentracyjna miała być gotowa i leżeć w szufladzie. Minęły trzy lata, a ona nie ruszyła się z miejsca.

Jedyna rzecz, która nam się tutaj do końca udało, to powstała za moich rządów ustawa wstępna napisana na model francuski, pozwalająca, aby media stały się również spółkami Skarbu Państwa.

Z tego trudnego pola nie możemy się jednak uchylić, ale problem polega na tym, że nie widać w tej chwili żadnego projektu konsensusowego, który bez poważnych

perturbacji na rynku medialnym w kraju mógłby wejść w życie. Wierzę jednak, że zapowiedzi składane przez obecnych członków rządu zostaną zrealizowane.

Gdy przygląda się pani z dystansu Nowej Solidarności Rafała Trzaskowskiego i Polsce 2050 Szymona Hołowni, który ruch ma większą szansę na odegranie istotnej roli na naszej scenie politycznej?

Na razie są to tylko zapowiedzi. Nowa Solidarność miała się otworzyć 5 września, ale odpłynęła w siną dal, bo Rafał Trzaskowski ma na głowie kryzys ściekowy w Czajce. Ten projekt, podobnie jak kariera polityczna prezydenta Warszawy, to obecnie więcej medialnego szumu niż jakiegokolwiek treści. Jeżeli chodzi o Szymona Hołownię, to na razie ma w swoich szeregach tylko jedną posłankę – Hannę Gill-Piątek, która odeszła z Lewicy. On przynajmniej podejmuje jakieś ruchy, aby wejść do gry partyjnej. Niezwykle trudno będzie mu jednak stworzyć stabilną partię. Wydaje się, że nasza scena polityczna jest dosyć szalenie wypelniona i może nie zmieścić kolejnego tworu centrolewicowego więcej.

Chyba że – i tu wracamy do punktu wyjścia – rozpad Zjednoczonej Prawicy poukłada ten obraz na nowo.

O to proszę się nie obawiać. Jakoś się na końcu dogadamy. Mamy jednoczące nas idee i to właśnie dlatego wygrywamy kolejne wybory. A co ma największa partia opozycyjna? Spory o to, czy Grzegorz Schetyna polubi się z Borysem Budką. To za mało na przejęcie władzy, ale to również nie mój problem, nie moja broszka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA





Piotr Semka

Brak angażowania się PiS w zwarcia na polu ideologicznym nie sprawi, że takich konfliktów nie będzie. Jest i będzie dokładnie na odwrót

Trudno nie odnieść wrażenia, że w krótkim czasie na czoło formacji Jarosława Kaczyńskiego wysunął się szef Forum Młodych tej partii Michał Moskal. Głośno zrobiło się o nim po wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy”, w którym poruszył on kwestie aktualnych wojen kulturowych. Stwierdził w nim: „Wiadomo, że [pewne] treści mogą nam się nie podobać, ale nie sposób zawrócić pewnych tendencji. Nie uczynimy nagle kultury pravicową. Nie ma sensu wojna kulturowa z lewicą tu i teraz, trzeba działać w długofalowej perspektywie”. Wywiad wywołał spore wzburzenie po prawej stronie i skłonił Michała Moskala do riposty. W rozmowie dla PAP mówił: „Mam wrażenie, że wiele osób, które odnosiły się do tego wywiadu, albo go nie przeczytały, albo przeczytały bez zrozumienia, ograniczając się do wyrwanego z kontekstu tytułu. Tak zwana wojna kulturowa na zasadzie konfrontacji na ulicach nie spowoduje zwycięstwa myśli konserwatywnych”.

Moskal oburzył się więc na sugestie, że chce zrezygnować z pojedynku ideowego, ale jednocześnie uznał za coś oczywistego to, iż większość mediów jest przechylona na lewo. Akcent położył jedynie na to, że prawica musi posiadać umiejętność, by w tych mediach dobrze się znaleźć. Wywiad z Moskałem w „Do Rzeczy” ukazał się 24 sierpnia. Jego odpowiedź na krytyki – 31 sierpnia. A 7 września Piotr Nisztor na łamach „Gazety Polskiej” przedstawiał nową taktykę rządzącej partii: „PiS, chcąc za trzy lata wygrać wybory parlamentarne, musi pozyskać głosy obecnych nastolatków. To kluczowe zadanie Jarosław Kaczyński powierzył partyjnej młodzieżówce – Forum Młodych, która zaczyna coraz prężniej działać”. Jak opisuje Nisztor, wybory w 2023 r. cechować będzie to, że na ich wynik ogromny wpływ będą miały głosy młodzieży. A według badań ostatnich wyborów parlamentarnych na partię Jarosława Kaczyńskiego głosowało w grupie do 26 lat tylko 30 proc. wyborców.



FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Bez silnej tożsamości PiS będzie słaby jak dziecko

Nisztor pisze: „Czas biegnie nieubłaganie. Ofensywa Forum Młodych to dalekosiężny plan prezesa Kaczyńskiego na sukces PiS w przyszłości. Pokazanie nastolatkom, że prawica to nie tylko radykałowie z Młodzieży Wszechpolskiej, lecz także konserwatyści, którzy potrafią być tolerancyjni, choć mogą zareagować twardo tam, gdzie dochodzi do zamachu na ich wartości. Dodając do tego elementy programu związanego z ekologią i ochroną zwierząt, trudno nie dojść do wniosku, że to oręż mający odbić zwolenników także lewicy”.

Zacytujmy wreszcie trzeci głos, tym razem z obozu Porozumienia. W wywiadzie dla Polsat News wicepremier Jadwiga Emilewicz, zapytana o to, jak się odnajduje w konflikcie ideologicznym, odpowiedziała: „Być może po to jesteśmy w polityce, by o takie sprawy światopoglądowe zabiegać. Często nie odnajduję się w sposobie prowadzenia tych dyskusji [...]. Różnica między częścią moich kole-

gów w obozie Zjednoczonej Prawicy polega na tym, że te wojny kulturowe można prowadzić różną amunicją. Nasza husaria wygrywała wiele bitw, ale były też takie, w których została niestosownie użyta”. Zapytana, czy to „husaria Solidarnej Polski została niestosownie użyta?”, odparła: „Ona nie prowadzi do celu, tej wojny w taki sposób nie wygramy. Na pewno zaistniejemy w mediach, na pewno za sprawą kilku tego typu inicjatyw będziemy długo na paskach w mediach. Ale czy wygramy w ten sposób, czy przyciągniemy do nas, czy zmienimy kierunek zmian społecznych, który w Europie Zachodniej rozpoczął się 20 lat, nawet może zakończył się 20 lat temu?”.

KTO KOMU WYDAJE WOJNĘ?

Warto zatrzymać się nad tymi cytatami. Pierwsze, co się narzuca, to pytanie, czy można zatrzymać „kierunek zmian społecznych, który w Europie Zachodniej

rozpoczął się 20 lat, nawet może zakończył się 20 lat temu”.

Samo stawianie takiego pytania sprawia wrażenie, że polityk wypowiadający takie słowa nie wierzy w sens oporu. A przecież to elementy niedostosowywania się do europejskiej czy nawet światowej poprawności politycznej zbudowały twarde trzon elektoratu PiS. Szerzej – w całej Europie determinacja takich partii jak Fidesz Viktora Orbána czy we Włoszech Ligi Matteo Salviniego pokazała, że zmiany cywilizacyjne da się cofać i można to efektywnie czynić. Oczywiście przypadek Włoch unaoczniał, że przy dużym udziale czołowych unijnych graczy można stworzyć koalicję „wszyscy” przeciw inicjatorom zmian. Jednak to odwaga ideowa gwarantuje sukces, a nie wiara w ideową mimikrę.

PiS znalazł się obecnie w bardzo delikatnym momencie. Ma świadomość, że trudno będzie znaleźć kolejny polityczny hit w rodzaju „500+”. Jednocześnie można podejrzewać, że politycy, którzy dobrze odnaleźli się na tysiącach stanowisk państwowych, już myślą o wyborach w 2023 r. i mogą chcieć zrobić wszystko, aby ośmioletnią koniunkturę polityczną przedłużyć jeszcze o cztery lata. Stąd myślenie o młodych wyborcach. Jest to jednak myślenie specyficzne. Zakładające, że aby ich zdobyć, trzeba przyjąć za własną lewicową agendę. Jeśli połączone jest to z dystansem wobec konfliktu kulturowego – choćby np. z racji technokratycznego spojrzenia na politykę – to recepty na łagodzenie sporów ideologicznych mogą być w najbliższych latach coraz częstsze.

Tyle że są one zbudowane na dość naiwnym przekonaniu, że jeżeli PiS nie będzie wchodził w zwarcia na tym polu, to takich konfliktów nie będzie. Jest i będzie dokładnie na odwrót. Współczesna lewica to dziś formacja zmian cywilizacyjnych, która wypchnęła z mainstreamu tego nurtu politycznego dawną wrażliwość na nierówności społeczne lub wyzysk pracowników najemnych. Dzisiaj to lewica kulturowa odnosi niemal każdego dnia kolejne sukcesy w walce o emancypację tych grup społecznych, które wyniesiono na nowy piedestał – kobiet, mniejszości seksualnych czy grup etnicznych. Formalnie zwolennicy zmian nie reprezentują żadnej konkretnej partii ani międzynarodowego ruchu, jednak realnie zmieniają ustawodawstwo i normy prawne w krajach Zachodu.

Ostatnim przykładem ich wpływów są zmiany w regulaminie nagród amerykańskiej Akademii Filmowej, które odbierają szansę na Oscara każdemu filmowi, który wśród głównych wątków nie przedstawia problemów uciśnionych mniejszości. Podobnie było w ostatnim sporze o „Margot”. To Michał Sz. zaatakował fizycznie kierowcę furgonetki, która obwoziła po mieście hasła krytykujące ideologię LGBT, to także on sprofanował pomnik Jezusa na Krakowskim Przedmieściu. Gdy prokuratura wyciągnęła konsekwencje i dokonała zatrzymania, tęczowi działacze demonstrowali w tak agresywny sposób, że dochodziło do ich zatrzymań.

Tymczasem wśród części polityków PiS pojawiły się opinie, że awantura o LGBT była z premedytacją zaplanowaną akcją Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry. Tezę tę natychmiast podchwyciły liberalne media, które już wielokrotnie obsadzały Solidarną Polskę w roli szwarccharakteru w obozie Zjednoczonej Prawicy. Jest to tym łatwiejsze, że o wewnętrznych relacjach w trójkącie PiS – Solidarna Polska – Porozumienie trudno nie pisać bez cytowania anonimowych wypowiedzi. Tyle że daje to też łatwość do formułowania spisanych z sufitu tez rozdających etykiety, kto jest dobry, a kto zły po prawej stronie. A tym złym okazuje się zazwyczaj ekipa Zbigniewa Ziobry.

Rzuca się w oczy jeszcze jeden element. Ci sami politycy potrafią w pewnych momentach formułować postulaty dotyczące sporów ideologicznych, a potem nagle wycofywać się z nich pod wpływem zaniepokojenia jakimś kryzysem. Jadwiga Emilewicz jeszcze miesiąc temu wspierała idee odrzucenia konwencji stambulskiej. Teraz nawiązuje do kliszy, że Solidarna Polska wywołała awanturę o LGBT, i ironizuje, iż wskutek takich działań „na pewno na sprawę kilku tego typu inicjatyw będziemy długo na paskach w mediach. Ale [...] czy zmienimy kierunek zmian społecznych, który w Europie Zachodniej rozpoczął się 20 lat, nawet może zakończył się 20 lat temu?”. To charakterystyczne, że pani wicepremier odbiera rzeczywistość na podstawie tego, co jest na paskach liberalnych mediów. Jeśli te media definiują sytuację jako godny potępienia przypadek agresji policji wobec pokojowych, tęczyowych demonstrantów, to wiecznie będzie zaniepokojona niepotrzebnym mnożeniem konfliktów przez rząd. I tym samym staje się zakładnikiem władzy interpretacji, którą narzucić mogą

medialni szamani sprzyjający postępowej rewolucji obyczajowej.

GRAĆ NA WŁASNYCH WARUNKACH

Konserwatyści, którzy nie chcą wyznawać smętnej zasady „umierać, ale powoli”, potrafili w Ameryce w latach 80. dobrze zrozumieć przyczynę regresu lat 70. i 80. Zrozumieli, że trwożliwe wsłuchiwanie się w to, jak media liberalno-lewicowe przedstawiają rzeczywistość, to droga donikąd. Że skuteczną metodą przeciwdziałania „długiemu marszowi lewicy przez instytucje” jest kreowanie własnej elity, tworzenie własnych mediów i budowa własnych uniwersytetów. Dzięki temu amerykańscy konserwatyści nie rozpuścili się w lewicowej zupie, ale doczekali się epoki Donalda Trumpa. Oczywiście republikanie w USA mieli okresy bardziej ideowe, np. za czasów Ronalda Reagana, lub bardziej pragmatyczne, choćby za prezydentury George’a W. Busha juniora, ale Grand Old Party pozostała ugrupowaniem, które nie utraciło zdolności walki w konflikcie cywilizacyjnym.

Zupełnie inaczej było z niemiecką chadecją. W latach 70. i 80. nie znalazł się w tej partii żaden znaczący polityk, który by zrozumiał, że bez podjęcia sporu cywilizacyjnego z lewicą kulturową nie da się utrzymać jej konserwatywnego charakteru. Jeszcze w latach 60. i 70. CDU i CSU dysponowały takimi środkami finansowymi, że mogły pomóc stworzyć bliskie sobie ideowo tygodniki, dzienniki czy nawet stacje telewizyjne. Tak się nie stało i dziś chadecja trzyma się tylko na indywidualnej poprawności Angeli Merkel. Przywódczyni, która zalegalizowała małżeństwa homoseksualne, a potem zaangażowała się obojętnie w utopię przyjęcia niemal miliona uchodźców z krajów Trzeciego Świata.

Dlatego konserwatyści w Polsce reagują bardzo nerwowo na wszelkie opinie, które kojarzą się z akceptowaniem fatalizmu, tezy o nieuchronności zmian lansowanych przez lewicę. Jedną kwestią jest zastanawianie się, jak dotrzeć do młodych wyborców i jak inaczej rozkładać akcenty w mówieniu o ekologii czy walce z cierpieniem zwierząt, a czym innym jest przyjmowanie optyki lewicy przy konkretnych konfliktach politycznych. Dobiegające ostatnio z obozu PiS wieści każą reagować z pełną powagą na zachowania, w których przyjmuje się logikę i moralny szantaż lewicy.



Rafał A. Ziemkiewicz

Formacja rządząca stanęła przed wyborem dalszej drogi. Sami jej liderzy, sądząc po rozproszonych w mediach wypowiedziach, widzą go jako wybór między „ciepłą wodą w kranie” a „twardą linią”

Jedni twierdzą, że Polacy oczekują po władzy, żeby rozdawała pieniądze i zapewniała bezpieczeństwo, a poza tym dawała obywatelom spokój. Drudzy odpowiadają, że Polacy tylko takie oczekiwania deklarują, ale w istocie pociągają ich ostre spory, zwłaszcza te tożsamościowe, i kluczem do sukcesu jest stałe podgrzewanie związanych z nimi emocji.

Pierwsza opcja prowadzi do logicznego wniosku, że PiS powinien robić to samo, czemu swe sukcesy zawdzięczał przed laty Tusk: zadowalać się dostarczaniem „cieplej wody w kranie”, stronić od stawiania poważnych wyzwań i dystansować się od radykalizmów. Druga, że właśnie przeciwnie, należy być radykalnym, przynajmniej w retoryce.

Widać też postawę próbującą godzić obie propozycje, na pozór zdroworozsądkową: część partii powinna obsługiwać emocje „żelaznego elektoratu”, część dystansować się od nich, uwodząc wyborców centrowych „socjałem” i wykresami wzrostu PKB. W praktyce tak przecież

właśnie dotąd PiS działał i efekty są znakomite. W takiej zdroworozsądkowej (pozornie, powtarzam) optyce cały spór zostaje zredukowany do politycznego PR, pozorów kryjących graniczący z cynizmem pragmatyzm: niech Ziobro, skoro wyraźnie tak właśnie obstał, tworzy skrzydło radykalne, wzywa do ostrej walki z rewolucją LGBT i wypowiedzenia konwencji stambulskiej, a Morawiecki niech się od tego dystansuje, przecinając wstęgi i zapewniając o gospodarczych sukcesach, a tym sposobem PiS utrzyma zarówno głosy prawicy, jak i centrum. (Nikt, jak się wydaje, nie dopuszcza myśli, że może też pójść na odwrót: skrzydło umiarkowane odepchnie od Zjednoczonej Prawicy ideowych prawników, a radykalne – umiarkowanych).

MYŚLENIE POWIERZCHOWNE

Dlaczego uważam takie rozumowanie za tylko z pozoru zdroworozsądkowe? Ponieważ cała alternatywa jest skutkiem myślenia powierzchownego i tak zdefiniowany spór nie uwzględnia sprawy najważniejszej: tego, że nastroje społeczne się zmieniają. Polityka, w swej części praktycznej, często porównywana jest do żeglarstwa. Tak jak nie ma jednego, idealnego ustawienia żagli, tak nie ma uniwersalnej recepty na zwycięstwo

w wyborach. PiS zdążył już tego w swej krótkiej historii boleśnie doświadczyć: kampania wyborcza oparta na wrogości wobec skorumpowanych, wyalienowanych elit w roku 2005 dała mu władzę, a powtórzona literalnie zaledwie dwa lata później przyniosła klęskę.

Jednak fakt, że oczekiwania obywateli wobec polityki się zmieniają, to dopiero połowa tajemnicy. Najważniejsze jest to, że zmieniają się one w zależności od tego, co sama polityka ma wyborcom do zaproponowania.

Niektórym – dotyczy to także osób wysoko postawionych – wydaje się, że przy współczesnej sprawności i zasobie doświadczeń marketingu politycznego przywództwo polega już tylko na zainwestowaniu odpowiednich środków w badania opinii publicznej i fachowców, którzy je odpowiednio zinterpretują. To złudne przekonanie. Żadne badania opinii publicznej nie powiedzą politykowi, gdzie ma prowadzić ludzi, ponieważ badani sami tego nie wiedzą – gdyby wiedzieli, w ogóle by polityków nie potrzebowali. Gdyby w roku 1950 przeprowadził ktoś badania, jaką książkę najchętniej czytelnicy kupią, z całą pewnością nikt nie powiedziałby, że czeka na historię o hobbicie z magicznym pier-



FOT. MATEJSZ MAREK/PAF

czasu wykazał jego przywódca. Ale przecież tamta diagnoza dawno się już wyczerpała, a wraz z nią wyczerpuje się i wynikający z niej kredyt. Świat się całkowicie zmienił. I przyszłość PiS, a wraz z nią przyszłość Polski, zależy od tego, czy obóz rządzący tę zmianę dostrzeże, właściwie zinterpretuje i przedstawi Polakom propozycję, którą ich porwie. Jeśli chce rządzić tylko na zasadzie czysto reaktywnej, wpatrzony w sondaże, gasząc na bieżąco kolejne kryzysy czy skupiając się na „bólach”, to takie rządy nie przetrwają długo. Mówiąc ściślej: przetrwają tak długo, aż zobaczą wyborcy jako alternatywę dla „mniejszego zła” rządów PiS jakieś „większe dobro”. I doprawdy na miejscu polityków PiS nie opierałbym nadziei na przyszłość na tym, że po wielokroć skompromitowana „opozycja totalna” obecnie nie jest w stanie niczego takiego Polakom dać.

Przyszłość zależy od tego, kto – rządzący czy opozycja – właściwie przewidzi i rozpozna nadchodzące nowe wyzwania. Zgoda, że w przypadku liberalnej i lewicowej części opozycji wydaje się to dziś zupełnie nieprawdopodobne, jest ona bowiem zakładnikiem swego podstawowego, strategicznego wyboru, by być „partią Europy w Polsce”, a mówiąc dokładniej – „partią Unii Europejskiej”. Cały przekaz PO i Lewicy daje się streścić w jednym zdaniu: to my gwarantujemy, że Polska będzie aprobowana przez władze Unii i rządy unijnych mocarstw, to my reprezentujemy „europejskość”.

W czasach Tuska stanowiło to rzeczywiste gwarancję sukcesu. Przeciętny Polak postrzegał wówczas Europę jako źródło samych korzyści. Odreagowaliśmy też lata PRL-owskiej biedy i balcerowiczowskiego „zaciskania pasa”, dlatego przeciętny Polak nie chciał słyszeć o niczym poza konsumpcją i gniewnie odsuwał od siebie wszystko, w czym widział dla tej radosnej konsumpcji zagrożenie – a do takich spraw zaliczał, między innymi, próby wyjaśnienia, co naprawdę stało się w Smoleńsku, albo pytania o uczciwość i wzajemność naszych relacji z Europą.

Jednak to właśnie się od kilku lat zmienia i to ta zmiana dała PiS już dwukrotnie większość parlamentarną oraz Belweder. Wizja Europy jako dobrotliwej i szczodrej mamuśki jest coraz mniej popularna. Coraz bardziej zaś widać, że członkostwo w Unii nie

jest panaceum na nasze problemy, ale także wiąże się z zagrożeniem. Zagrożeniem dla naszej tożsamości, dla naszej godności i dla naszego dobrobytu.

Dotychczas wystarczało PiS uchodzić za partię mniej entuzjastyczną wobec Brukseli, partię zdolną „stawiać się” Europie w pewnych szczegółach, ale generalnie prounijną. Przemiana Unii Europejskiej z organizacji międzynarodowej w miarę szanującą wszystkich swych uczestników w zideologizowane superpaństwo, realizujące imperialistyczne interesy „starej Unii” kosztem wschodnich i częściowo południowych prowincji, nabrała jednak oszałamiającego tempa. Władze UE, nie mając zresztą ku temu żadnej demokratycznej legitymacji, zaprzeczyły fundamentalnym dla dawnej Unii swobodom przepływu towarów, kapitału i siły roboczej, gdy zaczęły one być bardziej korzystne dla „nowej Europy” niż dla starej – czego jaskrawym przykładem jest zniszczenie polskich firm transportowych dyrektywą o pracownikach delegowanych. Teraz miejsce tamtych dawnych fundamentów UE zająć ma ideologia, bliżej niesprecyzowane „wartości europejskie” definiowane przez kolonialistów ze „starej Unii” tak, aby stanowiły użyteczne narzędzie do tresowania i podporządkowywania krajów kolonizowanych.

„Rewolucja LGBT”, gender, „walka z faszyzmem/rasizmem” etc. – to wszystko nowa maska dla kolonializmu, nowa formuła „misji białego człowieka”. Kto pierwszy zrozumie, że właśnie stosunek do opisanej tu zmiany Unii jest kluczem do przyszłości, kto pokaże ten problem Polakom i zdecydowanie postawi w centrum uwagi obronę przed kolonizacją, w każdej jej formie – i kulturowej, i ekonomicznej – ten, jak sądzę, zdobędzie na długi czas przywództwo nad narodem.

W tym kontekście spory „mówić o tęczącej zaradzie czy o przyszłych zyskach z CPK” wydają się niepoważne. Polityka, jeśli nie ma być politykierstwem, wymaga oderwania się od doraźności, zrozumienia wyzwań i wyznaczenia celów bardziej dalekosiężnych niż wygranie kolejnych wyborów. Czy w Zjednoczonej Prawicy są siły zdolne przyjąć taką perspektywę i poprowadzić Polaków w nową, zmienioną rzeczywistość? Jeśli nie ma ich tam, to znajdą się gdzie indziej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PREMIA ZA UPÓR

PiS odbiera dziś premię za upór i nonkonformizm, jakimi się swego



Tomasz Rowiński

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro już od dość dawna jest jednym z „ulubieńców” liberalnych mediów. Od pewnego czasu próbuje się przedstawiać go jako demoniczną postać, którą straszy się Polaków. Dlaczego?

Plemienna polityka potrzebuje demonicznych postaci, na które może zrzucić wszystko to, co uważa się za zło. Potrzebuje też figur, którymi może straszyć swój elektorat. To straszenie ma dwa oblicza – z jednej strony rzuca cień grozy mobilizujący publiczność do większego zaangażowania w budowanie politycznej twierdzy, a z drugiej podsuwa przedmiot, który można łatwo opluć i wyśmiać. Taka osoba jest również czymś w rodzaju totemu, reprezentuje, czasem nie wprost, tę część społeczeństwa, której obecność w debacie publicznej wydaje się niemiła dla danego plemienia. Totem skupia najmroczniejsze z emocji i staje się obrazem politycznego przeciwnika, który w tym skupieniu niechętnych uczuć przekształca się we wroga publicznego. Ponieważ mówienie o przemocy czy, tym bardziej, jawne jej stosowanie wobec osób i grup nie jest dobrze odbierane w debacie publicznej, taki totem, wobec którego przemoc – przynajmniej słowna – zostaje społecznie oswojona, staje się narzędziem wykluczania społeczności uważanych za wrogie.

Przez lata liberalna polityka i liberalne media tworzyły takie postacie. Przemysł pogardy obrazował np. Lecha i Jarosława Kaczyńskich w sposób ohydny, zawsze w niekorzystnych pozach czy z minami mającymi sugerować ograniczenie umysłowe, wściekłość, pychę. Za pomocą obrazu, w czasach, gdy fotografowie produkują nieskończoną liczbą ujęć, można znieść bez słów. Można społeczeństwu wmówić, że ktoś jest głupi, zły i brzydki. Świadectwo tego, że przemysł pogardy działał z premedytacją, wystawił nam okres po katastrofie w Smoleńsku. Z dnia na dzień w tych samych mediach – telewizjach i gazetach



FOT. ANDRZEJ JUDYMIK/EPOLUX

Demonizowanie Ziobry

– zobaczyliśmy zupełnie innego Lecha Kaczyńskiego, a nawet zupełnie innego Jarosława. Katastrofa smoleńska była rewolucją medialną, w jednej chwili straciło sens przypisywanie prawicowemu wyborcy gęby szalonego czy nienawistnego Kaczyńskiego. Nie dało się dalej zożydzać cierpienia, patriotyzmu.

W późniejszym czasie rolę totemu przypisano Antoniemu Macierewiczowi, co było o tyle proste, że był on w epoce III RP zawsze politykiem budzącym kon-

troversje w niemal każdym środowisku. Macierewicz świetnie się nadawał do tego, by osłabić nie tylko mit smoleński, lecz także prawdę smoleńską, choćby tę o nędzy polskiego państwa, która została wtedy obnażona.

Nie zamierzam otwierać dyskusji o działaniach samego Antoniego Macierewicza, natomiast łatwo byłoby pokazać, jak bardzo jego rola polityczna była podbijana przez liberalne media i polityków. Wszystko po to, by swojemu

elektoratowi pokazać, że jeśli wygra PiS, wówczas Polską będą rządzić szaleńcy. Kaczyński, by naprawdę oderwać się od tych narracji opozycyjnych ośrodków, musiał wobec Macierewicza zastosować swoisty call out, czyli kasowanie, unieważnianie, które wcześniej nazywano u nas „chowaniem”. Macierewicz w pewnym momencie musiał zniknąć, by centroprawica mogła wywikłać się z tożsamości posmoleńskiej, która choć scalała znaczną część elektoratu, to jednocześnie nie mogła dać zwycięstwa wyborczego. Ta akcja liberałom się udała, a Jarosław Kaczyński nie chciał być wieczną opozycją.

WSZYSCY NA JEDNEGO

Także dziś możemy usłyszeć coraz wyraźniejszy głos wskazujący na pojawienie się nowego stracha na wróble, którym można przerażać i z którego można sztydzić. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro już od dość dawna jest jednym z ulubieńców liberalnych mediów. Przeszedł z nimi długą drogę od błyskotliwego członka komisji rywińskiej, który razem z Janem Rokitą podjął próbę realnego podważenia układów opłatających Polskę transformacyjną, do roli tego, który jest „gorszy od Kaczyńskiego”. Objawy wzmożenia agresywnych opinii o Ziobrze można było zauważyć już choćby w roku 2019. Tomasz Lis nazwał wtedy ministra sprawiedliwości „naczelnym hejterem RP”. Przyznają państwo, że czym innym jest krytyka takich czy innych poczynąń danego polityka, a czym innym zwykłe przyklejanie stereotypizujących etykiet. Wzrost zainteresowania Ziobrą nie był przypadkiem, minister sprawiedliwości zaangażował się w sprawę kasacji wyroku wydanego na drukarza z Łodzi, który nie chciał przygotować materiałów promocyjnych dla organizacji z nurtu politycznego ruchu homoseksualnego. Było to jak stąpanie na odcisk środowiskom lewicowym i liberalnym. Teraz, gdy w obozie Zjednoczonej Prawicy trwa proces walki o władzę, zohydzenie lidera Solidarnej Polski, którego media opozycyjne postrzegają jako poważnego kandydata do dziedziczenia po Kaczyńskim, trwa w najlepsze.

Pod koniec sierpnia za sprawą tekstu Kazimierza Bema na łamach „Newsweeka” Ziobro awansował z hejtera na religijnego fanatyka. Sądząc z rozwoju wydarzeń i zaangażowania ministra

sprawiedliwości przeciw ideologii LGBT, należało tego oczekiwać. „W 1687 roku Trybunał Koronny skazał kalwińskiego pastora z Krakowa Stanisława Maciejewskiego na dziewięć miesięcy więzy (więzienia). Jego zbrodnia? Używał komży i stuł podczas prowadzenia nabożeństw – prawo do strojów liturgicznych miał jedynie słuszny Kościół rzymski. Proces sędzia rozpoczął od słów: »Mamy dzicz – to zapolujemy«. W 1713 zbór w Szczepanowicach pod Tarnowem zwyciężnie spalono i zakazano jego odbudowy oraz prowadzenia nabożeństw”. Tak zaczyna się artykuł Bema, zatytułowany „Polska w odmętach religijnego fanatyzmu. Ziobro chce delegalizacji Reformowanego Kościoła Katolickiego”, w którym autor za wszelką cenę chce zrobić z Ziobry krwawego inkwizytora. O co chodzi? O braki formalne, na które zwróciło uwagę Ministerstwo Sprawiedliwości przy rejestracji przywołanej w tytule niewielkiej wspólnoty religijnej. „Mamy obawy, że sprawa jest polityczna” – mówili „Rzeczpospolitej” członkowie błogosławiącego związku jednopłciowe wyznania. Obawy to dość niewiele, by ministra sprawiedliwości oskarżać o fanatyzm religijny lub pisać o „nowej krucjacie Ziobry” – jak zatytułowała swój tekst referujący sprawę „Rzeczpospolita”. Można zrozumieć zaciętrzewienie tygodnika Tomasza Lisa. Ale jakie świadectwo wystawia sobie „Rzeczpospolita”, będąca kiedyś poważnym medium?

W niedawnej analizie bezpośrednio skierowanej przeciwko liderowi Solidarnej Polski Cezary Michalski także buduje atmosferę zagrożenia, pisząc, że „ludzie i sympatycy Ziobry są młodszy, bardziej sfanatyzowani”, a na liście podmiotów, które Ziobro miał skolonizować politycznie, znajduje się m.in. tygodnik „Do Rzeczy”. Może trzeba zapytać – jeśli rozmawiamy w takim klimacie – jakim mocodawcom podporządkował swoją publicystykę Cezary Michalski? Michalski idzie dalej, pisząc o tym, że biskupi obawiają się Ziobry, ponieważ mając dostęp do akt afer seksualnych w Kościele, może on zaproponować „Kościółowi deal bardziej przypominający czasy PRL-u”.

To stałe odniesienia używane przez liberałów i lewicę w narracjach o prawicy – rządy PiS i sojuszników to nieustanna rekonstrukcja PRL i dyktatura, domaganie się przestrzegania prawa w sprawach dotyczących wiary to fanatyzm religijny,

przestrzegania porządku publicznego – dyskryminacja.

Anna Dryjańska w naTemat.pl w tekście „Polaku, bój się Polski Zbigniewa Ziobry. To najbardziej niebezpieczny i mściwy polityk” jednoznacznie klasyfikuje Ziobrę jako kogoś, kto używa ludzi od „mokrej roboty”. Cały tekst, z którego można wyciągnąć wniosek, że Ziobro jest wszechmocnym, religijnie fanatycznym mafiosiem szykującym się do skoku na pozycję dyktatora, mógłby zapewne naszemu bohaterowi przypomnieć dowcip o dwóch Żydach czytających „Der Stürmera”, z którego wynikało, że to oni właśnie rządzą światem.

Paweł Wroński w „Wyborczej” gra przeciwko Ziobrze w inny sposób, pokazując go w otoczeniu zaangażowanych publicznie katolików regularnie – także przez Wrońskiego – opisywanych w „Wyborczej” jako „radykałów” i „ekstremistów”, kiedyś także „ultrakatolików”. Tłem tej charakterystyki jest Mateusz Morawiecki, człowiek umiarkowany, co do którego Wroński żywi, jak się zdaje, nadzieję, że przyłączy się on po sukcesji do obozu liberalnego, a nawet lewicy, jak zrobili to w przeszłości choćby brytyjscy konserwatyści.

DLACZEGO ON?

Dlaczego jednak to Zbigniew Ziobro stał się postacią szczególnie atakowaną? Czy tylko dlatego, że opozycja woli Morawieckiego? Nie sądzę. Poziom wrogości wobec obozu rządzącego jest tak wysoki w opozycyjnych mediach tradycyjnych i internetowych, że te subtelne rozróżnienia mogą prowadzić Michalski czy Wroński. Nie tak się jednak prowadzi politykę wobec mas szerokiej publiczności. Ziobro, może nieco niespodziewanie i być może przede wszystkim we własnym interesie, stał się silnym reprezentantem niektórych spraw ważnych dla opinii katolickiej. Opinii, którą liberałowie przez cały czas trwania III RP spychają do getta. Nie jest może reprezentantem doskonałym, ale wypełnia pewne minimum, np. takie, że wykazuje zainteresowanie prawami katolików w Polsce i ochroną ładu publicznego. Najgłośniejsze oburzenie wobec Ziobry słyszymy właśnie wtedy, gdy respektuje on te zasady prawa, które nie pasują do liberalnych ideologii. Tak było choćby z aresztowaniem Michała Sz. ps. Margot.



Maciej Pieczyński

PiS po raz kolejny próbuje zakazać hodowli zwierząt futerkowych. Nie brak opinii, że konserwatywna z założenia partia skręca w lewo

Piątka dla zwierząt, cios w przedsiębiorców?

PiS w zeszłym tygodniu zaprezentował „piątkę dla zwierząt”. Z konserwatywnego, prawicowego punktu widzenia to chyba najbardziej kontrowersyjna z dotychczasowych „piątek”, szumnie ogłaszanych przez obecnie rządzący obóz. – Chcemy pokazać, że miarą naszego człowieczeństwa jest to, jak traktujemy zwierzęta – tak przedstawiony projekt uzasadniał Michał Moskal, szef Forum Młodych PiS. To właśnie młodzieżówka partii Kaczyńskiego przygotowała projekt ustawy. Na prezentacji „piątki” pojawił się sam prezes, który od dawna nie kryje sympatii dla idei daleko idącej ochrony zwierząt. Nie może dziwić też, że twarzą projektu jest Michał Moskal. – Ja osobiście jestem przekonany, że powinniśmy docelowo wprowadzić zakaz hodowli zwierząt futerkowych – mówił w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim kilka tygodni temu dla „Do Rzeczy”. W tej samej rozmowie Moskal wyraził też wiele innych opinii, które zdaniem sporej części komentatorów, również przedstawicieli szeroko rozumianego obozu dobrej zmiany, stoją w sprzeczności z konserwatywnym, prawicowym światopoglądem.

Być może zatem młodzieżówka PiS będzie awangardą marszu tej partii nawet nie tyle do centrum, ile na lewo.

„Piątkę dla zwierząt” tworzą następujące hasła: „humanitarne traktowanie”, „kontrola społeczna ochrony zwierząt”, „precyzyjne prawo – większa ochrona”, „bezpieczne schroniska” oraz „koniec z łańcuchami”. „Humanitarne traktowanie” oznacza w praktyce zakaz hodowli zwierząt futerkowych, a także ograniczenie uboju rytualnego jedynie na potrzeby krajowych związków wyznaniowych. Jacek Podgórski, dyrektor Instytutu Gospodarki Rolnej, jest projektem PiS oburzony. – Wejście w życie tych rozwiązań oznaczałoby likwidację całej gałęzi gospodarki, jaką jest branża futrzarska – mówi „Do Rzeczy”. – Ponadto ograniczenie uboju rytualnego spowoduje, że wielu producentów mięsa straci bogate rynki zbytu w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie, bo przecież produkty halal i koszer idą głównie na eksport – dodaje Podgórski.

PODĄŻAĆ ZA ZACHODEM

Jednak szczególna troska o prawa zwierząt nie jest w PiS niczym nowym. Młodzi

działacze firmują kierunek, który w partii istniał od dawna. Trudno się zatem dziwić, że na prezentacji „piątki” pojawił się sam Jarosław Kaczyński, który od lat w tej sprawie poglądy ma jednoznaczne. – Jeżeli chodzi o zakaz hodowli zwierząt futerkowych w Polsce, to jest to przede wszystkim kwestia stosunku do zwierząt, kwestia, można powiedzieć, serca. Serca dla zwierząt i litości wobec zwierząt. Sądzę, że każdy człowiek powinien coś takiego w sobie mieć – to słowa prezesa PiS sprzed trzech lat. Cytat pochodzi ze spotu dla Fundacji Viva!, międzynarodowej organizacji zajmującej się ochroną zwierząt. Prezes PiS przywoływał wówczas dwa inne argumenty, przemawiające jego zdaniem za likwidacją tej branży gospodarki. Po pierwsze, ludzie mieszkający w pobliżu ferm norek skarżą się na „obrzydliwy zapach”. Po drugie, jak stwierdził Kaczyński, „często mówi się o normach europejskich, o europeizacji Polski. To jest właśnie droga do takiej prawdziwej europeizacji. W Europie takich praktyk się zakazuje”.

To jeden z wielu dowodów na to, że forsowana przez lewicowo-liberalną opozycję narracja o eurosceptycyzmie PiS

jest bezpodstawna. Partia Kaczyńskiego często stawia Europę Zachodnią jako wzór do naśladowania. Jak widać na przykładzie hodowli zwierząt futerkowych, wzór nie tylko pod względem ekonomicznym, gospodarczym, technologicznym, lecz także ideowym. Chociaż akurat w tym przypadku argument o spełnianiu standardów zachodnich nie jest najważniejszy. Wielu polityków PiS zwyczajnie, od dawna, nie kryje się z sympatią dla postulatów forsowanych przez organizację szermującą hasłem obrony zwierząt.

Oprócz Jarosława Kaczyńskiego twardo tego typu poglądów broni Krzysztof Czabański. To właśnie szef Rady Mediów Narodowych był odpowiedzialny za ustawę, którą w 2017 r. PiS próbował zakazać hodowli zwierząt futerkowych. Czabański wystąpił w reportażu portalu Onet pod wymownym tytułem „Krwawy biznes futerkowców”. Materiał został opublikowany kilka godzin przed tym, jak PiS zaprezentował swoją „piątkę dla zwierząt”. Dlatego wielu komentatorów sugerowało, jakoby to właśnie reportaż Janusza Schwertnera „zmusił” partię Kaczyńskiego do walki z branżą futrzarską, mimo że w samym reportażu wspomniana jest poprzednia batalia PiS o wprowadzenie zakazu hodowli. Przegrana, mimo – jak się zdaje – najszczerzych chęci. – Projekt był złożony w Sejmie i podlegał normalnym procedurom. Lobbyści mają prawo działać. Jednak najgorszy jest lobbying zakulisowy, w którym chodzi o czyjeś konkretne pieniądze i który posługuje się bezprawiem. W przypadku walki o ustawę zakazującą hodowli lobby posługiwało się czarnym PR, chodziło o to, by uniemożliwić uchwalenie projektu – stwierdził Czabański w filmie Onetu. Jego zdaniem było to zakłócanie procedur demokratycznych, sprawa powinna więc trafić do prokuratury. – Musimy dowiedzieć się, czy lobby futerkowe nie podejmowało działań na szkodę demokracji – zapowiedział.

Prezentując projekt, Michał Moskal powołał się na podobne przepisy funkcjonujące w Austrii, Wielkiej Brytanii czy Chorwacji. – W tych krajach nie ma i w zasadzie nigdy nie było tego typu hodowli, nie wiem więc o jakich standardach ten pan mówi. W Holandii został wprowadzony zakaz, ale Holandia to poważna demokracja i pomimo lewackiej polityki poważne państwo. Zakaz został wprowadzony, ale nikomu nie przyszło do głowy, aby zostawić tysiące rolników z setkami milionów euro długów. Parlament podjął

więc decyzję, że hodowli nie będzie, ale rolnicy otrzymali odszkodowania. U nas, jak widać, nadal mentalna komuna i ma się ona świetnie również w młodym pokoleniu młodzieżówki PiS – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Szczepan Wójcik, prezes fundacji Polska Ziemia, lider branży futrzarskiej. Pyta retorycznie, co autorzy projektu proponują tysiącom rolników, którzy „umówili się kiedyś z państwem polskim na tę hodowlę, wzięli kredyty, które opiewają na blisko 3 mld zł?”. – Tak potężna gałąź gospodarki rolnej to nie jest sklep spożywczy. Nie można zgasić światła i powiedzieć: „Rozejść się”. PiS zdradził rolników i rolnicy to zapamiętają – ostrzega Szczepan Wójcik.

Przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy” nie zostały ogłoszone szczegóły projektu, nie wiadomo więc, czy będą przewidziane rekompensaty dla przedstawicieli branży. Również politycy PiS raczej niechętnie komentowali tę delikatną sprawę. – W Zjednoczonej Prawicy nie ma jednoznacznej opinii, bo też być nie może – mówi „Do Rzeczy” poseł Solidarnej Polski Tadeusz Cymański. – Zakaz hodowli to bardzo radykalne rozwiązanie. Znane powszechnie opisy cierpień zwierząt futerkowych chwytają za serce. Jeśli dojdę do wniosku, że dotychczasowe wysiłki zmierzające do zapewnienia humanitarnych warunków hodowli okazały się bezskuteczne, to będę gotowy zagłosować za tym projektem – deklaruje Cymański. – Z drugiej strony nie chce mi się wierzyć, że do okrucieństw na fermach norek dochodzi na skalę aż tak masową, jak przedstawia to część mediów. Obawiam się też, czy zakaz nie poskutkuje tym, że okrutne praktyki po prostu zostaną przeniesione do krajów sąsiednich, które przejmą branżę. Tak czy inaczej ten projekt trzeba poważnie przedyskutować – dodaje.

MILIARDY W GRZE

– Przed 2019 r. w Polsce hodowaliśmy 10 mln norek amerykańskich, będąc tym samym trzecim producentem na świecie zaraz za Chinami i Danią, w której mieszka 5 mln ludzi, a hoduje się tam 20 mln norek – mówi Szczepan Wójcik. – Gdy zakaz będzie wprowadzony tylko na naszych rodzinnych gospodarstwach, będzie musiało zostać zwolnionych ok. 600 osób. A gdzie reszta? Według danych z raportu Instytutu przemysłu futrzarskiego w Polsce zatrudnia 13 tys. osób, nie licząc kooperantów.

Koronnym argumentem w dyskusji jest teza, w myśl której zwierzęta futerkowe

żyją w fatalnych warunkach, a pozyskiwanie skór to barbarzyństwo. – Norki amerykańskie, które hoduje się uśmiercane w sposób bezkrwawy za pomocą dwutlenku węgla, nie znam bardziej humanitarnego sposobu – komentuje Szczepan Wójcik. – Warto też wspomnieć, że hodowla zwierząt na futra jest bezpośrednią konkurencją dla niemieckich firm utylizacyjnych działających w Polsce. Jak to działa? Nasze zwierzęta są mięsożerne, zjadają odpady poubojowe z rzeźni. Albo my je odkupimy, albo polscy hodowcy innych zwierząt będą musieli zapłacić za ich utylizację. Rynek odpadów jest wart ponad 2 mln zł rocznie, przyzna pan, że jest o co walczyć. Poza tym to my staliśmy się motorem walki z pseudoekologami. I nadal będziemy z nimi walczyć – dodaje prezes fundacji Polska Ziemia.

Jacek Podgórski twierdzi, że przeniesienie nagłaśnianych przez media patologii na całą branżę jest nielogiczne. – Futro musi być możliwie najlepszej jakości, żeby się sprzedać. Wszelkie uszkodzenia mechaniczne są dyskwalifikujące. Dlatego hodowcy, którzy znęcają się nad norkami, wypadają z rynku – tłumaczy dyrektor Instytutu Gospodarki Rolnej. – Inspekcja Weterynaryjna kontroluje rocznie ok. 3 proc. gospodarstw rolnych. Hodowla norek traktowana jest jako dział specjalny produkcji, dlatego aż 97 proc. ferm podlega kontroli. Jeżeli pojawiają się jakiegokolwiek uchybienia, to momentalnie muszą być naprawione. Poza wszystkim dziwię się, że zakazać hodowli norek chce PiS, który mieni się partią konserwatywną – dodaje. – Gdybym nie dbał o swoje zwierzęta, tobym zbankrutował. Mam na etacie weterynarza, ponadto co roku ok. 300 studentów, m.in. z SGGW, odbywa u mnie praktyki. Wszystko jest pod kontrolą. Jeśli pozwolimy pseudoekologom zniszczyć branżę futrzarską, to następni będą hodowcy bydła! – twierdzi Rajmund Gąsiorek, potentat w branży.

PiS spotkał się z falą krytyki z prawej strony opinii publicznej. Pojawiły się opinie, że Zjednoczona Prawica bardziej dba o prawa zwierząt niż dzieci nienarodzone – zamiast zakazu aborcji chce bowiem zakazać hodowli norek. – Takie komentarze to cios poniżej pasa – uważa Tadeusz Cymański. – Bóg kocha każde życie. Także życie naszych „braci mniejszych”. Ubolewam nad tym, że prawica pozwoliła lewicy przywłaszczyć sobie miłość do zwierząt, o którą przecież apelował św. Franciszek – dodaje.



Krzysztof Masłoń

Urban się kończy. Dlatego postanowiono go wykorzystać jeszcze raz

To się stać musiało. W atmosferze kompletnego rozmiękczenia mózgów ofensywą hołoty, która tylnym wejściem poprzez LGBT reanimuje marksistowskiego – zdawało się – trupa, 87-letni Jerzy Urban stał się twarzą tych działań. „Przyszła na mnie koniunktura” – stwierdza z satysfakcją w przeprowadzonych w ostatnich dniach rozmowach „Gazety Wyborczej”, a wcześniej „Newsweeka”, zagrzewając do boju: „Dopierdalajcie katolikom! Dopierdalajcie nacjonalistom! Dopierdalajcie biało-czerwonym”.

Optymistyczne w tym jest to tylko, że Michnik z Lisem pospołu, mimo usilnych poszukiwań, nie mogą znaleźć kogoś rangą sk....synstwa równego Urbanowi, a do tego kto by równie ochoczo odpowiadał na ich zamówienie. Naprawdę chodziło bowiem tylko o jedno – żeby już do końca zrelatywizować wszystko i wszystkich, pograżając przy tym znienawidzony Kościół katolicki i jeszcze bardziej nienawistnego im Jarosława Kaczyńskiego.

To nie przypadek, że zarówno w tekstach Grzegorza Wysockiego w „GW”, jak i Dawida Karpiuka w „Newsweeku” porównuje się Urbana do Kaczyńskiego, oczywiście na korzyść tego pierwszego. „Urban wydaje mi się mniej nikczemny” – czytamy w „Gazecie...”, a „Newsweek” przywołuje „Baśkę, project manager w agencji marketingowej”, która szczerbiocze: „Nikt tak dowcipnie nie komentuje polskich absurdów. Odpalasz Internetu i natychmiast cię zalewa polskie gówno. Gnębienie elgiebetów, faszysti na ulicach, podły starzec, który rządzi tym krajem, i banda be jajecznych podstarzałych tyków o twarzach niemowląt, którzy przed nim kłęczą. Dla odtrutki masz YouTube’a, a tam Urban, który udaje martwego, ale za chwilę się budzi i mówi: »Prima aprilis, sk....syny«”.

Zauważę tylko, że „podły starzec” Jarosław Kaczyński ma lat 71, a młodzieniaszek Adam Michnik 73. Tomasz Lis (54 lata) przy nich to rzeczywiście



Michnik i Urban: Miłość z

Adam Michnik i Jerzy Urban podczas konferencji poświęconej transformacji w Polsce, Pałac Prezydencki, październik 2003 r. FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

ledwie starszak, ale nie o niego tu chodzi ani o pomniejszych maluchów w rodzaju Wysockiego czy Karpiuka. Nie ta ranga, nie te zasługi. Ważni są jedynie prawdziwi oblubieńcy tej na pozór dziwnej miłości Michnika do Urbana. Miłości z odzysku.

EZOTERYCZNY INTELEKTUALISTA

Anna Bojarska, nie bez kozery nazwana „terrorystką literatury”, pisała 22 lata temu o Urbanie: „Jego najlepszym przyjacielem z dzieciństwa i wczesnej młodości był Andrzej Berkowicz, syn przedwojennego sekretarza KC Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy do spraw wojskowych, zaprzyjaźnionego z towarzyszem partyjnym (o którym to towarzyszu opowiadało potem i pisano, że całą tę partię wydał sanacyjnym władzom) Ojzaszem Szechterem, ojcem najmłodniejszego później w PRL opozycjonisty Adama Michnika. Bardzo się wszystkim przyda młody Szechter, kochany Adaś, ale to jeszcze dzieciak, trzeba poczekać. Co do młodego Berkowicza natomiast – to on załatwi młodemu Urbanowi pierwszą dziennikarską posadę, tę w »Nowej Wsi«. W dodatku Berkowicz ożeni się z osobą, której kuzynka będzie żoną Piotra Jaroszewicza, wielkiej figury, szczególnie ponoć cenionej przez ruskich, przyszłego wieloletniego premiera. Za to tatuś Urbana będzie w przyjaźni z niejakim Ochabem, I sekretarzem PZPR w 1956, a i potem ogromnej wagi postacią. Wszystko się ze sobą wiąże. Wszystko się już dobrze zaczyna”.

Ciekawe, że darzący sympatią Urbana Michnik nie trawił jego serdecznego przyjaciela – Passenta: „Ludzie z towarzysztwa usiłowali na niego wpłynąć. Dobrze, ma Passent złe cechy charakteru, ale spróbuj go zrozumieć, Adasiu! Jako dwuletnie dziecko został przez skazanych na śmierć rodziców przerzucony w nieznane, w jedną szansę na milion, przez mur getta? Adaś (sam Żyd, ale powojenny) odpowiadał z uporem: – Wszystko jedno. Mogli przerzucić kogoś przyzwoitego”.

Wiedział, co mówi. To on decydował o tym, kto jest przyzwoity, a kto nie, i miał do tego prawo, które sam sobie nadał, a dlatego, że nie kto inny niż on – Adam Michnik – „ocalił honor Polaków”, co z jakąś emfazą zadeklarował (i zadekretował) w 1988 r. w rozmowie, którą przeprowadził z nim Daniel Cohn-Bendit, ikona wszelkiej maści lewaków, tyleż czerwony, ile

odzysku

■ zielony, za młodu marksista, potem anarchista, a w końcu europoseł obnoszący się ze swymi pedofilskimi skłonnościami, ni to Francuz, ni to Niemiec, na pewno Żyd.

Młodszy wiekiem Polacy mogą nie wiedzieć, w jaki sposób Adam Michnik ocalił ich honor, służąc więc przypomnieniem. W grudniu 1983 r. w więzieniu otrzymał od gen. Kiszczaka, wtedy ministra spraw wewnętrznych, propozycję wyjazdu z kraju, „ponieważ – powiedział – albo spędzę najbliższe święta na Côte d'Azur, albo wiele, wiele lat w więzieniu. W odpowiedzi na to napisałem do niego list, za który mnie, ezoterycznego intelektualistę, kocha cały naród polski. Napisałem mu z więzienia, że ja wiem, że pan na moim miejscu wybrałby Côte d'Azur, ale my tym różnimy się, wy jesteście świniami, a my nie. Mnie Polska podoba się, nawet w więziennej celi, ja jej nie opuszczę i niech Pan wybije sobie z głowy taką propozycję. Zachodnie radio przeczytało ten list w Wigilię, w świąteczny nastrój. Polacy słuchają Wolnej Europy i od tej chwili już nikt nie powie mi, że jestem Żydem”. Nie tylko w tym przypadku mocno się pomylił.

W latach 80. jednak, także przed listem do Kiszczaka, którego sam namaścił po latach na kolejnego „człowieka honoru”, otaczał go nimb chwały. Salon warszawski ogłupiał na jego punkcie dawno temu i, rzecz można, nie bez powodu. Toż był chyba jedynym małolatem, którego z nazwiska wymienił w przemówieniu sam Gomułka, jakiś czas potem uwiecznił go w swej „operze” Janusz Szpotański i już odtąd prosta droga wiodła do apoteozy. Doczekał się jej, choć ujętej w żartobliwej formie, w „Rozmowach polskich latem roku 1983” nie kogo innego, ale Jarosława Marka Rymkiewicza:

„– Adaś, Adaś.

– Adaś napisał. Adaś udzielił wywiadu. Adaś mówił przez radio.

– Adasia zamknęli, Adasia wypuścili, znów zamknęli.

– Adaś przyłożył Pinochetowi, naszemu też przyłoży, niech go tylko puszcza.

– Adaś żeni się z wnuczką naszego Marszałka, jak zechce, to i z wnuczką Łońki się ożeni.

– Nasz miły, dzielny, nasz wspaniały Adaś”.

Rymkiewicz dość szybko zmienił zdanie na temat „Adasia”, i to diametralnie, czemu dał wyraz w swej twórczości. Co jednak powiedzieć o Tadeuszu

W 1990 r. w swoim alfabecie Jerzy Urban pisał, że czuł się w pewien sposób związany z Michnikiem – bo gdy ten pójdzie siedzieć, on będzie wisieć. Teraz Urban opowiada w gruncie rzeczy oczywistości: „Zbliża się czas, w którym zdechnę”

Konwickim, którego „Portret jękającego się chłopca” pomieszczony w „Zorzech wieczornych” pozostaje modelowym przykładem pisania o żywych na kłęczkach: „Patrzyłem na głowę Adasia i myślałem, jakim to wzorem chemicznym przebiegają w tej tak zwyczajnej czaszce tak niezwykle procesy, których wynikiem jest jego, Adasia, bezbłędna intuicja moralna. Wszyscy już zdążyliśmy wielokrotnie pomylić się. Michnik ma jeszcze to przed sobą. Ale coś mi mówi, coś mi podszeptuje, coś mnie upewnia, że Adasia to ominie”. Akurat! Jakby tego było mało, przypominę jeszcze tę lapidarną charakterystykę: „Płowe włosy, jasne, śmiałe oczy, poczucie honoru oraz imperatyw moralny w piersi – czyż to nie zbiorowy portret Zawiszy, Skrzetuskiego i Adama Chmielowskiego”.

TŁUSTY, ŁYSY POSĄŻEK

Także Urban doczekał się kilku portretów literackich. Najcelniejszy wyszedł spod pióra Marka Nowakowskiego, który w tomie „Karnawał i post” (1989), w rozdziale zatytułowanym wymownie „Salony i knajpy”, opublikował przynależne literaturze faktu opowiadanie „Kamieniołomy”, gdzie opowiedział o spotkaniu Urbana w nocnym lokalu Hotelu Europejskiego. Ówczesny rzecznik rządu popijał tam wódeczkę w towarzystwie Daniela Passenta, pisarz zaś dokonywał tej samej czynności wraz ze spotkanym przypadkowo znajomym, przedstawicielem prywatnej inicjatywy, dziś powiedzielibyśmy – biznesmenem:

„– Parszywy gudłaj! – mój prywaciarz zagulgotał typowym gniewem telewizora. W tym gniewie zabrzmiał ton antysemitki. Też miałem na końcu języka jakieś obelżywe zawołanie. Powstrzymałem się jakoś. [...] Urban rozsiadł się wygodnie. Rozpiął kołnierzyk, rozluźnił krawat. Lekko uśmiechnięty. Nawet tutaj rozpoznawali go ludzie i spoglądali w jego stronę. Tłusty, łysy posążek. W jarzeniowym świetle błyszczał ślisko. Za nim wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze. Pił tylko kawę. Pewno był jego gorylem.

Opatrzność powstrzymała mnie w samą porę od zelżenia ministra Urbana. Ładnie bym wyglądał. Goryl chwytą mnie jak kociaka, za kołnier, kilka kopniaków, zamyka w toalecie. Wzywają milicję. Co za widowisko dla Urbana! Materiał do kompromitującego moją reputację felietonu. Brr! Trąciłem się kieliszkiem ze swoim kompanem. Zresztą, obelgi tylko rajcują Urbana. Uwielbia gniew i obrzydzenie na swój temat. Traktuje jako cenne dowody popularności.

[...] Wargi ma grube, zmysłowe. Z powodu tej otyłej, kulistej zmysłowości posłużył mi jako prototyp dziennikarza z fajką do opowiadania „Święte Miejsce”. Wykorzystałem go w sytuacji erotycznej z rozwiązłą, wiejską kariatydą. Pisząc, jakbym go widział w objęciach olbrzymki.

Czytywałem go także w gazetach. Jako »Kibica« w »Kulisach«, w »Polityce«, gdzie indziej. Miewał zakazy druku, narażał się wpływowym osobistościami. Lubił prześmiewcze szarże na rozmaite narodowe świętości. Sprawiał wrażenie sceptycznego libertyna bez ambicji udziału w rządzeniu.

Tymczasem jego ostatnia kreacja rzecznika prasowego rządu wyraźnie odpowiada mu najbardziej. Rozkwitł wszystkimi kolorami. Istny paw. Jest w nim coś ze sprzedajnych pismaków epoki stanisławowskiej. Podobny do takich osobistości jak Kalasanty Szaniawski – jakobin, później ruski cenzor w Kongresówce, czy Leszek Jezierski – osławiony kasztelan z Łukowa, radykał i pamflecista, wreszcie targowiczanie. Była taka tradycja. Urban w jej ciągu. Uznał, że czasy generałów to światły absolutyzm, i myśli o sobie jak Wolter przy pruskim Fryderyku.

Kto go tam wie. Pychy i próżności wiele w tej baryłce. A co jeszcze głębiej? O tym też oczywiście pomyślałem. Ale na ten temat nie mam żadnej wiedzy. Przeniosłem spojrzenie na tego drugiego. Passent to znacznie mniejszy format. Taki, co służąc, udaje niezawisłą cnotę. Nadal w swej felietonistyce gra rolę liberała, wolnomyślnego realisty.

Chociaż ostatnie lata zdarły z niego te szaty, uparcie pragnie grać starą rolę. Może po prostu strach i wygoda. Tutaj przy barze był mniej pewny. Sprawiał wrażenie faceta obawiającego się policzka, kopniaka.

W razie jakiejś draki Urban ma pod ręką swego goryla. Ale może przez złośliwość nie udzielić pomocy Passentowi i porzucić go na pastwę losu. Polacy po upojeniu alkoholowym często zdobywają się na gesty o wymowie politycznej. Choćby mój przyjaciel prywaciarz. Na razie patrzy na nich spode łba i półgłosem obsypuje wyzwiskami. Na wszelki wypadek przytrzymałem go za rękaw. Urban i Passent. Dwa modele postaw. Urban musi pogardzać ludźmi. Passent pragnie ich uwodzić. Urban tylko siłę ma na względzie. Bez wątpienia ciekawszy gracz, odważniejszy. Także przewrotny.

Wpatrzyłem się w pulchną, trochę już zwiotczałą z powodu wieku twarz ministra. Łatwo mogłem sobie wyobrazić: postanawia uciec stąd i urządzić się na Zachodzie. Zna zachodnich żurnalistów, gazetową giełdę. Robi więc wolte, zwiewa i ogłasza tam wywiady, rewelacje. Kłamstwo z prawdą umiejętnie miesza. Memuary, publicity, forsa. Chyba już za stary, rozleniwiony. Nie będzie mu się chciało tego ryzyka”.

SPRZYJAŁA MU NIENAWIŚĆ

Naturalnie, Urban nie wykonał takiego ruchu nie tylko dlatego, że z językami obcymi był na bakier. Jerzy Pilch, którego trudno podejrzewać o uprzedzenia względem Urbana, portretował go w powieści „Marsz Polonia” (2008): „Fakt, że przyszło mu działać w schyłkowej fazie, jak mawiał, »nadrealnego socjalizmu«, upajał go dodatkowo i perwersyjnie. Im system niżej upadał, im bardziej niedorzeczniał, tym Bezetny [tak autor pseudonimował Urbana – przyp. K.M.] wyżej szybował, tym raźniej działał, tym mocniej żył. Żył pełnią absolutną i niepočitelną. Folgował piekielnym temperamentem. W resorcie apologii czuł się jak ryba w wodzie. Głoszenie chwały i opiewanie piękna zdychającego, gnijącego i idącego na dno lewiatana podniecało go do szaleństwa. Jego oficjalne wystąpienia przechodziły do historii cynizmu. Radził sobie.

Jak Generał upadł i jak przyciśnięte do okrągłego stołu stronnictwo promoskiewskie oddało władzę, poradził sobie

równie dobrze, a może nawet lepiej. Przewidział, że spektakularnie przezeń wykonywana rola rzecznika komunizmu nie ujdzie mu bezkarnie, że w niepodległej Polsce będzie programowo znienawidzony, zawodowo izolowany i obłożony towarzyską anatemą. Powszechna nienawiść mu sprzyjała, a świętą regułą rasowego człowieka pióra, że mianowicie w zdecydowanej ilości przypadków trzeba działać wbrew opinii publicznej – miał we krwi.

Z izolacją zawodową, czyli z niechęcią praktycznie całej »wolnej prasy«, poradził sobie w ten sposób, że założył własną gazetę. Inteligentnie redagowany, jadowicie antyrządowy i prowokacyjny pod względem obyczajowym liberyński tygodnik zyskał w błyskawicznie krótkim czasie zawrotny nakład i przyniósł mu krocie”.

Urbana podziwiają jedynie cynicy niedorastający mu do pięt i ci, którzy widzą w nim jedynie jajcarza popisującego się na YouTube. A jego prawdziwego oblicza, tego od zabójstw księży Popiełuszki i Zycha, nie znają, bo nie chcą znać. Za to podziwiają go jako człowieka bogatego

Właściwie zastanawiające jest jedno: co takiego sprawiło, że ten libertyn zakochał się w tak nudnym i kostycznym smutaku jak Wojciech Jaruzelski. A to był przecież jeden z tych punktów, na których po latach pozornej rozłąki znów spotkał swego młodego przyjaciela, Adama Michnika, znanego – nie, no nie z celi więziennej, bez przesady – z barku w Bristolu. I tu Pilch podpowiada, moim zdaniem, trafnie. Na pozór bezsensowny tekst Urbana, powtarzany przez niego wielokrotnie, że Jaruzelski był najmałdrzejszą osobą, jaką spotkał w życiu, brał się z tego, że generał, istotnie: „Był najmałdrzejszy w świecie, ponieważ jako jedyny dostrzegł moją mądrość – mawiał Szatan Wcielony i nie chichotał ani w duchu, ani w żadnym innym sensie. Radził sobie”.

ZBLIŻA SIĘ CZAS OSTATECZNY

Pisanie o Adamie Michniku po Rafale A. Ziemkiewiczu (jego „Michnikowszczyzna” ukazała się 14 lat temu) jest poniekąd wyważaniem otwartych drzwi, dlatego nie ma większego sensu opowiadać o wyczynach jego i jego

gazety. Paradoksalnie choć wielu pisało o Urbanie, wciąż najważniejsze jest to, co sam o sobie miał do powiedzenia. A w 1990 r. w „Alfabecie Urbana” orzekł i z ukontentowaniem potem powtarzał: „Michnik znów jest wcieleniem politycznego zła – teraz dla narodowo-katolicko-fundamentalistycznej prawicy i Wałęsy [ha, ha, ha – przyp. K.M.]. Czuję się z nim bardzo związany w tym rozumieniu, że kiedy jego życie znów potoczy się normalnie, to znaczy Michnik pójdzie siedzieć, zaraz potem ja pójdę wisieć”. Teraz Jerzy Urban opowiada w gruncie rzeczy oczywistości: „Zbliży się czas, w którym zdechnę”.

Nazwanego kiedyś przez Ryszarda Bendera „Goebbelsem stanu wojennego” jedni nienawidzą, drudzy nim gardzą, podziwiają go zaś cynicy niedorastający mu do pięt i ci, którzy widzą w nim jedy-

nie jajcarza popisującego się na YouTube. A jego prawdziwego oblicza, tego od zabójstw księży Popiełuszki i Zycha, nie znają, bo nie chcą znać. Za to podziwiają go jako człowieka bogatego.

„Dać trybunę Jerzemu Urbanowi to żenada i wstyd” – nie wytrzymał nawet tak, zdawałoby się, związany z „Gazetą Wyborczą” Dawid Warszawski. Wstyd? A co to za starożytna pseudowartość w państwie, w którego stolicy, od lat przejeżdżając al. Niepodległości, widzę wezwanie: „Kaczor pod sąd!”?! Gdzie tak wielu przyzwyczaiło się, że to w kierowanej przez Adama Michnika redakcji z ul. Czerskiej feruje się wyroki, a społeczeństwo ma je zaakceptować, i kwita. Ostatecznie, jeśli już konieczne trzeba, to zawsze pomogą „niezawisłe” sądy.

Urban się kończy, to wykorzystamy go jeszcze raz. Potem już tylko pożegnamy, idąc z wieńcami za urną tego prawdziwego Wujka Samo Zła. I Człowiek Honoru powspomina go w TVN-owskim programie Moniki Olejnik, która – kto wie – może z tej okazji i łzę uroni.



Wejście do Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku FOT. JAN SZEWCIK/MP5

Agnieszka Niewińska

Już niebawem będziemy mogli odwiedzić Muzeum Piłsudskiego, a w kolejnych latach szykują się otwarcia następnych nowoczesnych placówek – Muzeum Pamięci Sybiru, Muzeum Historii Polski czy Muzeum Westerplatte

Czas wielkich muzeów

Z jednej strony historyczny budynek dawnej bocznicy kolejowej, z drugiej nowoczesny gmach z betonu i ze stali. Pośrodku tory, które prowadzą do głównego wejścia i wchodzą do wnętrza budynku. Tam swój przystanek znalazł odrestaurowany rosyjski wagon towarowy z końca XIX w. Takimi wagonami wywożono Polaków w głąb Związku Sowieckiego. W powstającym w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru będzie symboliczną bramą wiodącą na wystawę.

Wojciech Śleszyński, dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru, podkreśla, że nieprzypadkowo powstaje on w Białymstoku i w tym konkretnym miejscu. – Białystok to jedyne większe miasto w obecnych granicach państwa polskiego, które doświadczyło cierpienia okupacji sowieckiej w latach 1939–1941. Wszystkie inne większe miasta są dziś za naszą wschodnią granicą.

Miejsce, w którym powstaje wystawa stała, to przedwojenny magazyn wojskowy, który został przejęty przez Armię Czerwoną w 1939 r. Znajdowała się tu rampa kolejowa, z której odchodziły pociągi wiozące Polaków na Wschód. Samo miejsce opowiada nam tragiczną historię – podkreśla dyrektor placówki.

POWRÓT DO EKSPONATÓW

Otwarcie muzeum zaplanowane jest na 17 września 2021 r. Mieliśmy możliwość zobaczenia ekspozycji, która jest jeszcze w budowie. Będzie opowiadać historię wywózek nie tylko po 1939 r. na Syberię, lecz także do innych odległych części Związku Sowieckiego. Przypomni też zsyłki z czasów carskich. Zwiedzający mogą być jednak zaskoczeni, bo pierwsze sale ekspozycji przeniosą ich do dwudziestolecia międzywojennego – będzie można zajrzeć na targ z tamtych czasów

czy do kawiarni białostockiego hotelu Ritz. – Tworzymy nowoczesne muzeum narracyjne. Chcemy nie tylko opowiedzieć historię wywózek na Wschód, lecz także pokazać zwiedzającym ciąg zdarzeń, wytłumaczyć, co do nich doprowadziło, jakich rodzin dotknęły represje – wyjaśnia dr Marcin Zwolski, kierownik działu naukowego Muzeum Pamięci Sybiru, który wprowadza nas po powstającej ekspozycji.

W wielu salach zwiedzający znajdą deski przypominające kolejowe podkłady. Kryją się za nimi nagrane wspomnienia sybiraków. Nie zabraknie monitorów z archiwalnymi zdjęciami, mapami, dokumentami. – Nie będzie jednak u nas natłoku multimediów. Nowoczesne muzea już od nich odchodzą. Dla współczesnego zwiedzającego nie są one niczym nadzwyczajnym, jak było to jeszcze 20 lat temu. Dzisiaj wraca się do eksponatów – tłumaczy dr Zwolski. W Muzeum Pamięci Sybiru będzie można zobaczyć m.in. autentyczne przedmioty, które wywożeni na Wschód w pośpiechu pakowali. – W naszych zbiorach jest np. lokówka do włosów. Panie zabierały ze sobą jedwabne pończochy, choć bardziej przydatne byłyby ciepłe skarpety czy kozuch. Pamiętajmy jednak, że oni jechali w nieznaną i starali się zabrać to, co w ich mniemaniu było najcenniejsze – tłumaczy dr Zwolski.

W muzeum odtworzono m.in. typową salę przesłuchań, wnętrze wagonu, którym na Wschód wieziono sybiraków. Na parterze ekspozycji panuje mrok. Na piętrze uderza jasność. Możemy poczuć się jak zesłańcy, którzy po tygodniach podróży w ciemnym wagonie wyszli na rażący w oczy syberyjski śnieg. Ta część ekspozycji poświęcona jest m.in. trudom życia na Syberii, tragicznemu losowi łagierników.

Na wystawie znalazło się miejsce dla polskich badaczy Syberii, takich jak Bronisław Piłsudski czy Aleksander Czekanowski, oraz dla tych Polaków, którzy jeszcze w czasach carskich dorobili się na Syberii ogromnych majątków. Nie mogło zabraknąć opowieści o tych, którzy ze Wschodu chcieli wyrwać się, dołączając do armii Andersa i Berlinga.

Do muzeum wciąż napływają zdjęcia sybiraków, ich dzieci i wnuków. Zostaną wyeksponowane w ostatniej sali. – To ostatnie chwile, w których można przesłać zarówno zdjęcia, jak i eksponaty, by mogły znaleźć się jeszcze na wystawie – mówi dyrektor Śleszyński. I dodaje, że zainteresowanie powstającym muzeum jest bardzo duże. – Po 1989 r. wiele instytu-

cji stworzyło sale, małe muzea poświęcone wywózkom i represjom systemu komunistycznego. Muzeum Pamięci Sybiru będzie pierwszym tak nowoczesnym muzeum narracyjnym we wschodniej Polsce i w tej części Europy. Ponad 5 tys. mkw. budynku, ponad 2,5 tys. mkw. samej wystawy stałej – to będzie właściwe upamiętnienie kwestii związanych z represjami na Wschodzie.

SULEJÓWEK, CYTADELA, WESTERPLATTE

Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku to jedno z kilku powstających wielkich muzeów historycznych. W sierpniu uroczyste otwarto Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku, które w listopadzie ma zostać udostępnione zwiedzającym. Nowoczesny kompleks w sąsiedztwie dworku Milusin ma ponad 6 tys. mkw. Zaplanowano w nim m.in. strefę edukacyjną, bibliotekę, magazyn zbiorów z 20 tys. muzealiów. Sercem muzeum będzie multimedialna wystawa narracyjna. Opowieść o życiu Marszałka i drodze Polski do niepodległości została zaplanowana na 2 tys. mkw.

Trwają też prace nad Muzeum Historii Polski. Siedziba muzeum powstaje na terenie Cytadeli Warszawskiej. Wystawę stałą zaplanowano na aż 7 tys. mkw. „Wystawa będzie opowiadać ponad 1000 lat dziejów Polski przy pomocy oryginalnych zabytków oraz scenografii i multimediiów tworzących przestrzeń doświadczenia przeszłości” – zapowiada placówka. Wśród 3 tys. eksponatów znajdzie się zakupiona za 200 tys. dol. Enigma. W budynku zaplanowano też m.in. sale edukacyjne i warsztatowe, audytorium, salę kinową. Budowa ma potrwać do 2021 r. Przewiduje się, że rocznie placówkę będzie odwiedzać pół miliona zwiedzających. Wraz z Muzeum X Pawilonu, Muzeum Katyńskim, Muzeum Wojska Polskiego będzie tworzyć na terenie Cytadeli muzealną dzielnicę.

Znane są już założenia Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 w Gdańsku, które tworzy zespół gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej. Będzie to muzeum plenerowe. Udostępnione zostaną zrewaloryzowane historyczne budynki. Powstanie też nowy obiekt, w którym znajdzie się wystawa stała o powierzchni prawie 3,5 tys. mkw. Planowany koszt inwestycji to ponad 200 mln zł. Ma ona zakończyć się w 2026 r. Budowę podzielono na trzy etapy. – Pierwsze efekty będzie można zobaczyć już we wrześniu 2022 r., kiedy to otworzymy wystawę archeologiczną w historycznym bu-

dynku elektrowni – obecnie niedostępnym dla turystów. W tym samym czasie planujemy uroczysty pogrzeb odnalezionych przez naszych archeologów i zidentyfikowanych po ponad 80 latach obrońców Westerplatte z września 1939 r. Pogrzeb odbędzie się na Cmentarzu Obrońców Westerplatte, którego ostateczny kształt i forma zostaną wybrane w trakcie trwającego do grudnia br. konkursu – mówi dr Karol Nawrocki, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. – Zainteresowanie tematem Westerplatte jest bardzo duże, dostajemy liczne sygnały o potrzebie przywrócenia godności temu miejscu – dodaje.

Trwają prace koncepcyjne nad Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej w Lublinie, zwanym także Muzeum Kresów. Znajdzie się ono w pałacu Lubomirskich na placu Litewskim w Lublinie. Orientacyjny termin oddania zwiedzającym wystawy stałej to lata 2022–2023.

ZWIEDZAJĄCYCH NIE ZABRAKNIĘ

Czy znajdą się chętni do odwiedzenia wielkich muzeów historycznych? Paweł Ukielski, wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, nie ma co do tego wątpliwości. – Jeśli tylko będą ciekawie opowiadać o historii, to zwiedzających im nie zabraknie – mówi. I dodaje, że to w przemyśle klient, który np. decyduje się na ofertę jednego z koncertów samochodowych, rezygnuje z oferty drugiego. – W muzealnictwie jest odwrotnie. Jeśli ktoś odwiedzi ciekawe muzeum, to za tydzień czy miesiąc będzie chciał odwiedzić kolejne – tłumaczy Paweł Ukielski. Liczba osób, które rocznie korzystają z oferty MPW – zwiedzają wystawę i biorą udział w imprezach organizowanych przez muzeum – sięga 700 tys. – Od otwarcia w 2004 r. liczba zwiedzających z roku na rok rośnie lub utrzymuje się na tym samym poziomie. Zwykle dłużej działające muzea w pewnym momencie notują spadek liczby odwiedzających ze względu na to, że nie są już postrzegane jako nowość. W Muzeum Powstania Warszawskiego dotąd nie mieliśmy spadku liczby odwiedzających. Cieszy nas to, że 40 proc. gości wraca do nas.

Gdańskie Muzeum II Wojny Światowej, które na 5 tys. mkw. prezentuje 2,5 tys. eksponatów, co roku notuje wzrost liczby zwiedzających. – Po ponad trzech latach od otwarcia odwiedziło nas ponad 1,6 mln osób, z czego aż 20 proc. to goście zagraniczni. Nasi odbiorcy to nie tylko osoby dorosłe, w tym seniorzy,

lecz także ludzie młodzi, którzy interesują się przeszłością, dociekają prawdy o najtragiczniejszym w dziejach naszej cywilizacji konflikcie, jakim była druga wojna światowa – mówi dr Nawrocki.

Z roku na rok do muzeów chodzimy coraz częściej. Jeszcze w 2017 r. odwiedziło je 37,5 mln zwiedzających. W ubiegłym roku już 40,2 mln. – Systematyczny wzrost frekwencji w muzeach obserwujemy od 2004 r., kiedy to otwarte zostało Muzeum Powstania Warszawskiego i zaczęły powstawać kolejne muzea zwane narracyjnymi. Od tego czasu co roku frekwencja rośnie o pół miliona, nawet o milion zwiedzających – mówi dr hab. Piotr Majewski, dyrektor Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów (NIMOZ). – Statystycznie wygląda to tak, jakby każdy Polak w ciągu roku przynajmniej raz odwiedził muzeum. Z oferty muzeów korzysta jednak ok. 40 proc. naszego społeczeństwa. Pozostała część to nadal grupa do zdobycia – dodaje dyrektor NIMOZ.

Zwraca uwagę, że w ostatnich latach muzea coraz lepiej zaspokajają potrzeby zwiedzających. – Przygotowują zarówno krótkie trasy zwiedzania na potrzeby ruchu turystycznego, jak i programy dla osób wielokrotnie powracających do muzeów. Proponują karnety, bilety grupowe, rodzinne, zwiedzanie bezpłatne. Największym wyzwaniem dla muzeów będzie tworzenie oferty dla ludzi starszych, którzy miewają więcej czasu, zwiedzają i odkrywają muzea, często poprzez wielokrotne wizyty. Muzea są coraz bardziej świadome ich potrzeb, rytmu zwiedzania. Odpowiedzią na ich oczekiwania są również programy edukacyjne, które otwierają muzea przed dziadkami i wnukami, sprzyjają wspólnemu zwiedzaniu i łączą pokolenia.

Mimo rosnącej liczby muzeów współczynnik „muzealnictwa”, czyli liczba muzeów na 100 tys. mieszkańców, nadal jest bardzo niski. – Wynosi on 2,5 i jest jednym z najniższych w Unii Europejskiej. W Estonii wynosi on rekordowe 19, choć można to tłumaczyć proporcjami ludnościowymi, wielkością kraju. I tak jednak średnia unijna to ok. 6 muzeów na 100 tys. mieszkańców – wskazuje dr hab. Piotr Majewski.

Dzięki ukończeniu rozpoczętych inwestycji i tym, które są dopiero na etapie koncepcyjnym, przybliżymy się do europejskiej średniej. A zwiedzający na liście obiektów, które koniecznie trzeba odwiedzić, znajdą nowe pozycje.



Piotr Gociek

W imię walki o prawa LGBT+, mniejszości rasowych i etnicznych oraz osób niepełnosprawnych amerykańska Akademia Filmowa otwiera drogę cenzurze i dokonuje zamachu na wolną przedsiębiorczość

Wujek Oscar nie żyje

Historia Oscara właśnie się skończyła, złotego wujka właśnie złożono do grobu i w jego miejsce podstawiono coś na kształt potwora doktora Frankenstein – pokraczne monstrum, które zrodziło się z pychy swego stwórcy. Oscar życie miał długie i ciekawe, ale kończy je w niesławie.

Nagrody amerykańskiej Akademii Filmowej przyznawane są od roku 1929, żegnamy więc niemal stulatka. Chociaż wszyscy go znają, nie wiadomo nawet na pewno, skąd jego popularne imię. Wedle Bette Davis od imienia jej pierwszego męża, wedle innej opowieści Margaret Herrick zakrzyknąć miała na widok statuetki: „Ależ wygląda całkiem jak mój wujek Oscar!”.

„OSCAR+”

Monstrum, które zastąpi Oscara, powinno nosić imię rozszerzone: „Oscar+”, tak jak rozmaite karty LGBT+. Spójrzmy na warunki, które musi spełnić od roku 2021 film, by być rozważanym w oscarowym wyścigu. Wybaczenie przydługi opis, ale trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć.

Po pierwsze, minimum jeden z od-twórców głównych ról lub znaczącej roli drugoplanowej musi mieć inne rasowe pochodzenie (w sensie – inne niż białe –

przyp. P.G.). Minimum 30 proc. aktorów w drugoplanowych i epizodycznych rolach musi reprezentować co najmniej dwie spośród tych grup: kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące. A główny wątek fabularny musi być związany z co najmniej jedną spośród tych grup: kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące.

Po drugie, przynajmniej dwa działy (casting, zdjęcia, muzyka, kostiumy, reżyseria, montaż, fryzury, charakteryzacja, produkcja, scenografia, dźwięk, efekty specjalne, scenariusz) powinny być kierowane przez kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące. Minimum jeden z nich ma być kierowany przez osobę reprezentującą mniejszość rasową lub etniczną. Minimum sześć osób niższego szczebla ekipy ma reprezentować mniejszość rasową lub etniczną. A 30 proc. całej ekipy filmowej tworzyć powinny osoby ze wskazanych w punkcie pierwszym.

Żeby ubiegać się o oscarową nominację w kategorii najlepszy film, proponowana produkcja musi spełniać przynajmniej po jednym z warunków wymienionych

w dwóch punktach powyżej – zdecydowała Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej. Na tym jednak nie koniec.

Po trzecie, duże studia i dystrybutorzy muszą mieć stały program płatnych staży skierowanych do osób z wyżej opisanych mniejszości, a studia małe i dystrybutorzy niezależni muszą przynajmniej dwie takie osoby mieć na płatnych stażach. Zarówno studia, dystrybutorzy, jak i firmy finansujące produkcję filmów muszą oferować programy szkoleń i rozwoju umiejętności osobom reprezentującym mniejszości. Obydwa te warunki muszą być spełnione.

Po czwarte, studio lub firma produkcyjna muszą mieć w zespole zajmujących się reklamą, dystrybucją, PR co najmniej kilka osób na kierowniczych stanowiskach, które reprezentują poniższe grupy: kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące.

Zasady te mają w pełni obowiązywać od roku 2024, natomiast ich stopniowe wcielanie w życie rozpocznie się za dwa lata.

Właściwie wszelki komentarz do komunikatu akademii wydaje się zbędny. Gdyby to był żart, kolportowano by go zapewne w postaci mema, śmiejąc się do rozpuku. Sprawa jest jednak poważna,



Rozpoczęło się od zmian w składzie samej Akademii Filmowej. Gdy w 2016 r. część twórców i gości ogłosiła bojkot ceremonii oscarowej, uzasadniając to brakiem nominacji dla czarnoskórych aktorów, w odpowiedzi przewodnicząca Cheryl Boone Isaacs ogłosiła, że do roku 2020 podwoi się liczba członków akademii reprezentujących kobiety i mniejszości. W roku 2018 sytuacja się powtórzyła – brak nominacji dla aktorów czarnoskórych przyniósł gniewne słowa reżysera Spike'a Lee, następny bojkot i wezwanie rapera Snoop Dogga: „Pieprzyć ten hołdujący niewolnictwu cyrk!”.

Ostatnie wytyczne akademii nie wzięły się zatem znikąd (co nie znaczy, że powinniśmy je oklaskiwać). Tymczasem szybsi okazali się Brytyjczycy, którzy wyznaczyli zasady promujące w produkcjach mniejszości rasowe i LGBT przy ubieganiu się o nagrodę BAFTA dla gier wideo w kategorii najlepsza gra brytyjska (wysłuchajcie się w brzmieniu tych słów – czy to aby nie nadmierne wykluczająca kategoria?).

Akademia Filmowa próbuje nadążyć za trendami, które agresywnie promujące swoją agendę mniejszości zdążyły już wypromować choćby w Netflixie, zdecydowanie przodującym, jeśli chodzi o politykę afirmatywną. Czy proponowane zmiany wystarczą? Jestem pewien, że nie. Tym, którzy uspokajają, mówiąc: „Chodzi tylko o jedną kategorię – najlepszy film”, odpowiadam: każda rewolucja zaczyna się od zdobycia przyczółka, który potem łatwo jest rozszerzać. Za parę lat usłyszymy pewnie, że zasady trzeba rozszerzyć – a rozszerzanie nie brzmi już tak strasznie jak wprowadzenie, prawda?

Podobnie jak przy dyskusji o tym, co może, a czego nie może Facebook, trzeba przypomnieć: tak jak firma Zuckerberga to prywatne przedsiębiorstwo, które może ustalać zasady korzystania ze swoich produktów, jak mu się żywnie podoba, tak i Akademia Filmowa to po prostu prywatna organizacja zrzeszająca osoby związane z przemysłem filmowym i może wprowadzać obostrzenia, jakie tylko chce. Trudno nie zauważyć, że dokonuje jednak zarazem zamachu nie tylko na artystyczną wolność wypowiedzi, lecz także na wolną przedsiębiorczość. Niby z jakiej okazji jakaś organizacja miałaby bowiem nakażać prywatnej firmie, kogo i na jakie stanowiska ma zatrudniać albo komu płacić za staż?

Jednocześnie zapytam, bom ciekaw – czy zasada 30 proc. będzie obowiązywać także w drugą stronę? Czyli czy gdyby okazało się, że podczas produkcji jakiegoś filmu (nie mówiąc o jego bohaterach i fabule) 100 proc. objęli przedstawiciele LGBT, niepełnosprawni i mniejszości etniczne, to biali, hetero- i całkiem sprawni będą mogli czuć się pominiętą mniejszością i domagać, by przynajmniej 30 proc. przeznaczono dla nich?

Co zrobić, jeśli jakiś film będzie rozgrywał się całkowicie w środowisku czarnych kobiet, ale wszystkie z nich będą heteroseksualne? A gdyby wszystkie były lesbijkami, ale za to białymi, to co? A gdyby na przykład scenarzysta wymyślił, że 70 proc. bohaterów jego filmu będzie znęcało się nad pozostałymi 30 proc., ale dziwnym trafem te 30 proc. to kolorowi homoseksualiści, w dodatku niepełnosprawni? Widać od razu, że matematyka produkcji nie wystarczy, że prędzej czy później będzie trzeba wprowadzić nowe kwoty, to znaczy określić nie tylko to, ilu przedstawicieli mniejszości się w filmie znalazło i przy nim pracowało, lecz także to, w jakim świetle zostali przedstawieni.

KOLEJNA FAZA REWOLUCJI

Obrońcy ruchów LGBT oburzają się, gdy wytyka im się ideologiczne zacietrzewienie, mówiąc, że chodzi tylko o obronę praw mniejszości. Nie, szanowni państwo, rewolucja wchodzi w kolejną fazę, to kolejny krok dla marksizmu-lesbianizmu (termin prof. Chodakiewicza). Zalecenia akademii współgrają z cancel culture, współgrają z ruchem obalania pomników. Chodzi o zniszczenie starej „opresyjnej, patriarchalnej, nietolerancyjnej, heteronormatywnej” kultury.

W Związku Sowieckim też trzeba było wstecznika Lwa Tołstoja zastąpić swoim miłośnikiem proletariatu, Aleksiejem Tołstojem. Twórcom w Sowietach także przedstawiano zalecenia, by odpowiednio wiele miejsca w swojej twórczości poświęć walce o wyzwolenie robotników i chłopów. Kto się wyłamywał, ten drukować książek ani kręcić filmów nie mógł. W najgorszym razie trafiał do gułagu. Dokąd trafiać będą ci, którym działalności zabroni akademia? Mam nadzieję, że do serc i umysłów wszystkich, którym bliskie są wolność słowa, wolność artystyczna i wolność gospodarcza. Cholera, ale przecież kiedyś za to właśnie chwaliliśmy Amerykę...

nie mamy do czynienia z fragmentem groteskowego opowiadania o politpoprawnej niedalekiej przyszłości (na pewno takie zostałyby wyszydzone przez „Wyborczą” jako wyraz prawicowej paranoi) ani ze złośliwym felietonem konserwatywnego publicysty, który postanawia walczyć z ideologicznym przeciwnikiem metodą ad absurdum. Mówimy w końcu o wytycznych dla największej maszyny promocyjnej w dziedzinie kina. Można Oscarów nie cenić, można kłócić się z werdyktami, można nie oglądać dorocznych ceremonii – tak czy inaczej wpływ decyzji członków akademii na codzienne decyzje kinomanów istnieje, choć jest dziś mniejszy niż niegdyś.

Wojna o „poprawienie” Oscarów trwała od kilku lat, początkowo jedynie na poziomie werbalnym. W liberalnych (czy są inne?) kręgach amerykańskiego show-biznesu wypadało wręcz narzekać na to, jak to po raz kolejny nominacje okazują się narzędziem wykluczenia, przy czym coraz głośniej protestowali też sami dotknięci poczuciem wykluczenia. A głosy tak oczywiście, jak tweet pisarza Stephena Kinga, który zauważył, że powinniśmy oceniać dzieła sztuki po ich wartości, a nie po tym, jakiej proveniencji jest autor, wywoływały wściekłe reakcje (King zresztą publicznie przepraszał). I tak dalej.



Dobry, zły i brzydki



Wiesław Chelminiak

Stworzył własny świat, jak Fellini. Nakręcił tylko siedem filmów, ale aż pięć z nich uchodzi za arcydzieła

Pewnego razu... Sergio Leone" – taki tytuł nosiła wystawa, zorganizowana w paryskiej La Cinémathèque Française 30 lat po śmierci, a 90 po narodzinach króla spaghetti westernu. Był to poważny nietakt, gdyż jego duch – jeśli gdzieś straszy – to nad Tybrem. Ledwie błąd naprawiono, przenosząc ekspozycję do Rzymu, wybuchła pandemia. Ponowne otwarcie stało się jednym z symboli powrotu Wiecznego Miasta do normalności.

Wyobraźnię Sergia zapłodniły trzy mity: Dzikiego Zachodu, rewolucji i Ameryki. On sam twierdził, że najbardziej

inspiruje go Homer. W muzeum Cinecittà każdy z wielkich włoskich reżyserów ma szufladę. Ta podpisana nazwiskiem Leone zawiera „Odyseję”, „Eneidę”, książki Chandlera i Hemingwaya, fotos Chaplina z „Dzisiejszych czasów”, płytę z muzyką Ennio Morricone i tylko dwa filmy: „Straż przyboczną” Kurosawy i „Człowieka, który zabił Liberty Valance’a” Forda. Do tego obiektyw kamery, kapelusz, kraciasta czapka, cygara oraz pistolet zabawka.

BOHATER W BRUDNEJ KOSZULI

W części wytwórni, udostępnionej turystom, znajduje się salka kinowa, w której na okrągło wyświetlany jest dokument o twórczości autora „trylogii dolarowej”. Na ekranie pojawiają się aktorzy, których wyłansował lub którym dał szansę na zmianę wizerunku: Gian Maria Volonté, Eli Wallach, James Coburn, Lee Van Cleef, Charles Bronson, Rod Steiger, Henry Fonda, James Woods. „Mój muł nie lubi, gdy się z niego śmieją” – cedzi przez zaciśnięte zęby Clint Eastwood.

Monument Valley długo była dla Leone nieosiągalna, z przyczyn finansowych. Krajobrazy jak z Arizony znalazł w południowej Andaluzji. Pod koniec lat 60. akcja co trzeciego włoskiego filmu rozgrywała się na Dzikim Zachodzie, co zniesmaczało krytyków. Czesław Michalski w monografii „Western i jego bohaterowie” z pogardą pisał o „imitacjach”, produkowanych przez ludzi, którzy używają angielskich pseudonimów, bo się wstydzą tego, co robią. „W zakresie gwałtu, brutalności i sadyzmu spaghetti western spełnia z nadwyżką zapotrzebowanie zachodniej publiczności na tego rodzaju emocje” – oceniał moralista z PRL, wyrażając radość z faktu, że tandetna apologia zbrodni i przemocy nie dociera na polskie ekrany.

Istotnie, bohater klasycznego westernu walczy o prawo i sprawiedliwość, kobiety traktuje rycersko, nigdy nie strzela w plecy, ma zawsze gładkie lico i wyprasowaną koszulę. Tymczasem w produkcjach made in Italy królował naturalizm, by nie rzec – turpizm. Już od pierwszych scen było jasne,



że brudni, spoceni, zarośnięci mężczyźni dobre maniery mają za nic. Zdradzają i oszukują, ponad przyjaźń i miłość przedkładając złoto. Co tu kryć, Leone i jego naśladowcy wznicieli estetyczną (a może i etyczną) rewolucję.

Na marginesie: western może i jest amerykańskim wynalazkiem, ale tytuły zaliczane do kanonu wykreowała banda przybłądów zza oceanu: urodzony w Rzeszowie Fred Zinnemann, Edward Dmytryk mający polsko-ukraińskie korzenie, Irlandczycy John Ford i Raoul Walsh oraz Niemiec Anthony Mann. Już w epoce kina niemego w Europie furorę robiły opowieści o Indianach, pocziwych kowbojach i meksykańskich bandytach. Powieści Karola Maya ekranizowano, zanim urodził się Pierre Brice – Winnetou z zachodnio-niemieckich ersatz-westernów, kręconych w Jugosławii. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że odnowicielem gatunku, który w połowie XX w. wpadł w pułapkę banału, okazał się makaroniarz.

DZIECKO X MUZY

Sale wystawowe Museo dell'Ara Pacis oddzielono grubymi zasłonami, jak w kinie. Zza pierwszej dochodzi natrętny dzwonek telefonu. Kto widział „Dawno temu w Ameryce”, ten wie, co jest grane. Główny bohater w oparach opium przenosi się w prze-

szłość. Zwiedzający też, ale w trochę bliższą. Konkretnie do roku 1929, gdy gwiazda niemego kina Edvige Valcarenghi (sceniczny pseudonim Bice Valerian) powiła dziecię płci męskiej. Ojciec – Vincenzo Leone – też był z branży. Szesnaście lat wcześniej wyreżyserował (jako Roberto Roberti) pierwszy włoski western: „La Vampira Indiana”. Film, w którym Bice grała księżniczkę indiańską, niestety się nie zachował.

W czasach Mussoliniego kariera Leone seniora przygasała, ale koledzy i tak go cenili – został szefem związku reżyserów. Sergio złożył tacie hołd, podpisując „Za garść dolarów” anglojęzyczną ksywą Bob Robertson (czyli syn Roberta).

Dzieciństwo spędził na Zatybrzu, przy Viale Glorioso, która kończyła się schodami prowadzącymi na Monteverde. Sergio z kolegami zjeżdżali z nich na deskach, na które wcześniej siusiali, żeby mieć lepszy poślizg. Rodzice liczyli, że syn zostanie prawnikiem, ale połknął filmowego bakcyła. Cinecittà była jego drugim domem.

Zaczynał jako asystent reżyserów, w tym cudzoziemców, którzy przybywali nad Tyber, by kręcić filmy kostiumowe. Krzątał się na planach „Quo vadis” i „Ben Hur”, jednak opowieści, że nadzorował słynny wyścig rydwanów, można włożyć między bajki. W „Złodziejach rowerów” Vittoria De Siki zagrał epizod, księdza w tłumie ludzi chroniących się przed deszczem. Był wtedy przerozłaźnie chudy, lecz nadrabiał miną. Zachowywał się zdjęcia z rzymskiej knajpy: Sergio w ciemnych okularach i z papierosem bryluje w towarzystwie, mając za sąsiadki butelkę wina i młodzieńską Sophię Loren.

Mentora znalazł w osobie Maria Bonnard. Gdy reżyser niespodziewanie rozchorował się na planie „Ostatnich dni Pompei”, pupil dokończył robotę za niego. Gwiazdą filmu był ówczesny Schwarzenegger – kulturysta Steve Reeve. Trzy lata później odrzucił rolę Bonda, gdyż zaofiarowano mu zbyt małe honorarium. Oficjalny reżyserski debiut Leone – „Kolos rodyjski” – również należał do gatunku zwanego pogardliwie „kinem sandałowym”. Dysponując nędznym budżetem, amerykańskim przystojniakiem (Rory Calhoun), włoską piękną (Lea Massari) i scenariuszem napisanym na kolanie, nowicjusz osiągnął tyle, że film zamiast strat przyniósł zyski. Zdobywszy zaufanie producentów, mógł pomyśleć o czymś ambitniejszym.

KOPIA PRZEROSŁA ORYGINAŁ

W 1963 r. Sergio Corbucci nakręcił w hiszpańskich plenerach pierwszy

spaghetti western: „Massacre al Grande Canyon”. Leone, który właśnie obejrzał „Straż przyboczną” Kurosawy, wpadł na pomysł, by jego fabułę przenieść na Dzikie Zachód. Szefostwo wytwórni Jolly Film zapaliło zielone światło, lecz próba skaptowania Reeve’a do roli bezimennego rewolwerowca spełzała na niczym. Umięśniony aktor uznał, że „Il Magnifico Straniero”, czyli „Wspaniały cudzoziemiec”, to dziwoląg i w kinach przepadnie. Sprobowano więc z Ameryki mniej wybrednego Clint Eastwooda.

Na wystawę trafiło kilka ciekawych dokumentów związanych z filmem, który wszedł na włoskie ekrany bez żadnej reklamy i pod zmienionym tytułem: „Za garść dolarów”. Eastwood kwituje odbiór 13,5 tys. dol. i tygodniówki, opiewającej na 400 dol., Kurosawa rezygnuje z ciągnięcia plagiatorów po sądach w zamian za prawa do dystrybucji westernu w Azji. Na podzielonym ekranie wyeksponowano podobieństwa i różnice filmu Leone do „Straży przybocznej”. Trudno powiedzieć, których jest więcej.

„Za garść dolarów” potwierdza diagnozę Czesława Michalskiego. Z ekranu wieje cynizmem i pogardą dla tradycyjnych wartości. Jeździec znikąd przybywa do miasta bezprawia. Zorientowawszy się, że o dominację walczą bandy Baxterów i braci Rojo, oferuje usługi – nie za darmo! – jednym i drugim. Trup ścieli się gęsto. Kiedy meksykański oprawca mówi: „Jestem zmęczony zabijaniem”, to ani chybi żartuje. Wersja wyświetlana w Stanach Zjednoczonych była krótsza o cztery minuty, lecz i tak amerykańscy krytycy narzekali, że Włoch przeholował z okrucieństwem. Są takie przełomy, które następują niezauważalnie. Dopiero po latach zrozumiano, że kino podąża w kierunku wskazanym przez profana z Zatybrza.

ZNAD TALERZA SPAGHETTI

Leone był perfekcjonistą. Osobiście doglądał każdego szczegółu, wybierał lokalizacje, kamery, dekoracje i projekty kostiumów. Pociągały go skrajności, w jego filmach dalekie plany sąsiadują z ekstremalnymi zbliżeniami. Obsesyjne dążenie do odtworzenia realiów epoki łączył z nonszalancją. Stąd brały się anachronizmy w rodzaju peruwiańskiego poncza Eastwooda.

Partytury Ennio Morricone (chodząc z Sergiem do tej samej podstawówki) znają i cenią wszyscy. Autor „trylogii dolarowej” dążył do redukcji dialogów. ■



■ Muzyka miała mówić za bohaterów. Z jednej strony był to krok naprzód, z drugiej – wstecz, w stronę kina niemego. Na szczęście Leone miał u boku genialnego współpracownika – Carlo Simiego. Każdy, kto lekceważy rolę efektów dźwiękowych, powinien obejrzeć sekwencję otwierającą „Dawno temu na Dzikim Zachodzie”. Bzyk much, skrzypiący wiatrak, odgłosy telegrafu i kropla wody spadająca na kapelusz budują napięcie skuteczniej niż słowa.

W latach 80. Leone dał się namówić telewizji bawarskiej na serię wykładów. Siedząc na talerzem spaghetti, opowiadał o ulubionych filmach i książkach. Z malarzy wymienił Giorgia de Chirico, autora podszytych metafizyką miejskich pejzaży. W komponowaniu kadrów pomagała mu też znajomość dzieł romantyka Goi, realisty Daumiera i... komiksów o Dzikim Zachodzie, szalenie popularnych w powojennej Italii. Pod wpływem Bonnarda przyszedł reżyser „Dobrego, złego i brzydkiego” zaczął buszować w rzymskich galeriach oraz antykwariatach. Kolekcjonował srebro stołowe i XVIII-wieczne meble. Do sztuki współczesnej nie miał jakoś przekonania.

Doceniając zgromadzone na wystawie kostiumy, modele budynków, plakaty, fotosy i repliki rewolwerów produkowanych w słynnej manufakturze Aldo Ubertiego, muszę przyznać, że największe wrażenie zrobiło na mnie służbowe biurko reżysera. Stoją na nim statuetka lwa z marmuru, konterfekty żony i dzieci, zegar – prezent od Roberta De Niro z podziękowaniem „za dwa lata, które warto było przeżyć” oraz relikwie: zdjęcie z uwielbianym Chaplinem i fotka

Johna Forda z dedykacją dla „Sergio Leoni”.

W OPARACH NOSTALGII

Po premierze „Garści dynamitu” król spaghetti westernu milczał przez całą dekadę. Produkował filmy rzymskiego komika Carla Verdonego, wymyślił humorystyczno-nostalgiczny western „Nazywam się Nobody” z Henrym Fondą w roli starzejącego się rewolwerowca. Jako reżyser figurował jego współpracownik Tonina Valeriego, lecz w wielu scenach czuć rękę mistrza.

Prawda była taka, że Leone szukał nowych wyzwania. Zakochał się w książce „The Hoods”, napisanej przez nowojorskiego gangstera Herschela Goldberga odsiadującego w Sing Sing wyrok za zabójstwo. Z tego powodu odmówił reżyserowania „Ojca chrzestnego”. Projekt wciąż się rozrastał, pracowało nad nim siedmiu scenarzystów. Jeden z nich porównał ostateczny efekt z konstrukcją średniowiecznej katedry, inni wspominali o labiryncie. Jako że prawdziwym tematem filmu jest upływ czasu, miał trwać ok. pięciu godzin.

Włoski producent, pomny kłopotów z równie epickim „1900” Bertolucciego, spasował. Dopiero gdy główną rolę zgodził się zagrać Robert De Niro, dla Leone zapaliło się zielone światło. „Dawno temu w Ameryce” to najbardziej osobisty i melancholijny z jego filmów. Efektem ikonograficznych studiów była scena tańca, zaczerpnięta z malarstwa Edgara Degasa. Wizja Nowego Jorku okresu prohibicji wiele zawdzięcza twórczości Edwarda Hoppera, Jacoba Riisa i Reginalda Marsha, zaś skok w czasie symbolizuje klasyk pop-artu, rzeźba „Love” Roberta Indiany.

Film, pokazany poza konkursem na festiwalu w Cannes w 1984 r., spodobał się krytykom. Producent Arnon Milchan z wytwórni Warner Bros. przeczuwał jednak, że dla amerykańskiej publiki to dzieło zbyt trudne, więc skrócił je o półtorej godziny i przemontował zgodnie z kolejnością zdarzeń. Jedynie w Europie wyświetlano 229-minutową wersję autorską. Zwiezdający wystawę przechodzą przez tę samą bramę, przez którą główny bohater opuszczał Nowy Jork w 1933 r., by wrócić dopiero po 35 latach. Na ekranie wyświetlana jest scena z występem Debory w roli Kleopatry, którą wycięto z filmu na etapie montażu. Na ostatniej kurtynie – twarz naćpanego, uśmiechniętego Noodlesa. Obok na ścianie filmowy cytat: „Myślałem, że to przygoda, ale to było życie”.

POWRÓT KRÓLA

Zakończywszy pracę nad swym opus magnum, Leone rzucił się w wir przygotowań „Leningradu”. Chciał wykorzystać siódmą symfonię Szostakowicza, po raz pierwszy zagraną w oblężonym przez Niemców mieście. Pierestrojka stworzyła szansę na współpracę z Rosjanami. Pamiętką po niedoszłym przedsięwzięciu jest kilka zapisanych kartek, reżyser jak zwykle plan filmu miał w głowie, korygował go, opowiadając fabułę zaufanym.

Atak serca dopadł go w domu, gdy oglądał szarpający nerwy dramat sądowy „Chcę żyć” Roberta Wise’a. Za młodu pomagał mu na planie „Heleny Trojańskiej”. Leone żartował, że jego miejsce w historii kina jest między literami „K” i „M”, w rzeczywistości wywarł na branżę wpływ większy niż Fellini. Obaj panowie znali się zresztą i cenili. Łączyła ich skłonność do surrealizmu, ale FeFe od początku cieszył się statusem artysty, którego królowi spaghetti westernów długo odmawiano.

Struktura narracyjna ze sztuk Goldoniego, charaktery z Cervantesa, bohaterowie z Homera, styl z komiksów – tak definiują twórczość rodaka włoscy krytycy. Jego filmy są biblią, z której studenci uczą się języka filmowego. Reżyserzy – od George’a Lucasa, Stevena Spielberga, Francisa Forda Coppoli do Quentina Tarantino, Johna Woo, Clint Eastwooda i Anga Lee – uważają go za swego mistrza. Trzydzieści lat po śmierci Sergio Leone jest bardziej żywy niż kiedykolwiek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „C’era una volta... Sergio Leone” w Museo dell’Ara Pacis w Rzymie będzie otwarta do 20 września.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kalifornia karate



★★★★★
SEZONY 1-2
„COBRA KAI”
USA 2018-2019

wyst. Ralph
Macchio,
William Zabka,
Mary Mouser,
Xolo Maridueña

Trzydzieści cztery lata po wydarzeniach z filmu „Karate Kid” główni bohaterowie powracają. Daniel LaRusso (wciąż Ralph Macchio) ma wspa-
niałą rodzinę i dobrze prosperujący biznes, jego dawny rywal Johnny Lawrence (wciąż William Zabka) wegetuje z dnia na dzień, bo nic mu w życiu nie wyszło. Słynny turniej karate z 1984 r. okazał się punktem zwrotnym w ich życiu i wskazał drogi, którymi ostatecznie podążyli. W popkulturze jednak nic nigdy się nie kończy, więc gdy Lawrence wskrzesi niesławną szkołę karate Cobra Kai, to LaRusso postanowi przekazać swą wiedzę o filozofii sztuki walki następnemu pokoleniu. Sympatyczny pan Miyagi

(pamiętny i nominowany do Oscara Pat Morita) już nie żyje, ale jego duch się unosi.

Historia opowiadana jest przede wszystkim z punktu widzenia Lawrence’a, czyli czarnego charakteru oryginalnych dwóch filmów. W „Cobra Kai” okazuje się on zresztą postacią najciekawszą, najbardziej zniuansowaną, a William Zabka gra go przekonująco. „Cobra Kai” to opowieść o tym, czy potrafimy wyciągnąć wnioski z dawnych błędów, o tym, jak często bywamy niewolnikami własnych uprzedzeń, ale przede wszystkim o rodzicach i dzieciach, które stają się – zbyt często – zakładnikami pomyłek

N

popętnianych przez poprzednie pokolenie. No i o tym, że nie ma złych uczniów, są jedynie źli nauczyciele.

„Cobra Kai” żeruje na wielkim hicie kinowym sprzed lat i na nostalgii, jaką otoczone są dziś nie tylko w kinie lata 80., czyni to jednak z humorem, wdziękiem i zajmująco. W swoim gatunku, czyli kalifornijskiej bezpretensjonalnej rozrywki, jest to osiągnięcie znaczące. Bohaterowie są sympatyczni, obsada przyzwoita i mimo że to serial m.in. o rywalizacji dwóch szkół karate, przemocy jest w nim niewiele, w dodatku w porównaniu ze współczesną serialową normą jest to raczej przemoc niewinna.

Serial premierę miał dwa lata temu na YouTube Prime i był chętnie oglądany, ale pozostawał gdzieś na obrzeżach głównego nurtu. Jak informuje amerykański „Forbes”, po premierze pierwszych dwóch sezonów w Netflixie natychmiast stał się hitem numer jeden w USA. Sezon trzeci został już nakręcony, jego premiera wkrótce. Coś mi mówi, że nie będzie to sezon ostatni. ©©



NOWE SERIALE: „MŁODY WALLANDER”

Nietypowy prequel. Co prawda na ekranie widzimy młodego, naiwnego i niewinnego bohatera kryminalistów Henninga Mankella, ale akcja serialu rozgrywa się współcześnie. Tematy za to znane dobrze z literackiego oryginału: rasizm, ksenofobia, intrygi ekstremistów i rozgrywki polityczne. Kurtowi ojcuje – i uczy go cynizmu – doświadczony

oficer Hemberg, figurą matczyną jest policjantka Frida Rask. Strona wizualna jest znakomita, Adam Pålsson jako młody Wallander błyska charyzmą (i często nagim torsem), ale całość przekonuje umiarkowanie, bo jest zbyt gładka. ©© **Piotr Gociek**
• Sezon 1 „Młody Wallander”, 2020, wyst. Adam Pålsson, Leanne Best, Netflix

N

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Jonathan Glazer „Pod skórą” („Under The Skin”), Wielka Brytania 2013, thriller, Cinemax
- Zach Lipovsky, Adam B. Stein „Odmiercy” („Freaks”), USA 2018, fantastyczny
- reż. Mikael Håfström „Seryjny morderca” („Quick”), Szwecja 2019, kryminalny, CDA Premium

Cuda w lawendzie

MOJEKINO.PL

Utrata Siedmiogrodu, Małej Fatry i dostępu do Adriatyku wpędziła naszych bratanków w chroniczną depresję. Tomi, bohater „Najgorszych wierszy świata”, ma dodatkowe powody, by czuć się przygnębiony.

Rzuciła go dziewczyna, z Paryża musiał przedterminowo wrócić do Budapesztu i w dodatku pada deszcz. Ojciec, który na starość popadł w uzależnienie od polityki, rzuca mu w twarz: „Dlaczego nie jesteś dumny z bycia Węgrem?”, ale Tomi sprowokować się nie da. Rodzinne kłótnie o demokrację i uchodźców puszcza mimo uszu. Rozpamiętuje za to dziecięce traumy i zdradę nastoletnich ideałów. Kiedyś traktował billboardy z baniek, a po trzydziestce produkuje głupawą reklamę polskich podrobów.



★★★★★
REŻ. GÁBOR REISZ
„NAJGORSZE WIERSE ŚWIATA” („ROSSZ VERSEK”)
WĘGRY 2019

wyst. Gábor Reisz, Katica Nagy, Donát Seres

Epizod kontrahenta znad Wisły może i jest od czapy. Gábor Reisz, który to krotocwilne studium alienacji obmyślił, wyreżyserował i zagrał w nim główną rolę, nie wyprze się jednak artystycznego pokrewieństwa z Markiem Koterskim. Bohatera, który wpadł w pętlę czasową, dzięki czemu mógł konfrontować się ze swoimi wcieleniami w różnym wieku, znamy z twórczości Stanisława Lema, a „Dziewczyna o perłowych włosach” brzmi równie swobodnie w uszach Węgra i Polaka.

Kto za młodu nie był poetą, nie marzył o karierze rockowego gitarzysty i romantycznych spacerach po lawendowych polach, ten niech pierwszy rzuci kamieniem. ©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GRA TYGODNIA: „IRON HARVEST”

Jak wyglądałaby Europa przełomu wieków XIX i XX, gdyby zamiast na konstruowaniu czołgów ludzkość skupiła się na tworzeniu ogromnych, napędzanych silnikami Diesla maszyn kroczących? Jak przebiegałaby wojna toczona w latach 20., gdyby brały w niej udział odpowiedniki Polski,

Rosji i Cesarstwa Niemieckiego? Jeśli ktoś chciałby się przekonać, to wystarczy sięgnąć po nową strategię czasu rzeczywistego „Iron Harvest”. Dzieło polskich deweloperów czerpie garściami z klasyków gatunku takich jak „Company of Heroes”, oferując intensywne walki miejskie z wykorzy-



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

staniem terenu i zdolności taktycznych jednostek. Na plus ciekawa fabuła. © © **Marcin Makowski**
• **Gatunek:** Strategia/RTS
• **Platforma:** PC/PS4/XONE
• **Producent, dystrybutor:** KING Art Games/Deep Silver
• **PEGI:** 16+

SURWIWAŁ W SEULU

vod.pl



★★★★★
REŻ. SANG-GEUN LEE
„EXIT” („EK-SI-TEU”)
KOREA POŁUDNIOWA 2019

wyst. Jung-suk Jo, Yonna, Du-shim Ko

Komedia katastroficzna. Dla gwiazd K-popu źródłem natchnienia są zachodnie listy przebojów, ale ich rodakom z branży filmowej chyba nie imponują hollywoodzkie produkcje o zwykłych, którzy w godzinie próby okazują się herosami. „Exitu” trudno bowiem nazwać zwykłym. To czarna owca rodziny, nieudacznik, który tłucze naczynia przy zmywaniu. Nawet przedszkolaki kpią, gdy Yong-nam zamiast zabrać się do uczciwej pracy, szlifuje kondycję na siłkach i ścianie wspinaczkowej w miejskim parku. Śmiech zamrze im na ustach, gdy po ataku terrorystycznym (o dziwo, niebędącym dziełem sąsiadów z północy) właśnie takie umiejętności okażą się najbardziej przydatne. „Jeszcze wyżej” Kocham od małego, ale lubię też aktorski minimalizm Harolda Lloyd’a. „Exit” polecam widzom odpornym na koreańską nadekspresję, histerię, krzyki, płacz i ekstremalne wzruszenia tudzież fanom dronów oraz wspomnianego K-popu.

TRĄD W SZKLANEJ WIEŻY

W KINACH FOX



★★★★★
„DIABELSKA GRA” („DIAVOLI”)
WŁOCHY/ FRANCJA/ WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. Alessandro Borghi, Patrick Dempsey, Kasia Smutniak

Diabeł udaje, że nie istnieje, natura zaś próżni nie znosi. Po pięciu sezonach umarł amerykański tasieniec „Billions”, miejsce po wychwalanym truposzu próbuje zająć europejska „Diabelska gra”. Czołówka wabi widokiem banknotów o wysokich nominalach, sztabek złota, flag UE i USA tudzież ujęciami bezdomnych, żebraków, osławionych przekręciarzy i policjantów tłumiących zamieszki. Ta wizualna obietnica pozostaje niespełniona, bo ekranizacja powieści Guido Marii Brery jest dość kameralną kroniką intryg i skandali w jednej z londyńskich świątyń pieniądza. Wiedza o grzechach wielkiej finansjery trafia już pod strzechy, lecz główny bohater wydaje się zaskoczony. Alessandro Borghi zalicza obiecujący debiut w międzynarodowej produkcji, a Patrick Dempsey – przemianę z dyżurnego piękniśa w bezwzględne bankstera. Demoniczne stop-klatki to jednak za mało, by uznać „Diabelską grę” za moralitet. © © **recenzuje Wiesław Chełmniak**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pisarska dywersja

Ta książka ma swoją legendę. Napisana przez Florę Bieńkowską, żonę bliskiego współpracownika Gomułki, a następnie dysydenta – Władysława Bieńkowskiego, powieściopisarkę jeszcze w latach 60. za trylogię „Dalekie drogi” nagradzaną przez ministra kultury, ale już coraz bardziej podejrzaną. Za niepokorność. I swoją, i małżonka. „Południe wieku” Flory Bieńkowskiej było wielokrotnie przerabiane, jakoś tam dostosowywane do cenzorskich wymagań, a jednak nigdy nie zezwolono na jego publikację, a na druk w „Kulturze” autorka nie chciała się zdecydować. Jedyny egzemplarz tekstu powieści został odnaleziony niemal cudem i w końcu mogło dojść do edycji książki rzekomo tak zagrażającej systemowi politycznemu w kraju, że strach było wymówić jej tytuł.

O tym, że powieść, która niewykluczone, iż w chwili powstania (w połowie lat 60.) zrobiłaby furorę, została jednak skazana na niebyt i dziś – co możemy stwierdzić naocznie – jest już tylko ciekawostką historycznoliteracką, zadecydowała recenzja napisana najprawdopodobniej na zamówienie Komitetu Centralnego PZPR. Można ją uznać za ocenę, antyrekomendację, ale najbardziej za donos: „Powieść jest w swoim założeniu i realizacji świadomie i prowokacyjnie antykomunistyczna i antypartyjna i chyba celowo wzorowana na koestlerowskich tradycjach, o czym zdaje się świadczyć także tytuł »Południe wieku« [nawiązujący do »Ciemności w południe« Arthura Koestlera – przyp. K.M.]. W swoim antykomunizmie powieść – jak na obecne czasy – kwalifikuje się do skrajnej prawicy intelektualnej [! – przyp. K.M.], gdyż wymierzona jest w socjalizm jako taki i imputuje mu »immanentne zło«,



FOT. ZBIORY MUZEUM LITERATURY (EAST NEWS)

co ostatnio w »intelektualnym« antykomunizmie jest raczej rzadkością. Zarazem wykorzystując polskie realia (powstanie, Borowski, Staszewski etc.), powieść Bieńkowskiej dostarcza tworzywa ideologicznej i politycznej dywersji – z czego autorka nie może nie zdawać sobie sprawy.

W tej sytuacji złożenie powieści w wydawnictwie krajowym nie może być ocenione inaczej jak tylko jawna prowokacja [...].

„Ciekawym rysem »Południa wieku« jest to – czytamy w przedmowie córki Flory i Władysława Bieńkowskich, Ewy – że osoba pałdziernikowego sekretarza partii, Władysława Gomułki, rządzącego Polską aż do wydrzeń na wybrzeżu, nie będzie nigdzie zasygnalizowana. Jak gdyby człowiek, który stał się ośrodkiem wydarzeń pałdziernikowych i władcą kraju na następne dwadzieścia cztery lata, był nie tylko nienazywalny, lecz jakby utworzyła się wokół niego symboliczna próżnia – i wokół tej niedotykanej próżni kręci się cały świat przedstawiany w powieści. Nie trzeba też zapomnieć, że gdy Autorka dażyła uparcie i bezskutecznie do wydania powieści za swego życia (zmarła w 1990 r.), jakkolwiek forma przywołania osoby Gomułki była nie do

pomyślenia. Zauważę dodatkowo, że długo w naszym domu rodzinnym, do marca 1968, osoba pierwszego sekretarza stanowiła temat zatroskanych analiz i domysłów. Władysław Bieńkowski miał go za człowieka nieposzlakowanego, niejako za wcielenie polskiego ludu... [...]”.

W postaciach tej powieści czytelnik zorientowany w meandrach życia politycznego i literackiego PRL bez większego trudu rozpozna m.in. Stefana Staszewskiego, Zenona Kliszkę, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Borowskiego. Pewne trudności mieć może jedynie z ważną dla „Południa wieku” osobą sędziego Protopa. Ewa Bieńkowska podpowiada, że ten „mistrz nauk o historycznym determinizmie i o władzy stojącej ponad dobrem i złem” nosi pewne cechy Adama Schaffa, „filozofa partyjnego wyjątkowo niecenionego przez Władysława Bieńkowskiego za konformizm”.

Po rzekomym „przełomie październikowym” i tzw. destalinizacji narrator powieści, alter ego autorki, przepowiada Protopowi, że zostanie prokuratorem, bo „to tylko sprawa czasu, był pan dobrym fachowcem, tacy są niezastąpieni”. I to wypuszczonego z więzienia Jan Horaczyński [Zenon Kliszko – przyp. K.M.] powoła go na to stanowisko, gdyż „racja władzy będzie tego wymagała. I ty, który skazywałeś Horaczyńskiego, będziesz mógł się wypłacić – skazując teraz tych przez niego podsuniętych. I koło się zamknie. Więc uproszczony schemat, prokuratorze Protop. Nie będzie to jednak tak całkiem proste, bo przecież kiedyś narodzi się sumienie...”.

„Południe wieku” to jednak naiwna książka. Sumienie bowiem budzi się w tych tylko, którzy je mają. ©



★★★★★
FLORA
BIENKOWSKA
„POŁUDNIE
WIEKU”
PRÓSZYŃSKI
MEDIA,
WARSZAWA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ach, ten rok 1920!

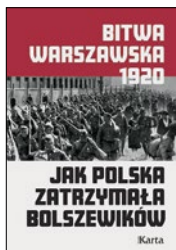
Dzisiaj zbiorczo, bo nowości wiele, temat ważny, a gazeta z gumy nie jest, nie dam rady o każdej książce zamieścić pół stroniczki, a przecież są tego warte. Wśród mnogich publikacji związanych z setną rocznicą Bitwy Warszawskiej 1920 trudno nie zauważyć wznowienia klasycznej pracy Adama Zamoyskiego „Warszawa 1920” (Wydawnictwo Literackie). Autor jest jednym z nielicznych zachodnich historyków, którzy wskazują prawdziwą stawkę owego starcia, mówi o tym podtytuł jego dzieła: „Nieudany podbój Europy. Klęska Lenina”. Polska edycja w odróżnieniu od angielskiego oryginału wzbogacona jest o unikatowe fotografie. Szkoda tylko, że wznowienie ukazuje się w oprawie półtwardej, pierwsze było porządnym hardcoverem.

Grzegorz Łukomski i Elżbieta Szumiec-Zielińska proponują pracę „Zwycięstwo Polski, ocalenie Europy!” (LTW), koncentrując się nie na samej bitwie, lecz naświetlając tło polityczne tamtych lat i przedstawiając wypadki, za których sprawą do inwazji bolszewików na Europę w ogóle doszło. Szczególnie ciekawe są fragmenty o roli Niemiec w umocnieniu sowieckiej władzy. Tutaj również warto podkreślić świetny materiał ilustracyjny, łącznie z galerią plakatów propagandowych.

Autor znany państwu doskonale z „Do Rzeczy”, Sławomir Koper, wraz z Tymoteuszem Pawłowskim przygotował „Mity wojny 1920” (Czarna Owca), stawiając 29 pytań, na które obaj udzielają często zupełnie nieoczywistych odpowiedzi. Autorzy idą pod prąd podwójnie, występując przeciw bzdurnym i kłamliwym tezom z czasów PRL, które do dziś przetrwały w zbyt wielu głowach, ale jednocześnie protestując przeciw „specyficznemu hurraoptymizmowi”, wedle którego „postępowanie polskich władz cywilnych i wojskowych było wspaniałe i pozbawione wad”.

Bezcenną publikacją jest książka wydana przez Ośrodek Karta „Bitwa Warszawska 1920. Jak Polska zatrzymała bolszewików”, którą utkano ze źródeł. 150 stron narracji o przełomowych momentach w historii współczesnej Polski złożono ze wspomnień uczestników wydarzeń, dzienników, listów, składając barwną panoramę od 1 do 25 sierpnia 1920 r. Każdy, kto na poważnie interesuje się historią Polski, powinien mieć tę pracę w swoich zbiorach.

A to jeszcze nie koniec premier – przed końcem roku ukazać ma się jeszcze choćby antologia „Triumf 1920. Obraz i pamięć” pod redakcją naukową prof. Joanny Sosnowskiej i prof. Jerzego Miziołka. ©©



★★★★★

AUTORZY RÓŻNI
„BITWA WARSZAWSKA 1920. JAK POLSKA ZATRZYMAŁA BOLSZEWIKÓW”
OŚRODEK KARTA 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Uczta dla miłośników literatury. Defoe, Goethe, Flaubert, Tolstoj, Beckett są wśród bohaterów rozważań południowoafrykańskiego noblisty. Szczególnie ciekawy dla polskiego czytelnika będzie esej o Zbigniewie Herbertcie.



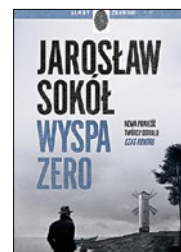
J.M. COETZEE
„PÓŹNE ESEJE”
WYDAWNICTWO KARAKTER

Wznowienie pracy profesora teologii Uniwersytetu Lwowskiego, późniejszego biskupa diecezji tarnowskiej (od 1946 r.). Mocna krytyka postępującej ateizacji, jeśli chodzi o celność diagnozy i receptę – równie aktualna jak w 1937 r.



KS. DR JAN STEPA
„KUSZENIE NOWOCZESNEGO CZŁOWIEKA”
WYDAWNICTWO PARDWA

Maj 1945 r., poniemieckie Świnoujście. Przedwojenny polski policjant próbuje odkryć, kto odpowiada za falę zabójstw, których ofiarą padają byli więźniowie obozów. Świetne połączenie kryminału i powieści historycznej.



JAROSŁAW SOKÓŁ
„WYSPA ZERO”
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Zgrabny, oryginalny i cudownie zilustrowany tomik – kartonowa „trójwymiarowa” historia kolei od „Rakiety”, słynnej lokomotywy George’a Stephensona, do superszybkiej współczesnych kolei francuskich i japońskich. ©©

poleca Piotr Gociek



GÉRARD LO MONACO
„OODJAZD!”
DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA:

„BBPO. PIEKŁO NA ZIEMI”

BBPO oznacza Biuro Badań Paranormalnych i Obrony, to organizacja chroniąca ludzkość przed wszelkiego rodzaju nadnaturalnymi zagrożeniami. A w świecie wymyślonym przez rysownika Mike’a Mignolę jest ich wiele – na kartach serii ożywają potwory ze wszelkich mitologii i baśni. „Piekło na ziemi” to czwarty tom zbiorczego wydania zeszytów cyklu, który powstał jako



MIKE MIGNOLA I INNI
„BBPO. PIEKŁO NA ZIEMI”
EGMONT 2020

poszerzenie uniwersum Hellboya. Czerwony mocarz pracował właśnie dla BBPO, ale przecież nie mógł być we wszystkich miejscach jednocześnie. O innych dokonaniach i innych zagrożeniach opowiada zatem osobna seria. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. MATERIAL PRASOWE

Trzy kobiety, sześciu mężczyzn. Nazwa kapeli – Tęgie Chłopy – to muzyczna deklaracja, ponieważ „grają przede wszystkim kieleckie »chłopy« – trójmiarowe, śpiewne melodie typowe dla wschodniej Kielecczyny, zwane także »światówkami« lub »śpiwami«. Tęgie Chłopy chcą grać do tańca tak, żeby »sufit się podnosił« [...]. W podnoszeniu sufitu wydatnie pomaga obecność mocnej sekcji dętej – trąbki, klarnetu i tuby”.

W październiku uniosą się węgierskie sufity, kapela Tęgie Chłopy wybiera się bowiem na World Music Expo do Budapesztu. WOMEX to największa na świecie impreza poświęcona muzyce etnicznej, na którą zgłasza się po kilka tysięcy zespołów z całego świata, a zaproszenie dostaje ledwie kilkanaście z nich. Z Polski pojadą w tym roku tylko Tęgie Chłopy.

Tytuły dotychczasowych płyt grupy – „Wesele” i „Dancing” – wiele mówią

o repertuarze. „Kapela Tęgie Chłopy kontynuuje tradycje muzyki tanecznej Kielecczyny w jej autentycznej i niestylizowanej formie. Repertuarem i instrumentarium nawiązuje do najlepszych wzorów – tradycyjnych kapel ogrywających dawniej wesela i wiejskie zabawy w okolicach Łagowa i Opatowa, m.in. kapeli braci Witkowskich z Orłowin, Krakowiaków ze Zbelutki, Antoniego Witkowskiego z Cisowa i wielu innych” – piszą o sobie Tęgie

Chłopy. Muzycy – Maniucha Bikont, Ewa Grochowska, Dorota Murzynowska, Maciej Filipczuk, Mateusz Kowalski, Michał Maziarz, Szczepan Pospieszalski, Michał Żak, Marcin Żytomirski – starają się docierać do najstarszego repertuaru Kielecczyny, poszukują regionalnych muzyków i śpiewaków.

Tęgie Chłopy pracują nad trzecim albumem. – Płyta będzie zawierała stare kieleckie melodie i zupełnie współczesne teksty naszego skrzypka Marcina Żytomirskiego. Napisał on genialne teksty, w których zawarł mnóstwo smaczków, znanych nam wszystkim z wyjazdów na wieś – to, w jaki sposób ludzie zwracają się do zwierząt, jakie mają powiedzenia. Utwory są adresowane i do dorosłych, i do dzieci – mówiła dla Polskiego Radia Maniucha Bikont. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

To ma sens

Sam pomysł – przerobienie Chopina na piosenki – zakrawa na megalomanię i powinien zakończyć się katastrofą. Natalia Kukulska tak mocno wierzyła w swój pomysł, że zmobilizowała blisko 100 osób i wspólnie z nimi dokonała niemożliwego.

Dwa mazurki, dwie etiudy, dwa preludia i po jednym polonezie, walcu i nokturnie oraz koncert fortepianowy. Pięciu aranżerów (Krzysztof Herdzin, Nikola Kołodziejczyk, Adam Sztaba, Paweł Tomaszewski, Jan Smoczyński) rozpięło te utwory na orkiestrę symfoniczną (Sinfonia Varsovia), fortepian i sekcję jazzową. Wszyscy zadanie wykonali perfekcyjnie, dzięki czemu utwory mistrza otrzymały nowe barwy i nabrały filmowo-musicalowej lekkości.

W nagraniu wziął też udział pianista Janusz Olejniczak, wybitny interpretator muzyki Chopina.

Natalia napisała pięć tekstów, a o pozostałe poprosiła Melę Koteluk, Kayah, Gabę Kulkę, Natalię Grosiak (Mikromusic) i Bovską. Teksty – pisane z perspektywy dojrzałych kobiet – mówią o zawłościach życia i uczuć, doskonale wpasowują się w nastrój płyty. A Natalia Kukulska zaśpiewała je czystym, pięknie brzmiącym głosem. Dzięki Leszkowi Kamińskiemu, który perfekcyjnie całość zmiksował, jej głos stał się instrumentem solowym, wokół którego rozgrywa się wielobarwny spektakl dźwiękowy. Jak na dzisiejsze czasy to bardzo tradycyjna płyta, ale dzięki temu nad wszystkim unosi się duch Fryderyka, a nagrań słucha się z przyjemnością. ©©



★★★★★
**NATALIA KUKULSKA/
SINFONIA
VARSOVIA
„CZUŁE STRUNY”
AGORA MUZYKA**



★★★★★
**TRICK
„FALL TO PIECES”
FALSE IDOLS**

Elektroniczne treny opiewające ból po śmierci córki – Mazy. Te spowolnione, pochmurne bluesy śpiewa krakowianka Marta Złakowska. Trick ogranicza się do szepców, deklamacji i tworzenia upiornych dźwięków wyrażających jego wewnętrzną mękę.



★★★★★
**VIKI GABOR
„GETAWAY (INTO MY
IMAGINATION)”
UNIVERSAL**

Zwycięzcy dziecięcej Eurowizji wkracza na międzynarodową scenę. Wśród 12 tanecznych piosenek trzy są po polsku, w tym duet z Kayah. Muzyczna guma do żucia, ale trzeba przyznać, że zawodowo wykonana i nagrana. ©©

Tegoroczny Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu miał – zdaniem tzw. mediów opiniotwórczych z Onetem i „Gazetą Wyborczą” na czele – sięgnąć dna. Okazał się, niezależnie od wszelkich niedoróbek, całkiem udany, co niechętnie, bo niechętnie, ale przyznali nawet zwolennicy znanej teorii, że zorganizowaną po raz 57. imprezę należy definitywnie zamknąć, amfiteatr opolski zaorać, a nowy zbudować dopiero wtedy, gdy nowi dysponenti telewizji publicznej wyrzucą z Woronicza rządzącą tam ekipę, zastępując ją np. tą, która rozdaje karty przy Wiertniczej. A ci nowi-starzy fachowcy od wszystkiego, a w dziedzinie kultury masowej to już wyjątkowo uzdolnieni, ściągną nad Odrę Dawida Podsiadłę, zdetrofizują panującą od lat na festiwalu Marylę Rodowicz, wymieniając ją na nieco młodszy model, czyli Kayah, a jak już Krysia Janda zaśpiewa „Gumę do żucia”, to już naprawdę będzie przepięknie i normalnie, zgodnie z tym, co wieszczę od niepamiętnych czasów Tomasz Lipiński.

Na razie jednak – ku utraceniu tych ostatnich – festiwal trzyma w swych brunatnych łapskach faszystowska klika Kurskiego, która w ramach sankcji nałożonych na zwolenników prawdziwej wolności i demokracji koncert piosenki poetyckiej ozdobiła piosenkami tej samej Kayah tudzież Katarzyny Nosowskiej, nagrodziła wschodzącą gwiazdkę ze stajni Podsiadły, a na domiar złego urządziła wspaiały koncert na jubileusz obchodzącego 50-lecie zespołu SBB, wzruszyła zarówno zamaskowaną publikę, jak i widzów godnym pożegnaniem Romualda Lipki, namówiła na uroczą podróż sentymentalną z Alicją Majewską i Włodzimierzem Korczem, zaskoczyła połączeniem



Justyna Steczkowska FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS

Nad Odrą i Wisłą



Krzysztof Masłoń

koncertu muzycznej alternatywy z opowieścią o kimś – zdawałoby się – z zupełnie innej bajki, czyli pisarzu Marku Nowakowskim. A tego, co pokazali i wyśpiewali Natalia Sikora, Pablopavo i Ludziki czy Igor Herbut z Kubą Badachem, zapomnieć się nie da.

Oczywiście, TVN nie zapomina o tych, którzy już dawno temu wykasowali telewizję publiczną ze swoich pilotów, a ostatnimi dniami głównie zajmowali się sporządzaniem list kolaborantów występujących w Opolu. Ku swej satysfakcji mogli obejrzeć

tradycyjnie stojący na wysokim poziomie pokaz kultury wysokiej, osobistej i jakiej byście sobie państwo nie winszowali, czyli talk-show Kuby Wojewódzkiego. Zaprosił on do swego programu Krzysztofa Gonciarza, jakby ktoś nie wiedział: „youtubera, vlogera, gamera, influencera, podróżnika, reżysera, biznesmena, a także – uwaga! [przyp. K.M.] – artystę”, wstawionego ostatnio przejazdem tzw. antyciężarówką po śladach straszliwego homofobusa Fundacji Pro-Prawo do Życia, co wprawilo w zachwyt m.in. „Politykę”. A gdy Gonciarz orzekł, że „trolling prawny uprawiany przez tamtą ciężarówkę [tę samą, której istnienia nie mógł (nie mogła) zdzierżyć Margot – przyp. K.M.] jest upokorzeniem dla Warszawy”, Wojewódzki nie miał wyjścia, musiał pokłonić się nisko gwiazdzie YouTube, a następnie przełknąć celne spostrzeżenie swego gościa, że „kluczem do tego programu jest nie śmiać się z twoich żartów”. Wprawdzie wydaje mi się, że prostszym rozwiązaniem jest nieprzyjmowanie zaproszeń do programu „Kuba Wojewódzki”, a jeszcze prostszym nieoglądanie popisów tego wyspekulowanego chamstwa. Nie wymagamy jednak za wiele. Ćwierć wieku temu Andrzej Sikorowski zaśpiewał:

Wow! Talk-show

Ktoś przed kamerą spodnie zjął,

Powiedział, ile razy może

I z kim od wczoraj dzieli łóżę.

Europejczyk, a nie żaden koł.

Wow! Talk-show.

A co poza tym przy Wiertniczej? Zawitała tam zaproszona do programu „Dzień Dobry TVN” aktorka Katarzyna Warnke, posłała do toalety, na umywalce zostawiła obrączkę, która – co państwo powiedzą... – zniknęła. Ot, kultura. ©©

KAMILA BARANOWSKA: Jaki będzie finał rozmów koalicyjnych, które mają zdecydować o kształcie dalszej współpracy trzech partii w ramach Zjednoczonej Prawicy?

KRZYSZTOF SOBOLEWSKI: Byłem przy tych rozmowach i mogę powiedzieć, że mam niemalże 100 proc. pewności, iż one zakończą się sukcesem i kontynuacją koalicji, a Zjednoczona Prawica będzie mogła nadal realizować to, z czym szła do wyborów i w roku 2015, i w 2019. Każdy z uczestników tych rozmów zdaje sobie sprawę, że jesteśmy po czwartym z rzędu wygranych wyborach, a to oznacza, że Polacy dali nam mocny mandat do realizacji tego, o czym mówiliśmy w kolejnych kampaniach, i że nie wolno nam tego zaprzepaścić. Koalicja Zjednoczonej Prawicy powstała w 2014 r. i przechodziła różne okresy, ale mimo różnic, czasem większych, czasem mniejszych, lider, którym jest Jarosław Kaczyński, zawsze na koniec potrafił zaproponować takie rozwiązania, które były do zaakceptowania dla każdej ze stron.

Czyli negocjują wszyscy, a na koniec i tak decyduje Jarosław Kaczyński. W sumie oczywista oczywistość.

Rola i odpowiedzialność prawdziwego lidera polega na tym, by umieć uwzględnić oraz pogodzić interesy wszystkich stron i w koalicji Zjednoczonej Prawicy tak właśnie jest. Teraz także każdy etap rozmów podsumowuje Jarosław Kaczyński i do niego należy ostatnie słowo. Liderzy Solidarnej Polski i Porozumienia raz z większym, innym razem z mniejszym entuzjazmem, ale to przyjmują. Pamiętajmy też, że zakres trwających obecnie rozmów jest bardzo szeroki, od rekonstrukcji rządu przez sprawy gospodarcze do nowej oferty programowej, którą chcemy niebawem zaprezentować Polakom.

Różnice w ramach Zjednoczonej Prawicy zaczynają jednak coraz bardziej wszystkich uwierać. Premierowi Morawiekiemu marzy się rząd umiarkowanej prawicy, który mógłby rządzić latami, tymczasem minister Ziobro chce stanąć na czele kontrewolucji ideowej. Do której koncepcji bliżej dziś Jarosławowi Kaczyńskiemu?

I jedna, i druga koncepcja ma swoje wady i zalety, dlatego i z jednej, i z drugiej wybieramy to, co dobre. Obrazowo można powiedzieć, że jest waga i szalki, każda ze stron coś tam swojego dokłada, ale tę wagę ktoś trzyma, a tym kimś jest Jarosław Kaczyński. Mamy to szczęście jako Zjednoczona Prawica, że mamy lidera z prawdziwego zdarzenia, czego, na szczęście, nie można powiedzieć o opozycji. Przy czym nasza ofensywa programowa



Z Krzysztofem Sobolewskim, posłem PiS, przewodniczącym Komitetu Wykonawczego PiS rozmawia Kamila Baranowska

Jarosław Kaczyński to nasza największa przewaga

na pewno będzie wypadkową rozmów koalicyjnych i umowy koalicyjnej. Kolejność jest taka: najpierw umowa koalicyjna, potem rekonstrukcja rządu, a co za tym idzie – wskazanie osób, których zadaniem będzie rozpoczęcie realizacji nowych pomysłów programowych i kontynuacja tego, czego nie dokończyliśmy.

Na przykład reformy sądownictwa?

Przede wszystkim. Jeśli chodzi o reformę sądownictwa, to jesteśmy – używając terminologii sportowej, a konkretnie sztafetowej – dopiero po pierwszej zmianie, więc jeszcze bardzo dużo przed nami.

Będzie radykalnie czy tak, by Bruksela nie miała się do czego przyczepić?

Myślę, że najgorszy moment, moment eskalacji walki o reformę sądownictwa, mamy już za sobą. Proszę zauważyć, że ten temat w Brukseli nie jest już na pierwszym miejscu, jak było wcześniej. Unia ma inne, poważniejsze sprawy na głowie. Jestem zdania, że nasze reformy nie będą już wywoływać w Brukseli wielkich emocji.

To się okaże. Wielkie emocje wywoła na pewno sprawa dekoncentracji mediów, którą planujecie. Wiadomo już, jak to ma wyglądać?

Od dawna to zapowiadaliśmy, więc nie dziwnego, że pracujemy nad zmianami dotyczącymi szeroko pojętego rynku medialnego. Szczegółów nie będę zdradzać, zwłaszcza że rozmowy na ten temat wciąż

jeszcze trwają. Odpowiem po twitterowe-
mu: stay tuned.

Widać, że działacie wedle zasady, by najbardziej kontrowersyjne sprawy załatwić na samym początku, a potem mieć spokój.

Po prostu chcemy dokończyć to, czego nie udało się zamknąć w poprzedniej kadencji, a o czym od dawna mówimy.

A dlaczego konieczna jest rekonstrukcja rządu i likwidacja ministerstw? Mówi się, że z 20 resortów może się ostać 11-12.

Robimy to, aby usprawnić cały proces przeprowadzania kluczowych dla państwa zmian. Dotąd było tak, że jest dobry pomysł, który trzeba szybko wprowadzić w życie, a on utyka gdzieś na szczeblu urzędniczym, najczęściej w konsultacjach międzyrządowych, bo to tam zazwyczaj każdy chce pokazać, jak jest potrzebny i ważny. Chcemy, by decyzje były podejmowane szybciej i sprawniej, bez zbędnej biurokracji.

Już raz zlikwidowaliście Ministerstwo Skarbu, by po dwóch latach przywrócić je z powrotem. Teraz nie będzie podobnie?

Nie sądzę, by tak było. Wiadomo, że w miejsce kilku zlikwidowanych resortów powstaną duże ministerstwa, bo materia, którą się będą zajmować, jako taka się nie zmieni. Naszym zadaniem jest usprawnienie działania rządu tak, by danym tematem nie zajmowały się równoległe trzy albo cztery resorty i by nie trzeba było czekać tygodniami, aż się wszyscy wypowiedzą i ze sobą zgodzą.

Niektórzy twierdzą, że rekonstrukcja jest po to, by wzmocnić pozycję premiera Morawieckiego.

Od początku pan prezes Kaczyński podkreśla i mówi to wprost – że rekonstrukcja rekonstrukcją, ale jest jedna niezmienna rzecz i jest nią to, że Mateusz Morawiecki będzie premierem. To chyba najmocniejszy dowód na to, jaką pozycję ma dziś Mateusz Morawiecki.

W nowej układance mniejsi koalicjanci mają stracić po jednym ministerstwie. To też jest przedmiotem negocjacji?

Jeśli rekonstrukcja ma polegać na zmniejszeniu liczby ministerstw do 11-12, to proporcjonalnie zostanie zmniejszony udział wszystkich stron. Tak samo „poszkodowane” będzie też Prawo i Sprawiedliwość, bo przecież zniknie część resortów, którymi kierują ludzie z PiS.

Ostatni sondaż dla wp.pl pokazał, że Solidarna Polska i Porozumienie, startując osobno, nie miałyby szans na przekroczenie progu wyborczego. Czy ten argument pada w rozmowach?

Patrząc na ten sondaż, jestem zaniepokojony czymś innym – mianowicie tym, że my też dużo straciliśmy. Wniosek z tego jest jeden. Jeżeli Zjednoczona Prawica nie jest zjednoczona, to tracą wszyscy, i to powinno być drogowskazem na dalsze etapy rozmów koalicyjnych.

Na ile możliwe są dziś scenariusze poszerzenia koalicji rządzącej o PSL bądź Konfederację, bo co jakiś czas wracają spekulacje na ten temat?

Był moment, gdy pan prezes Kaczyński pytany o to odpowiadał, że jeśli się ktoś do nas uśmiecha, to my też się uśmiechamy. Powiem tak – uśmiechaliśmy się i na uśmiechach się skończyło. Widocznie z tamtej strony były to uśmiechy udawane.

Opadł już kurz po wyborach prezydenckich. Jakie wnioski z nich wyciągnęliście?

Jesteśmy po podsumowaniu kampanii i wyborów. Są rzeczy, które nas cieszą, takie jak największa w historii liczba głosów oddanych na prezydenta Andrzeja Dudę, a więc pośrednio na nasz obóz. Jeszcze parę lat temu mogliśmy o czymś takim jedynie pomarzyć. Łyżką dziegciu w tej beczulce miodu jest bardzo słaby wynik wśród młodych. Szukamy rozwiązań, które mogłyby przyciągnąć do nas najmłodszych wyborców. Nie jest to łatwe, bo młodzież ma to do siebie, że jeśli się buntuje, to zazwyczaj przeciwko rządzącym. W naszej ofensywie programowej na pewno znajdują się tematy, które do części młodych trafiają.

Co konkretnie?

Na przykład kwestie dotyczące ochrony praw zwierząt. To jest coś, co bardzo leży na sercu młodemu pokoleniu, podobnie jak sprawy szeroko rozumianej ekologii. Mamy parę pomysłów, ale gwarancji, czy młodzi wyborcy to docenią, nie ma.

Łaska wyborcy na pstrym koniu jeździ. Każdego, nie tylko młodego.

To prawda. Niektórzy politycy z naszego obozu byli mocno zaskoczeni, że zdecydowana większość beneficjentów programu „500+” na nas nie zagłosowała. Tymczasem w polityce wdzięczność nie obowiązuje, a wyborcy pamiętają wydarzenia z najdalej dwóch-trzech tygodni. Chociaż w przypadku programu „500+” najważniejsze jest, że mamy dzięki niemu mniej ubogich dzieci. Rodzice nie muszą

już wybierać, czy kupić dziecku do szkoły buty czy plecak, zeszyt czy flamastry. Niech rodzice głosują, jak uważają, to jest ich wybór, najważniejsze, że dzieci mają lepiej.

Po prezentacji przez Jarosława Kaczyńskiego „Piątki dla zwierząt” odezwały się głosy wytykające, że to fajnie, iż dbacie o prawa zwierząt, a sprawa zakazu aborcji eugenicznej leży zapomniana.

Nie zapomnieliśmy. Mamy świadomość, że ta sprawa ciągnie się za długo i że pewne rozstrzygnięcia muszą zostać dokonane. Na razie więcej nie mogę powiedzieć.

Nowy ruch, który chce tworzyć Rafał Trzaskowski, spędza wam sen z powiek?

Jeśli ktoś zapowiada, że powoła ruch, i potem przez miesiąc nic nie robi, to marne są szanse powodzenia takiego projektu. Tak się nie buduje nowej formacji. Do tego trzeba pozytywistycznej pracy u podstaw, aktywności w terenie, a to chyba nie jest mocna strona Rafała Trzaskowskiego. A kiedy już się w końcu zebrał, żeby ten ruch powołać, zaczęły się inne ruchy, na Wiśle. I kłapa. Poza tym kto wymyślił, by o nowym ruchu Trzaskowski szedł rozmawiać z szefem Platformy, do siedziby Platformy, samemu będąc wiceszefem Platformy? Jeśli to ma być oddolny ruch obywatelski, to ktoś tu chyba ma kłopoty z logicznym myśleniem.

Opozycja nie stwarza wam problemów, więc stwarzacie je sobie sami. Ostatnie tygodnie to wiele doniesień o żonach, stryjach i krewnych polityków PiS ulokowanych w państwowych firmach.

Na szczęście prezes wrócił z urlopu i przypomniał nam wszystkim, czym jest pokora w polityce.

To politykom PiS o takich rzeczach musi za każdym razem przypominać prezes?

Akurat tak się nieszczęśliwie złożyło, że mieliśmy kilka takich przypadków. Ja to łączę z trwającymi rozmowami koalicyjnymi i niepewnością wynikającą z oczekiwań na rekonstrukcję. Niektórzy czują się zagrożeni i wykonują różne, chaotyczne ruchy. Tutaj zresztą po raz kolejny było widać, jak ważne jest posiadanie lidera z prawdziwego zdarzenia. Kogoś, kto w odpowiednim momencie kończy kłótnie czy pewne tematy jednym gestem, ruchem, słowem. To, że mamy takiego lidera w osobie Jarosława Kaczyńskiego, jest naszą największą przewagą nad opozycją.



Łukasz Warzecha

Czy firma powinna odpowiadać za łamanie prawa przez jej pracownika? A jeśli tak, to w jakim stopniu? Na te trudne pytania muszą dziś odpowiedzieć razem urzędnicy i przedsiębiorcy, dyskutując o nowych regulacjach

Wyobraźmy sobie, że na drodze dochodzi do wypadku: ciężarówka zjeżdża na pas ruchu w przeciwną stronę i miażdży samochód osobowy. Pasażerowie osobówki giną lub stają się kalekami. W toku śledztwa okazuje się, że prowadzący samochód ciężarowy zasnął za kierownicą, przekroczywszy znacznie dozwolony czas pracy. Mało tego – w firmie, dla której pracował, jest to, jak się okazuje, powszechna praktyka. Nakłaniali do tego dyspozytorzy, naciskając na kierowców w sprawie terminów. Nie wiadomo, czy wiedzieli o tym właściciele, ale wiadomo, że poniekąd się na to godzili, przyjmując taką liczbę zleceń, które były nie do zrealizowania w przewidzianym przez prawo czasie pracy. Zatem w najlepszym razie przymykali na wszystko oko. Czy firma powinna odpowiadać finansowo za śmierć jadących samochodem osobowym i na jakich warunkach?

Wokół tego pytania trwa spór między Ministerstwem Sprawiedliwości a środowiskami przedsiębiorców. Obie strony mają mocne argumenty. Dzisiaj stan prawny na podstawie ustawy z 2002 r. jest taki, że owszem, firma może odpowiadać za zabronione czyny swoich pracowników, ale pod warunkiem, że zostaną one potwierdzone wcześniejszym prawomocnym wyrokiem skazującym pracownika, wyrokiem warunkowo umarzającym postępowanie karne albo postępowanie w sprawie o przestępstwo skarbowe, orzeczeniem o udzielenie pracownikowi zezwolenia na dobrowolne poddanie się odpowiedzialności albo orzeczeniem sądu o umorzeniu przeciwko niemu postępowania z powodu okoliczności wyłączającej ukaranie sprawcy (art. 4 ustawy). Mówiąc prościej – najpierw sąd musi się wypowiedzieć prawomocnie w sprawie winy pracownika firmy, aby można ją było pociągnąć do odpowiedzialności. I to nie



Winni przez pracownika

byle jakiej – maksymalny wymiar sankcji finansowej to dziś aż 5 mln zł, przy czym nie więcej niż 3 proc. przychodu w roku obrotowym, w którym popełniono czyn.

ZANIM ORZECNIE SĄD

MS próbowało już raz zmienić tę ustawę – projekt został przedstawiony na początku ubiegłego roku. Wówczas przepadł, ale jego podstawowe założenie było podobne jak dzisiaj: miałyby zniknąć wymóg pociągnięcia podmiotu zbiorowego do odpowiedzialności dopiero po prawomocnym orzeczeniu sądowym dotyczącym winy zatrudnionego w takim przedsiębiorstwie człowieka. Zakładał też radykalne podwyższenie kar, które miały sięgać aż 30 mln zł. Tym razem kolejny projekt w tej samej sprawie (na razie nie ma go jeszcze w wykazie prac legislacyjnych Rady Ministrów, ale ma się tam podobno znaleźć lada moment) zawiera zastrzeżenie nieobecne

w poprzednim, mające uspokoić przedsiębiorców: odpowiedzialność na podstawie nowej ustawy miałaby dotyczyć jedynie podmiotów zatrudniających minimum 250 osób. Nie obejmowałaby zatem mniejszych firm, lecz jedynie te, które – z racji swojego rozmiaru – mają już zwykle i tak działały tzw. compliance, czyli zajmujące się przestrzeganiem przez pracowników norm i generalnie prawa.

MS argumentuje, że dziś zwłaszcza duże firmy, w szczególności zagraniczne, działające na polskim rynku mogą całkiem świadomie lekceważyć przepisy różnego rodzaju, ponieważ zdają sobie sprawę, że nic im nie grozi. Dotyczy to zwłaszcza bezpieczeństwa pracy, ale także traktowania środowiska naturalnego. Modus operandi bywa tutaj zawsze podobny: po cichu i bez śladów w dokumentacji zezwala się na nielegalne działania lub nawet się je nakazuje, a w razie wpadki odpowiedzialność mają

ponieść ludzie będący w wielkiej korporacyjnej maszynie jedynie trybikami. Czasami są traktowani jak kozły ofiarne, czasami firma pomaga im bronić się przed zarzutami, ale zawsze perspektywa pociągnięcia do odpowiedzialności samej firmy jest bardzo odległa. I zwykle się to nie dzieje. Ministerstwo przypomina, że w ciągu 18 lat obowiązywania dotychczasowej ustawy do odpowiedzialności firmy zostały pociągnięte jedynie 77 razy, a najwyższa kara wyniosła raptem 12 tys. zł, oraz wskazuje, że z powodu łagodnego prawa w Polsce część zagranicznych firm traktuje nas jak teren osiągnięcia łatwego zysku dzięki świadomeму naruszaniu prawa.

Pokrzywdzone osoby – na przykład rodziny pracowników, którzy przez zaniebdania przedsiębiorstwa stracili bliskich lub ponieśli znaczącą szkodę – są bezsilne, bo proces karny odpowiedzialnego bezpośrednio pracownika może trwać latami, a jego rezultat jest niepewny. Pytany o to, dlaczego zamiast zaostrzać ustawę o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych, nie usprawnić procedury cywilnej, odpowiedzialny za projekt wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoła wyjaśnia, że mało który pokrzywdzony jest w stanie mierzyć się z prawnikami, których może wynająć pozwana firma. I jest w tym sporo racji.

Warchoła wskazuje również, że podobne rozwiązania obowiązują w innych krajach, w szczególności we Francji, gdzie w ciągu 10 lat obowiązywania podobnej ustawy wydano na jej mocy ponad 4 tys. wyroków, czy w Wielkiej Brytanii, gdzie za zatrucie środowiska nałożono na firmy ponad 250 mld funtów kar. W przypadku Francji do początku 2006 r. obowiązywał katalog przestępstw, za których popełnienie przez pracowników firma mogła być postawiona w stan oskarżenia. To ograniczenie zniesiono i od tamtego momentu odpowiedzialność może dotyczyć złamania jakiegokolwiek przepisu prawa karnego. Wywołało to dodatkowe perturbacje w związku z zakazami nałożonymi w czasie epidemii – francuski biznes obawiał się, że próba utrzymania względnie normalnej działalności zaowocuje złamaniem prawa, choćby nieintencjonalnym, a to z kolei będzie prowadziło do ukarania (grzywna może sięgać nawet miliona euro).

Nie jest oczywiście tak, że firma, którą miano by pociągnąć do odpowiedzialności na podstawie nowej polskiej ustawy, nie będzie mogła jej uniknąć. Mówiąc językiem prawniczym – będzie się mogła

ekskulpować. Jak wyjaśnia MS, będzie musiała wykazać, że dochowała należytej staranności, aby uniknąć złamania prawa przez jej pracownika. Tutaj zaczynają się schody. Mecenass Radosław Płonka, ekspert do spraw prawa gospodarczego Business Centre Club, wskazuje, że „należyta staranność” to pojęcie nieprecyzyjne, podlegające każdorazowej interpretacji przez prokuraturę i sąd.

PRZEDSIĘBIORCY CZEKAJĄ

Faktem jest, że to pojęcie pojawia się w różnych miejscach systemu prawnego. Dotyczy na przykład dziennikarzy i sposobu pracy nad materiałami – ale dziennikarze również natykają się na problem nieostrości tego pojęcia. Jeden sąd uzna, że zasięgnięcie wiedzy z dwóch niezależnych źródeł wyczerpuje przesłankę należytej staranności, a dla innego nawet trzy źródła nie wystarczą. Podobnie może być w przypadku firm. W razie oskarżenia firmy prokuratura może uznać, a sąd przychylić się do oceny, że standardowe działanie wspomnianego działu compliance nie wystarczyło.

Przedsiębiorcy wskazują również, że ustawa nakładałaby na nich obowiązek przyjęcia na siebie roli strażników własnych pracowników. Groziłoby to trudnymi do przewidzenia skutkami w postaci nadmiernego asekurancja, może nawet zahaczającego o inwigilację zatrudnionych. Tutaj jednak pracodawcy natknęliby się na barierę w postaci RODO, które już teraz nie pozwala na przeprowadzanie niektórych działań. Wątpliwości dotyczyły na przykład badania zawartości alkoholu przed przystąpieniem do pracy, a w dobie epidemii – kontroli temperatury. Okazuje się bowiem, że także to RODO obejmuje i pracownik może się na takie badanie nie zgodzić. Czy w takiej sytuacji sąd w razie oskarżenia firmy orzekłby, że należyta staranność została dochowana czy nie? Możliwy jest również konflikt działających zapobiegawczo pracodawców z Kodeksem pracy. Kontrolowani ponad miarę pracownicy mogą się buntować i zwracać się do sądów pracy, skarżąc na mobbing.

Związek Przedsiębiorców i Pracodawców czeka z wyrażeniem opinii na nowy projekt ustawy. Stanowisko w sprawie poprzedniego było zdecydowanie negatywne. ZPP wskazywał między innymi, że firmy miałyby być karane bez zastrzeżenia, iż wina była umyślna – i na razie wygląda na to, że taka zasada zostałaby zachowana w nowym projekcie. Podnoszono też spr-

wę pojęcia „należytej staranności”. W stanowisku czytamy: „Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że pojęcie »należytej staranności« – szczególnie w tym kontekście – jest wyjątkowo nieostre i trudno jest zaakceptować brak wykazania należytej staranności jako przesłankę odpowiedzialności karnej, zwłaszcza że przewidziane w projekcie sankcje (kara grzywny do 30 mln zł czy przymusowe rozwiązanie albo likwidacja spółki) są bardzo surowe”.

Dalej ZPP stwierdza: „Nie ulega zatem wątpliwości, że projektodawca wprowadza wymóg wprowadzania zaawansowanych systemów compliance, przy czym ich ostateczna skuteczność w sensie wyłączenia odpowiedzialności podmiotu zbiorowego za czyny zabronione popełnione przez jego pracowników bądź podwykonawców pozostaje nieokreślona”. Inaczej mówiąc – firma musiałaby zainwestować niemałe pieniądze w systemy mające kontrolować legalność działania pracowników, bez gwarancji jednakże, że w razie oskarżenia sąd uzna to za działania wystarczające, aby firmę zwolnić z odpowiedzialności.

Paradoks polega na tym, że z nowej ustawy mogłyby skorzystać jedne firmy pokrzywdzone przez inne. Na przykład małe firmy, będące podwykonawcami przy budowie dróg, w stosunku do koncernów, które zostawiły je na lodzie. Może to być więc również narzędzie wyrównywania rachunków pomiędzy przedsiębiorcami.

MS zapowiada, że będzie z przedsiębiorcami rozmawiało. Na temat projektu ustawy ma się odbyć spotkanie, ale pytani przeze mnie przedstawiciele organizacji zrzeszających przedsiębiorców jeszcze zaproszenia na nie nie otrzymali.

Odpowiedzialność podmiotów zbiorowych po nowemu to jedna z tych spraw, w których obie zainteresowane strony wydają się mieć sporo racji. Jednocześnie każda z nich ma problem, żeby spojrzeć na zagadnienie z odmiennej perspektywy. Ministerstwo jest nastawione głównie na to, żeby chronić zwykłych obywateli i dać im skuteczny oręż do walki z dużymi firmami. Przedsiębiorcy – co zrozumiałe – chcą chronić własne interesy, a nowe rozwiązania faktycznie mogą na nich nałożyć trudne do spełnienia obowiązki. Jednak narzucanie prawa wbrew przedsiębiorcom, nawet w imię najszczytniejszych racji, nie jest nigdy dobrym pomysłem. Dobrze by było, gdyby rozwiązanie udało się w tym przypadku wypracować wspólnie.



FOT. ADRIAN STOK

Po co nam dzieci, skoro są w Delhi?



Przemysław Załuska

Istnieje ciągle i dominuje w naszym myśleniu o demografii podejście spychające ją na margines zagadnień publicznych, czyniące z niej kwiatek do kożucha, ewentualne opcjonalne pole polityki socjalnej. To poważny błąd

Przeciętny realny dochód gospodarstwa domowego w Stanach Zjednoczonych praktycznie się nie zmienił od końca ubiegłego wieku. Ciężko doświadczone „dobrobytstwami” euro Włochy w 2019 r. miały dochód na mieszkańca taki, jak dwie dekady wcześniej, przy jego wprowadzaniu. Grecja wchodzi w kryzys związany z COVID-19 z PKB o 20 proc. niższym niż w 2007 r. Gdybyśmy mogli porozmawiać z Grekami w roku 2007 lub z Włochami w chwili wprowadzenia euro, to z pewnością nikt, nawet największy sceptycy, nie mógłby przewidzieć takiej przyszłości. W długim okresie rozwój niekoniecznie jest liniowy. Bywa i tak, że „lepiej to już było”. Są kraje, takie jak Iran czy Zimbabwe, gdzie dzisiejszy poziom życia nie różni się od tego sprzed pół wieku.

Ostatnie 30 lat politycznie i gospodarczo było dla Polski tym, czym dla zachodniej Europy okres odbudowy powojennej. Pomiędzy 1945 a 1973 r. wzrost gospo-

darczy na Zachodzie był dynamiczny, poziom życia rósł gwałtownie, bezrobocie było niskie. Zakończył go niespodziewanie w 1973 r. szok gospodarczy, wywołany gwałtownym podwyższeniem cen ropy naftowej. Po tej dacie wzrost ekonomiczny nie wrócił już do poprzedniej dynamiki, bezrobocie w wielu krajach nabrało trwałego, systemowego charakteru.

Czy w takim właśnie momencie jesteśmy dzisiaj w naszym kraju? Czy dobre czasy to już przeszłość? Biorąc pod uwagę liczbę czynników, które na to wpływają, wszelkie scenariusze mają jedynie funkcję badania możliwych wariantów, a nie prawdopodobnej prognozy. Tym razem, oprócz typowej niepewności zjawisk gospodarczych i geopolitycznych, dochodzi niepewność co do przebiegu pandemii. Przy braku drugiej fali zarażeń oraz pozytywnych efektów pobudzania gospodarek poprzez kreację pieniądza kryzys być może pozostanie na poziomie podobnym do

wielkiej recesji lat 2008–2009. Równie dobrze jednak przy drugiej, jesiennej fali zachorowań, wywołanym nią narastaniu niewypłacalności i wzroście bezrobocia może dojść do rozpadu zarówno systemu handlu międzynarodowego, jak i systemu finansowego. Skutki tego mogłyby okazać się katastrofalne.

ATAK NA „500+”

Jak obecny kryzys wpłynie na naszą sytuację demograficzną? Już w czasie kwarantanny w Wuhan odzywały się głosy przepowiadające z jednej strony falę rozwodów na skutek długiego wymuszonego przebywania razem, a z drugiej krążyły anegdoty o tym, że taka intensywność relacji sprzyjać może poczęciom. Pozostawiając na boku te krótkotrwałe efekty, zastanówmy się nad tymi poważniejszymi – długookresowymi.

Spadek dochodów oraz poczucie braku stabilizacji, wynikające choćby z niepewnej perspektywy zatrudnienia, nie są obojętne dla decyzji o prokreacji. W Grecji, Hiszpanii czy we Włoszech po 2008 r. już i tak niskie wskaźniki dzietności zmniejszyły się jeszcze bardziej. Takiej samej sytuacji można się spodziewać i teraz, a nakładać się będzie ona na niekorzystne trendy długookresowe. W Polsce zapewne będzie podobnie, co stanie się zresztą pretekstem do kolejnych ataków na program „500+”.

Już i tak skrajnie niekorzystne trendy długookresowe, przewidujące do końca wieku redukcję populacji naszego kraju o kilkanaście milionów mieszkańców, zostaną jeszcze pogłębione. Zarówno bowiem długookresowe prognozy ONZ, jak i biura statystycznego Unii Europejskiej oparte są na założeniu stałego i znaczącego wzrostu współczynnika dzietności w Polsce do końca tego wieku.

Istnieje ciągle i dominuje w naszym myśleniu o demografii podejście spychające ją na margines zagadnień publicznych, czyniące z niej kwiatek do kożucha, ewentualne opcjonalne pole polityki socjalnej. Brak jest powszechnego zrozumienia tego, jak podstawową rolę grają zjawiska demograficzne zarówno z punktu widzenia trwania narodu oraz państwa, jak i długofalowego zachowania dobrobytu. Od momentu wprowadzenia przez rząd PIS programu „500+” stał się on ulubionym celem ataków różnej maści opozycji – od Platformy Obywatelskiej do liberałów gospodarczych. I tym razem w momencie, gdy stajemy przed perspektywą zwiększonych wydatków publicznych, a w efekcie także deficytu budżetowego, program demograficzny dla wielu środowisk staje się pierwszym celem. Tak jakby kwestia przetrwania biologicznego oraz długoterminowego sukcesu gospodarczego była czymś całkowicie opcjonalnym, wydatki zaś na ten cel – zbędnym balastem.

Nie ma wątpliwości, że dojście do władzy środowisk od początku wrogich temu programowi, mimo przeciwnych deklaracji głoszonych w okresach kampanii wyborczych, oznaczałoby szybką jego likwidację, a walka ze skutkami kryzysu byłaby jedynie dogodnym do tego pretekstem. Warto zwrócić uwagę na to, że nie było dotąd praktycznie głosów opowiadających się np. za zmniejszeniem poziomu świadczeń emerytalnych ze względu na skutki finansowe kryzysu. Z powodów, które nie wydają się racjonalne, ale polegają albo na sile nawyku myślowego, albo na politycznej kalkulacji, dzieci przegrywają, przynajmniej retorycznie, z emerytami współzawodnictwo o środki publiczne.

INWESTYCJA OBLICZONA NA LATA

W tak zarysowanych warunkach niezbędne staje się mocniejsze, trwalsze i bezpieczne umocowanie mechanizmów prorodzinnych w strukturze prawnej i finansowej państwa. Jest to w pełni

usprawiedliwione. W przeciwieństwie do kilkakrotnie wyższych nakładów, które ponosimy na wypłatę świadczeń emerytalnych, pieniądze przeznaczone na „500+” są bowiem nie tylko, tak jak i te pierwsze, sposobem zapewnienia pewnego minimalnego poziomu życia. Są one także swego rodzaju zachętą inwestycyjną. Zachętą dla rodzin do inwestowania w dzieci, które z punktu widzenia życia gospodarczego czy finansów publicznych to przyszli producenci, konsumenci, płatnicy podatków. Każdy nowo narodzony Polak przeciętnie w czasie swego życia przysporzy państwu jako współnoco, obok tych najważniejszych korzyści duchowych i emocjonalnych, także wpływów do kasy publicznej, które można oszacować na 1,5 mln zł. Bez ludzi nie tylko nie ma narodu, lecz także nie ma gospodarki, nie ma źródła pieniędzy czy dóbr do podziału.

Tymczasem wychowanie dziecka to inwestycja obliczona na lata. Niepewność otaczająca perspektywę trwania programu prodemograficznego z całą pewnością zmniejsza jego skuteczność. W naszym życiu publicznym świadczenia emerytalne traktowane są jak nienaruszalna świętość. Tymczasem od wysokości emerytury nie zależą żadne istotne inwestycyjne decyzje podejmowane przez świadczeniobiorców. Dlaczego więc w sprawie, od której zależy przyrost kapitału ludzkiego, dalsze trwanie gospodarki, nie zapewnić przynajmniej tak silnego umocowania prawnego, gwarancji utrzymania praw nabytych jak w przypadku świadczeń emerytalnych? Nie chce tego opozycja spod znaku PO – to oczywiste. Nie wydaje się, by trwanie Polski w jakimkolwiek wymiarze było ich szczególną troską. „Po co nam lotnisko, skoro jest w Berlinie?” – by posłużyć się najsłynniejszym przykładem takiego sposobu myślenia. Przez analogię zatem: „Po co nam dzieci, skoro są w Kijowie lub Delhi?”. Jednak rząd PiS nie uczynił żadnych kroków, by trwale zabezpieczyć własny program. Czy powodem może być polityczna kalkulacja, że niepewność utrzymania „500+” skłoni elektorat do „właściwego” wyboru? Jeśli tak by było w istocie, to należałoby jak najszybciej odrzucić takie małostkowe kalkulacje.

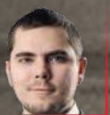
Większość z nas nie kwestionuje natury systemu emerytalnego finansowanego z podatków jedynie dla niepoznaki zwanych składkami. Dzisiaj skala wydatków emerytalnych to w dużym przybliżeniu

200 mld zł rocznie, programu demograficznego – ok. 40 mld. Nikogo nie bulwersuje wydawanie pieniędzy z podatków na emerytury, bardzo wielu natomiast irytuje jako „rozdawnictwo” program „500+”. Co, oprócz siły przyzwyczajenia oraz sztuczek semantycznych zastępowania słowa „podatek” słowem „składka”, za tym stoi? Obydwa rodzaje świadczeń opłacane są z podatków oraz podnoszą poziom życia świadczeniobiorców. Jednak wzrost wydatków na emerytury w żaden wyobrażalny sposób przyszłych wpływów podatkowych, dobrobytu, ilości kapitału ludzkiego czy siły państwa i kraju nie zwiększy. W przeciwieństwie do wydatków na politykę prorodzinną. Jeśli zaakceptujemy tę perspektywę, to będziemy wtedy w stanie postawić pytanie: Dlaczego wydatki produktywne są uważane za mniej istotne od nieproduktywnych? Dlaczego mają lepsze umocowanie prawne, wyższy priorytet? Dlaczego w końcu proporcje między wydatkami na te cele są takie, a nie inne? Dzisiaj państwo polskie daje (z naszych podatków) 500 zł każdemu dziecku i przeciętnie 2 tys. zł emerytowi. Dlaczego właśnie tak? Skąd, oprócz inercji systemu, taka właśnie proporcja? Jaki cel temu przyświeca i co chcemy przez takie ustawienie priorytetów fiskalnych jako wspólnota osiągnąć?

POMOC SIĘ ZWRÓCI

Są w Polsce rodziny, które dzieci mieć nie chcą. Należy to uszanować. Są też takie, które z powodów od siebie niezależnych i ku swojej wielkiej trosce mieć ich nie mogą. Ale są też miliony rodzin, które wiedzą, że kolejne dzieci to degradacja materialna i idąca z tym w parze utrata prestiżu, a nawet pogarda otoczenia. Oto przykład z życia: rodzina z czworgiem dzieci. Tata jest gotowy na kolejne, żona się wzdrania ze względów finansowych. „Jeżeli by się udało mieć sowite, dobre zaplecze finansowe, bo dzieci kosztują, to ja bym się zdecydował. [...] Dlatego zacząłem grać w totka [...]”. Historia, jakich wiele. Tatą, który chciałby, ale ma za mało pieniędzy, jest jeden z najpopularniejszych polskich aktorów – Cezary Pazura. Co mają zatem powiedzieć mniej znani Polacy i Polki, którzy chcieliby zostać rodzicami? Pomoc w spełnieniu ich pragnień jest w naszym wspólnym, najlepiej pojętym interesie ekonomicznym i społecznym.

Germanofil w kleszczach gestapo



Piotr Zychowicz

W 1940 r. Władysław Studnicki pojechał do Berlina. Chciał przekonać Hitlera do zaprzestania mordowania Polaków



Władysław Studnicki na przedwojennej fotografii

FOT. NAC

Ostre światło lampy pada na twarz starszego pana. Za biurkiem gestapowiec w czarnym mundurze. Na blacie stos papierów, pistolet walther P38 i czapka z trupią czaszką. Popielniczka pełna niedopałków. Dusznno, gorąco. Jest środek nocy, przesłuchanie trwa szóstą godzinę.

– Pytam po raz kolejny, mówcie, Studnicki! – irytuje się oficer śledczy. – Kto wam pomagał dotrzeć do Berlina? Kto dostarczył wam kłamliwych informacji na temat rzekomych zbrodni SS?

– Nic nie powiem – mówi słabym głosem Polak. – Odmawiam składania zeznań. Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu.

– Mówcie! – krzyczy zniecierpliwiony gestapowiec, wałąc pięścią w stół.

Nagle sędziwy polski germanofil robi się błądy jak papier. Łapie się za pierś i powoli osuwa na podłogę.

Niemiec zrywa się na równe nogi i wybałusza oczy. Chwyta słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

– Lekarza!!! Szybko!!!

AKT OSKARŻENIA

Czołowy polski germanofil Władysław Studnicki był zszokowany skalą niemieckich zbrodni popełnianych na terenie okupowanej Polski. Robił wszystko, co było w jego mocy, żeby powstrzymać terror i ratować rodaków. Podejmował niezliczone interwencje na gestapo, dzięki czemu ocalał wiele istnień ludzkich. Apelowwał do władz Generalnego Gubernatorstwa o opamiętanie.

Niestety terror niemiecki zamiast łagodnieć – narastał. W efekcie Studnicki uznał, że musi interweniować wyżej. U samego Adolfa Hitlera i innych czołowych dygnitarzy III Rzeszy. Pod koniec 1939 r. napisał memoriał będący wstrząsającym aktem oskarżenia wobec niemieckich „porządków” na Wschodzie i jednocześnie dramatycznym apelem o wstrzymanie fali zbrodni.

„Przerabiałem, odrzucałem całe ustępy, pisałem nowe – wspominał. – Pisałem memoriał w silnym podnieceniu wskutek cierpień, których doświadczało nasze społeczeństwo. Byłem wzburzony, pisałem bez ogródek”.

Studnicki, zanim zabrał się do pisania, tygodniami kompletował szczegółowe dane na temat zbrodni, grabieży i nadużyć, których Niemcy dopuszczali się na terytorium Polski. Wieść o tym, że pracuje on nad memoriałem do Hitlera,

■ szybko rozeszła się po całym kraju i do jego mieszkańcy zaczęli ściągać pokrzywdzeni przez Niemców rodacy. Przekazywali mu dokumenty, opowiadali o swoich traumatycznych przeżyciach.

W obszernym kilkudziesięciostro-nicowym memoriale znalazło się wiele wstrząsających opisów zbrodni niemieckich. Studnicki protestował również przeciwko olbrzymim aneksjom polskiego terytorium, dokonanych przez III Rzeszę po klęsce Polski we wrześniu 1939 r. Memoriał był niezwykle ostry w formie.

„Tego rodzaju masowe rozstrzelania niewinnych, bezbronnych ludzi – pisał – to nie wojna mająca pierwiastek rycerskiej walki wręcz, w której jeden z przeciwników, narażając swe własne życie, zabija drugiego w imię czegoś o wartości większej niż życie. Tego rodzaju rozstrzelania – to pospolity mord. Sprowadzają one rycerskość rzemiosła żołnierskiego do poziomu bandytów”.

W memoriale Studnicki zamieścił postulaty, które powinni spełnić przywódcy III Rzeszy. Natychmiastowe zaprzestanie wywłaszczeń, wypędzeń, aresztów i rozstrzeliwań. Wycofanie się z ziem włączonych do Rzeszy i odtworzenie państwa polskiego.

„Musi nastąpić całkowita zmiana polityki niemieckiej w stosunku do Polski – apelował Studnicki. – W pierwszym rzędzie musi nastąpić proklamowanie zmiany kursu w formie deklaracji Führe-ra, będącej nawrotem do jego uprzednich oświadczeń, które ugruntowałyby przyjazne, sąsiedzkie współżycie Polski i Niemiec”.

Studnicki odbił memoriał na powielaczu i z 10 egzemplarzami pod pachą 28 stycznia 1940 r. na stacji kolejowej w Warszawie wsiadł do pociągu jadącego do Berlina. W zorganizowaniu wyjazdu pomógł mu były ambasador Niemiec w Warszawie, przyzwoity człowiek i dyplomata starej daty Hans Adolf von Moltke. Moltke był przerażony poczynaniami gestapo i SS w okupowanej Polsce. Opowiadał się za wstrzymaniem terroru i zawarciem ugody z Polakami.

Plan Studnickiego był niezwykle śmiały. W Berlinie zamierzał spotkać się z Adolfem Hitlerem, Hermannem Göringiem i Joachimem von Ribbentropem. Chciał wręczyć im swój memoriał i przekonać, że polityka okupacyjna Niemiec wobec Polski jest nie tylko niemoralna i haniebna, lecz także – samobójcza. Na konflikcie polsko-niemieckim skorzysta

bowiem wyłącznie wspólny wróg Europy Środkowej: Związek Sowiecki.

Studnicki poważnie liczył się z tym, że już w pociągu zostanie aresztowany przez gestapo, opowiadające się za utrzymaniem „twardego kursu” wobec Polaków. „Obawiałem się, że w drodze zabiorą ode mnie przygotowane odpisy – wspominał. – Droga jednak odbyła się pomyślnie”. Studnickiemu udało się wwieźć swój „akt oskarżenia polityki okupacyjnej” na terytorium III Rzeszy.

W PASZCZY LWA

Po przyjeździe do Berlina Władysław Studnicki zameldował się w hotelu Central przy Bahnhof Friedrichstraße 143–149. Nazajutrz, 29 stycznia 1940 r., udał się do gmachu Auswärtiges Amt, gdzie czekał już na niego von Moltke.

„Gdy zapytałem go – pisał Studnicki – o opinię, czy możliwe będzie wprowadzenie w życie koncepcji zawartej w memoriale, powiedział, że realizacja moich postulatów wydaje mu się rzeczą przedwczesną. Powiedziałem, że przeciwnie, obawiam się, czy nie jest już rzeczą spóźnioną”.

„Polaka Studnickiego załatwiłem – zapisał Goebbels w dzienniku. – On nadal żyje iluzjami, które podczas rozmowy z nim całkowicie zdruzgotałem. Żywy trup”

Studnicki nawiązał kontakt z niemieckimi konserwatystami, przeciwnikami narodowego socjalizmu. Z hotelu wysłał listy do Hitlera i Ribbentropa.

„Panie Kanclerzu Rzeszy – pisał Studnicki do Hitlera. – Trzy lata temu, kiedy byłem gościem Kongresu Partijnego w Norymberdze, wręczyłem Panu moją książkę »System polityczny Europy a Polska« z dedykacją: »Dla wodza narodu niemieckiego i przyszłego wodza Europy«. Według mojej koncepcji to przywództwo nie powinno jednak polegać na uciskaniu narodów europejskich, ale powinno stworzyć blok gospodarczy i polityczny. Przede wszystkim państw Europy Środkowej, a następnie całej Europy bez Wielkiej Brytanii i Rosji.

Obecna polityka okupacyjna sprowadza się do fizycznej zagłady narodu

polskiego i obniżenia jego poziomu cywilizacyjnego. Jest to głęboka rana zadana idei bloku środkowoeuropejskiego. W imię idei środkowoeuropejskiej proszę Państwa o zmianę obecnej polityki okupacyjnej w Polsce. Proszę o udzielenie mi przez Pana audiencji. Audiencja ta umożliwi mi uzupełnienie argumentacji z moich memoriałów i przekonanie się, czy chce Pan zmienić niemiecką politykę wobec Polski”.

Niestety Studnicki popełnił poważny błąd. Udał się do gmachu ministerstwa propagandy i zażądał rozmowy z Josephem Goebbelsem. Wywołało to konsternację niemieckich urzędników. Gdy jeden z dyrektorów ministerstwa zaoferował, że on może go wysłuchać, wzburzony i obrażony Studnicki odpowiedział mu, żeby się pier...

Wywołało to oczywiście wielki skandal. Goebbels tymczasem przeczytał memoriał i złapał się za głowę. Minister był obrażony tonem dokumentu, ale przede wszystkim przerażony na myśl, że memoriał mógłby trafić za granicę. Zawarte w nim informacje na temat niemieckich zbrodni mogłyby bowiem zostać wykorzystane przez aliancką propagandę. Byłoby to dla Rzeszy prawdziwą katastrofą.

W efekcie Goebbels zadzwonił na gestapo i nakazał natychmiastowe aresztowanie Studnickiego. Minister – który był przeciwnikiem zmiany zbrodniczego postępowania wobec Polaków – postanowił zrobić wszystko, żeby uniemożliwić spotkanie Studnicki–Hitler.

„Zjawili się w Hotelu Centralnym dwaj urzędnicy Gestapo – notował Studnicki w pamiętniku – i prosili, bym niezwłocznie udał się z nimi dla wyjaśnienia pewnej sprawy. Nie pozwolono mi zabrać żadnych rzeczy, sami zabrali moje rękopisy i parę egzemplarzy memoriałów. Zaprowadzili mnie do hotelowej kancelarii, gdzie zatelefonowano po karetkę więzienną. Odwieziono mnie do więzienia policyjnego”.

Nastąpiło to 8 lutego. Warunki panujące w celi były bardzo surowe, jedzenie kiepskie. Po kilku dniach rozpoczęły się długie, uporczywe przesłuchania. Warto wspomnieć, że polski polityk miał już wówczas 73 lata i znajdował się w złym stanie zdrowia.

„Wypytywano, ile egzemplarzy memoriałów przywiozłem ze sobą i komu je rozdałem – pisał Studnicki. – Potem, ile było odbitych w Warszawie, kto tłumaczył,

kto odbił na powielaczu. Na te dwa ostatnie pytania wzbronilem się dać odpowiedź. Podczas przesłuchania zrobiło się ze mną niedobrze i doświadczyłem ataku serca. Urzędnik przywołał lekarza, ten przesłuchał me serce i dał mi krople uspokajające”.

Studnicki jako stary konspirator z czasów walki z caratem (więzień Cytadeli, zesłaniec syberyjski) trzymał się na przesłuchaniach hardo. Konsekwentnie odmawiał współpracy ze śledczymi. Jak później wspominał – cały czas powtarzał: „Nic nie wiem. Nic nie powiem”. W swoich sporządzonych na gorąco zapiskach z niezwykłą dokładnością opisał przebieg kluczowego przesłuchania:

„Badającym mnie powiedziałem: – Znacie moją biografię, z niej możecie wiedzieć, że jestem człowiekiem o silnej woli. Jeżeli wam mówię, że nie dam odpowiedzi na pytania – to odpowiedzi nie otrzymacie. Łatwiej jest złamać moje zdrowie niż moją wolę. Postawcie sobie pytanie, czy trzymanie mnie w więzieniu, co prawdopodobnie zakończy się moją śmiercią, jest dla Niemiec pożyteczne?”

Znany jestem bowiem jako zwolennik zbliżenia polsko-niemieckiego. Uwzięnie więc mojej osoby będzie dowodem, że na jakiegokolwiek bądź porozumienie polsko-niemieckie liczyć nie można, że ostatnia nić łącząca te dwa narody została polityką Niemiec wobec Polski zerwana.

Zdrowie moje znajdowało się w stanie równowagi niestałej przed moim uwięzieniem, dziś pogorszyło się. Więzienie musi więc mnie doprowadzić w krótkim czasie do śmierci, co ze względu na to, że odegrałem rolę w historii polskiej, obciążę stosunki polsko-niemieckie”.

Do argumentacji tej przychylił się Reinhard Heydrich, który osobiście zaangażował się w sprawę Studnickiego. Wbrew naciskom Goebbelsa opowiadał się za zwolnieniem sędziwego Polaka. Szczególnie, że w jego sprawie interweniował Ribbentrop.

Studnicki swoim przybyciem do Berlina wywołał więc ostry konflikt między czołowymi dygnitarzami i resortami III Rzeszy. W efekcie osiągnięto kompromis. Studnicki zostanie wypuszczony z więzienia, ale nie zostanie wypuszczony z Niemiec. Zamiast tego zostanie internowany w sanatorium w Neubabelsbergu pod Poczdamem.

Ostateczną decyzję w tej sprawie podjął Hitler. Goebbels przekonał go, żeby odmówił Studnickiemu audiencji

i pozostawił jego memoriał bez odpowiedzi. Zadeklarował przy tym, że on przyjmie polskiego śmiałka i rozmówi się z nim. Führer wyraził zgodę na takie rozwiązanie.

KONIEC GRY

Rozmowa Studnicki-Goebbels miała miejsce 22 lutego 1940 r. w kancelarii ministra, gdzie polskiego germanofila przywieziono ze słynnej berlińskiej kliniki Charité. Tej samej, w której obecnie przebywa otruty przez Putina rosyjski opozycjonista Nawalny.

„Wprowadzono mnie do reprezentacyjnej sali – relacjonował Studnicki. – Niebawem przyszło tam trzech przedstawicieli ministerstwa. Jednym z nich był sam Goebbels. Posadzono mnie na kanapie. Przedstawiciele ministerstwa zajęli miejsca na fotelach”.

Rozmowa miała przebieg bardzo nieprzyjemny. Studnicki rozmawiał z Goebbelsem w sposób bardzo oschły, obaj nie ukrywali irytacji i wzajemnej niechęci. Goebbels oświadczył Studnickiemu, że zostanie internowany. Studnicki odmówił przyjęcia tego do wiadomości i przerwał spotkanie. „Nie mam panu nic więcej do powiedzenia” – zakończył rozmowę.

„Polaka Studnickiego załatwiłem – zapisał Goebbels w dzienniku. – On nadal żyje iluzjami, które podczas rozmowy z nim całkowicie zdrugotałem. Żywy trup. Gdy w grę wchodzi interes państwa, nie można mieć jednak żadnych sentymentów. Kazałem internować go w sanatorium na łagodnych warunkach. Oparłem się w tej sprawie na Führerze. Zaaprobował zaproponowane przeze mnie zakończenie sprawy Studnickiego”.

Tak oto berlińska wyprawa polskiego germanofila dobiegła końca. Zakończyła się całkowitą klęską. Polityka okupacyjna III Rzeszy w Generalnym Gubernatorstwie nie została złagodzona. Mało tego, jeszcze ją zaostrzono. Wiosną 1940 r. niemieckie władze bezpieczeństwa przeprowadziły akcję AB, czyli masową operację eksterminacyjną wymierzoną w polskie elity. W jej ramach – m.in. w podwarszawskich Palmirach – zgładzono kilka tysięcy ludzi.

Władysław Studnicki przegrał. Wraz z nim przegrała Polska. Utrzymanie dotychczasowego zbrodniczego kursu wobec Polski oznaczało bowiem śmierć kolejnych setek tysięcy Polaków.

Wyprawa do Berlina była niebywałym aktem odwagi. Siedemdziesięcioletni samotnik do stolicy nieprzyjacielskiej III Rzeszy, aby podjąć desperacką próbę ratowania swego narodu. Hitlerowi i innym przywódcom Niemiec, największej wówczas potęgi militarnej świata, rzucił prosto w twarz akt oskarżenia.

Narażał się tym na śmiertelne niebezpieczeństwo. Za znacznie mniejsze przewiny narodowi socjaliści wysyłali do obozu koncentracyjnego lub mordowali. Studnicki z pełną świadomością podjął jednak to ryzyko. Uznał, że jego osobiste bezpieczeństwo nie ma żadnego znaczenia, gdy trzeba ratować rodaków. Nigdy, podczas całej drugiej wojny światowej, żaden Polak nie ośmielił się mówić do Niemców tak, jak Studnicki w Berlinie w 1940 r.

„Profesor Studnicki, lat 74 – czytamy w notatce polskiego rządu na wychodźstwie – znany naukowiec i publicysta, od pół wieku uważany za czołowego przyjaciela Niemiec w Polsce i inicjatora niemiecko-polskiego sojuszu, napisał do Hermanna Göringa memorandum (ok. 50 stron). Jest to akt oskarżenia wobec niemieckiej polityki w okupowanej Polsce i działalności gubernatora Franka.

Sprawa ta jest godna najwyższej uwagi, gdyż chodzi o zagorzałego przyjaciela Niemiec, który uważa, że metody stosowane przez Niemców w Polsce są godne potępienia. A w ostatecznym rozrachunku okażą się w trakcie tej wojny dla Niemiec katastrofalne. Oczekuje się, że prof. Studnicki zostanie rozstrzelany, stracony za swój akt odwagi”.

Tak się na całe szczęście nie stało. Studnicki został zwolniony z internowania latem 1940 r. po upadku Francji. Już w lipcu 1941 r. gestapo aresztowało go jednak po raz kolejny. Tym razem na 14 miesięcy wtrącono go do straszliwego

więzienia na Pawiaku. Studnicki był tam bity, trzymany w karcerze, głodzony. Omal nie przypłacił tego życiem.

Historia Władysława Studnickiego może służyć za symbol szalonej, zbrodniczej polityki III Rzeszy wobec pokonanego wschodniego sąsiada. Co podczas wojny robił największy przyjaciel Niemiec w Polsce? Siedział w niemieckim więzieniu.



PIOTR ZYCHOWICZ
„GERMANOFIL”
REBIS 2020



**Z prof. Wojciechem Fałkowskim,
dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie**
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: 17 września to dla Zamku Królewskiego w Warszawie data symboliczna. Dlaczego?

PROF. WOJCIECH FAŁKOWSKI: To dzień, w którym dwie wrogie Polsce siły zadziałyły razem. O świcie od wschodu weszli Rosjanie i rozpoczęli wojnę z nami, a Niemcy przed południem zaczęli nalot bombowy na Warszawę. W wyniku bombardowania zapalona została wieża zegarowa zamku, a od niej zajął się dach budynku.

Było to wyraźne współdziałanie przy niszczeniu naszego państwa. Rosjanie zaatakowali na całej długości granicy, żeby zająć terytorium według podziału uzgodnionego w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Niemcy zaś postanowili zniszczyć symbol państwa polskiego. Dlatego zamek został zbombardowany właśnie w dniu rozpoczęcia agresji rosyjskiej.

Jak wielkie były zniszczenia po nalocie?

Spalił się cały dach. Na szczęście straty nie były tak wielkie, jak można by wnioskować z widoku wypalonych murów, ponieważ przez ostatnie godziny przed rozpoczęciem wojny i w pierwszych dniach września pracownicy oraz wolontariusze wynosili z zamku sprzęt, wyposażenie, wszystkie cenniejsze rzeczy, żeby je uchronić przed zniszczeniem. Później rozpoczęto jeszcze wykuwanie fragmentów stiuków, zdobień na murach, żeby były wzory przy odtwarzaniu.

Spodziewaliśmy się więc, że wrogowie zamek zniszczą?

Tak, spodziewano się tego. I wszystko dobrze zaplanowano oraz energicznie przeprowadzono. Dzięki temu nie tylko odbudowa została przeprowadzona wiernie, lecz także można było w rekonstrukcję wmurować ocalałe fragmenty, inkrustować je. Po raz drugi zamek został bowiem zniszczony już do fundamentów, do gruntu po Powstaniu Warszawskim.

Hitler planował wysadzenie zamku jeszcze na początku okupacji. Kuto przecież miejsca na ładunki wybuchowe...

Otwory, które zostały nawiercone, można jeszcze dziś obejrzeć. We fragmentach fundamentów gotyckich, które ocalały, są otwory, w które nie włożono wówczas dynamitu. Poświadczają one metodyczną i wcześniej planowaną pracę saperów Wehrmachtu, którzy przygotowali całkowite wysadzenie zamku. W tym miejscu miała powstać hala do zjazdów NSDAP. A całą

Warszawa miała zostać ograniczona do miasta o średniej wielkości i miała przypominać niemieckie miasteczko pograniczne. W niemieckich planach Stare Miasto miało pozostać, bo według nich miało poświadczać niemiecką myśl urbanistyczną i żywioł niemiecki obecny w Polsce od średniowiecza. Rzeczywiście – Stare Miasto warszawskie, tak jak ogromna liczba polskich miast, zostało założone na tzw. prawie niemieckim, ale nie ma to nic wspólnego z ideą germańską ani nacjonalistyczną Hitlera.

Wiadomo, dlaczego początkowo Niemcy nie zrealizowali planu wysadzenia zamku?

Myślę, że po prostu nie mieli czasu. W końcu to jednak zrobili, bo systematycznie chcieli zniszczyć całą Warszawę. Szykowali się do tego wcześniej i było to ich zamiarem.

Przy ocalaniu dóbr zamku pracowano do ostatnich chwil. Podczas wspomnianego niemieckiego bombardowania zginął ówczesny kustosz zamku Tadeusz Brokl. Odłamek trafił go, gdy wynosił cenny obiekt, schodząc schodami przy Bramie Grodzkiej.

Zginął kustosz, który zabezpieczał wartość muzealną siedziby prezydenta, ponieważ zamek spełniał dwie funkcje naraz – siedziby oficjalnej i rzeczywistej prezydenta RP i jednocześnie był miejscem, o które należało dbać od strony muzealnej, aby tło ceremonii państwowych było nie tylko godne, lecz także efektowne.

17 września to dla zamku jeszcze inna data. W 1971 r. została położona pierwsza cegła

Niszczenie symbolu

rozpoczynającą odbudowę. Dlaczego została położona nielegalnie?

Chciano wykorzystać datę 17 września, nawiązując do pierwszego zniszczenia przez Niemców. Zamierzano to przypomnieć, kładąc pierwszą cegłę. Chodziło też o to, by nie odwrócić odbudowy, żeby komunistyczna władza się nie rozmyśliła albo nie utrudniła realizacji tego planu. Ponieważ w gospodarce centralnie planowanej każda liczba cegieł, ilość cementu czy sprzętu budowlanego była rozdzielana. Władza komunistyczna, zgadzając się na odbudowę zamku, tak naprawdę liczyła na to, że to się nigdy nie uda.

Dlatego chciano to zrobić możliwie szybko, choć będąc dobrze do tego przygotowanym – planowano wszystko przez osiem miesięcy.

Kiedy już wszystko było gotowe do wmurowania, cenzura i komuniści z PZPR uzmysłowili sobie, że jest to jednocześnie data sowieckiej agresji na Polskę. W związku z tym na rozpoczęcie odbudowy tego dnia nie bardzo się godzili, a z pewnością mieli wątpliwości. Jednak Edward Gierek nie mógł tego zakazać, bo byłoby to w sprzeczności z jego planem uwiarygodnienia się. Decyzja o odbudowie zamku miała legitymować jego władzę i rządy komunistyczne. Postawiono więc komunistów przed faktem dokonanym, a oni przez cenzurę i politykę prasową ograniczyli podawanie tego do wiadomości, żeby umniejszyć rangę

wydarzeniu. Cegłę jednak wmurowano i symbolicznie rozpoczęto odbudowę.

Zrobili to właściwie sami ludzie, rodacy – bo to był społeczny komitet odbudowy.

Dokonało tego wyłącznie samo społeczeństwo. Zamyśl komunistów był bowiem taki, żeby się zgodzić, ale w praktyce to uniemożliwić – nie dając materiałów, sprzętu i licząc na to, że brak pieniędzy spowoduje rezygnację z planów. Przeliczyli się. Entuzjazm milionów Polaków w kraju i za granicą był tak duży, że zmiana decyzji była dla władz niemożliwa. Okazało się też nagle, że instytucje – przecież państwowe i nadzorowane przez władzę – mają wypracowane nadwyżki materiałów: cementu, cegieł, papy, prętów zbrojeniowych, robotnicy zaś chętnie zgadzają się pracować przy tym w nadgodzinach. A zbiórka pieniędzy świetnie się udała i umożliwiła realizację tego celu.

Dopiero po latach oszacowaliśmy w ogóle nasze materialne straty, w tym te związane ze zniszczeniem Zamku Królewskiego.

Byłem szefem tego zespołu przy prezydencie stolicy śp. Lechu Kaczyńskim. Realizowaliśmy to w latach 2004–2005. Szacowaliśmy zniszczenia Warszawy, w tym zabytków: kościołów, pałaców, również zamku. Ponieważ było to prawie 60 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, mogły to być jedynie szacunki dopuszczające pewne widełki wartości utraconych dóbr. Obliczenia dotyczyły całego miasta – zarówno własności komunalnej, jak i prywatnej.

Mimo zabezpieczenia wielu rzeczy z zamku część z nich utraciliśmy. Co pan najbardziej chciałby odzyskać?

Wyposażenie zostało ocalone w dużym stopniu. Mam jednak listę rzeczy, które chciałbym odzyskać, ale one są dziś w różnych muzeach na terenie kraju. Ponieważ zamek przez ćwierć wieku nie istniał, a potem trwała jeszcze odbudowa, w tym czasie część jego wyposażenia wrosła w kolekcje innych muzeów. Niektóre z tych rzeczy chciałbym odzyskać na rzecz zamku.

Mogę też powiedzieć o jednym konkretnym przedmiocie. Otóż w Sali Ryckiej jest rzeźba Kronosa, który trzyma w ręku kosę symbolizującą śmierć. Czubek tej kosy jest jednocześnie wskazówką zegara dotyczącą kuli ziemskiej dźwiganej na jego barkach. To był wspaniały zegar, który naprawdę działał. W czasie

okupacji skradziono jego mechanizm. Ocaliliśmy powłokę zewnętrzną, rzeźbę, ale mechanizm przepadł. Myślę, że on gdzieś w jakichś magazynach czy jakiejś prywatnej kolekcji jest do dziś. I chciałbym go widzieć tu, gdzie jego miejsce.

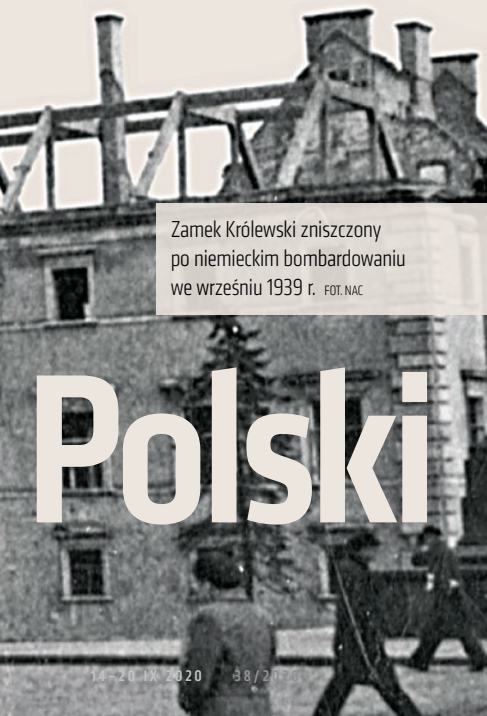
Opowiedział pan o zamku, który jest naszym symbolem państwowym. Dlatego Niemcy chcieli go zniszczyć, a komuniści z tego samego powodu nie chcieli go odbudować. Jak pan odebrał więc to, że kilka lat temu w głównym serwisie informacyjnym Telewizji Polskiej to właśnie widok jego wieży zegarowej zastąpił widok Pałacu Kultury i Nauki?

Odebrałem to jako właściwą decyzję i właściwy gest. Stało się tak, jak powinno przecież być. Miejscem symbolizującym Polskę, naszą kulturę narodową jest bowiem Zamek Królewski. To symbol państwa, najwyższych władz i jednocześnie nas jako wspólnoty opartej na historii i kulturze. Nieprzypadkowo już w trakcie odbudowy zamku cenzura komunistyczna wykreślała słowo „Królewski”, zamieniając je na „warszawski” – żeby pomniejszyć jego rangę.

Zamek jest miejscem, które jako Polak nie tylko odwiedza się raz w życiu, lecz także przychodzi się do niego wielokrotnie podczas kulturalnych wydarzeń. Na jaką wystawę zaprasza pan teraz?

Zapraszam na wystawę Dolabelli – Włocha, który stał się Sarmatą, Wenecjanina, który osiadł w Krakowie. Skromnego malarza na dorobku, który nagle został celebrytą. Działo się to 400 lat temu, w czasach wazowskich. Tę wystawę otwieramy 10 września. Zaraz potem będzie niesłychana gratka dla miłośników sztuki i znawców kultury europejskiej. Pokażemy bardzo rzadko przedstawianą serię grafik Piranesiego – „Więzienia”. Będzie to wydarzenie w skali międzynarodowej, bo tę doskonałą jakości serię, kupioną jeszcze przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, posiada Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie i ze względów konserwatorskich bardzo rzadko jest wystawiana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zamek Królewski zniszczony po niemieckim bombardowaniu we wrześniu 1939 r. FOT. NAC

Polski



prof. dr hab. Wojciech Fałkowski – historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, były doradca śp. prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, w czasach PRL działacz opozycji, m.in. działacz KOR.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwony jasyr ze Śląska

Nie ma wątpliwości, że „CzasyPismo” to obecnie najlepszy periodyk wydawany przez IPN. Jego autorzy o pasjonującej problematyce Górnego Śląska piszą nie tylko z olbrzymim znawstwem, lecz także z wielkim wyczuciem. Z szacunkiem dla wielokulturowej i wielonarodowej tradycji tego regionu.

Kolejny numer „CzasyPisma” w pełni potwierdza powyższą opinię. Przykładem może być ciekawy artykuł Zbigniewa Gołasza poświęcony uprowadzeniu śląskich górników w głąb Związku Sowieckiego. „Ograbione, spalone miasta i wsie. Zgwałcone kobiety, ludzie wzięci w jasyr. Tak wyglądał Śląsk w 1241 roku po najeździe mongolskiej hordy – pisze Gołasz. – Niemal tak samo region prezentował się na początku 1945 roku po przejściu Armii Czerwonej”.

Bolszewicy mordowali, gwałcili, demolowali i niszczyli. Rozkradali fabryki i wywozili specjalistów, których tak bardzo brakowało w Związku Sowieckim. W sumie ze Śląska uprowadzonych zostało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Górników, ale również kolejarzy, hutników, rolników, żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, byłych pracowników niemieckiej administracji czy członków NSDAP.

W efekcie, gdy kolejne części Śląska obejmowała komunistyczna administracja, od razu w oczy rzucił się kolosalny deficyt mężczyzn. Część oczywiście poległa lub dostała się do niewoli, walcząc w mundurach Wehrmachtu. Inni uciekli przed „wyzwoleniem” na Zachód. Sowieckie deportacje dodatkowo przetrzebiły jednak męską populację regionu. A co za tym idzie – jego normalne funkcjonowanie było niemożliwe. Na Śląsku po wojnie było biednie i głodno. Szerzyły się prostytutki i przestępczość. W kopalniach zamiast górników zatrudniano nieletnich, kobiety i emerytów.

W efekcie lokalne władze komunistyczne zaczęły sporządzać imienne spisy uprowadzonych mężczyzn i wystąpiły z prośbą o ich zwolnienie i powrót do domu. Starano się to załatwić na najwyższym szczeblu. Sprawę miał poruszyć Bierut w rozmowie ze Stalinem.

Władze komunistyczne sporządziły specjalną księgę zawierającą blisko 10 tys. nazwisk. Sowieci jednak niemal zupełnie zignorowali te zabiegi. Do września 1949 r. na Śląsk wróciło co prawda 5,6 tys. osób, ale zaledwie 1645 było ujętych w księdze. Reszta dalej gniła w kopalniach, fabrykach, kołchozach i łagrach czerwonego imperium. ©



★★★★★
RED. NACZ.
ADAM DZIUROK
„CZASYPIŚMO”
1 (17) 2020
IPN KATOWICE



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Finanse Stanisława Moniuszki

Wprawdzie kompozytor odnosił wielkie sukcesy artystyczne, ale nie znajdowały one przełożenia na wpływy finansowe. Nie były to czasy, gdy autor muzyki mógł zarabiać na sprzedaży praw do wykonywania swojego utworu. Najczęściej otrzymywał jednorazową kwotę (500 rubli za operę – 7,5 tys. euro), a procent od sprzedanych biletów dostawał wyłącznie przy okazji przedstawień benefisowych, ewentualnie – gdy zorganizował koncert na własne ryzyko. Głównym źródłem dochodów była zatem sprzedaż praw do druku utworów i z tej możliwości korzystał także Moniuszko. Jednak kompozytor miał na utrzymaniu dużą rodzinę, a w dodatku raczej nie zwykł sobie ani bliskim czegośkolwiek odmawiać. W efekcie jego budżet domowy przypominał studnię bez dna i właściwie przez całe życie Moniuszko borykał się z poważnymi problemami finansowymi.

Dlatego szykując się do premiery kolejnej opery („Flisa”), zadbał o dodatkowe dochody. Sprzedał firmie Gustawa Sennewalda prawo do druku fragmentów dzieła, inkasując za nie 200 rubli. Moniuszko był z tej transakcji zadowolony i poinformował żonę mieszkającą jeszcze w Wilnie, że przysłał 50 rubli „na mleko dla dzieci”. Potomkowie jednak musieli obejść się bez mleka, ponieważ ojcu pieniądze „jakoś się rozeszły” i ostatecznie kompozytor nic nie

wysłał rodzinie. Na szczęście przygotowania do premiery przebiegały bez zakłóceń i odbyła się ona 24 września 1858 r. Obsada zagrała znakomicie, a dyrygował osobiście kompozytor. Publiczność była zachwycona, przedstawienie przyniosło ogromny sukces.

Kolejne przedstawienia cieszyły się równie dużym zainteresowaniem, kompozytor był jednak nieco zawiedziony. W Warszawie przebywał akurately cesarz Rosji, Aleksander II, i Moniuszko miał nadzieję, że władca zaszczyti premierę swoją obecnością. Tak się jednak nie stało, car zignorował również drugą premierę „Flisa” w Starej Pomarańczarni w Łazienkach. Nie spełniła się zatem nadzieja kompozytora, że ewentualny pozytywny odbiór dzieła przez monarchę otworzy mu drogę na sceny rosyjskie.

Innym problem stanowiły uwagi niektórych recenzentów, dotyczące „gminnego pochodzenia” bohaterów „Flisa”. Libretta większości ówczesnych oper opierały się na wydarzeniach mitologicznych lub rozgrywały się wśród wyższych sfer, zatem flisacy i rybacy z warszawskiej Pragi raczej nie przypadli im do gustu.

Jednak Moniuszko miał już wtedy znacznie większe zmartwienie: niebawem po premierze „Flisa” musiał się przygotować do przeniesienia się wraz z rodziną do Warszawy. A było to poważne wyzwanie logistyczne i finansowe. ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy wielkiej
afery szpiegowskiej
II RP**

- Piotr Zychowicz – **Z Niemcami na Moskwę?**
Stanisław Żerko – **W obronie Józefa Becka**
Charles Fishman – **Amerykanie na księżycu**
Sławomir Koper – **Erotyczne skandale Kiepur**
Arkadiusz Karbowski – **Jak zamordowano Mussoliniego**
Jacek Bartosiak – **Polacy na linii Niemna**
Sławomir Cenckiewicz – **Piłsudski i Rozwadowski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Kościński

Zmiana władzy na Białorusi może spowodować, że Polacy nie będą tam postrzegani jako „wrogie elementy”

W trakcie antyłukszenkowskich protestów za naszą wschodnią granicą na ogromnym wiecu w Grodnie wystąpiła prezes nieuznawanej przez Mińsk polskiej organizacji, Andżelika Borys. Trzymając w ręku biało-czerwoną flagę, mówiła do mikrofonu: „My, Polacy, okazujemy swoją solidarność jako Związek Polaków na Białorusi, który przez 15 lat był prześladowany przez władze Łukaszenki. Chcemy wolności i normalności w naszym kraju, tak jak każdy zwykły obywatel Białorusi”.

Polacy na Białorusi to według danych oficjalnych niecałe 300 tys. ludzi, a według nieoficjalnych pół miliona, a może nawet milion. W tym kraju nie było i nie ma waśni i sporów narodowościowych, ale przez tamtejsze władze Polacy traktowani są szczególnie. Główny powód to ich związek z krajem ojczystym – Polską. Aleksandrowi Łukaszenko to wystarczy, by uznawać ich za podejrzanych. Bo jak sam mówił w przeszłości, nasi rodacy żyjący na Białorusi to „jego Polacy”. Jeśli zaś przechodzą na stronę „wrogich sił” (czyli przeciwników Łukaszenki, a tak traktowana jest Polska), to stają się „piątą kolumną”.

15 LAT SZYKAN

– Jesteśmy częścią społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi i przez ostatnich 15 lat na własnej skórze doświadczaliśmy różnych szykan ze strony władz białoruskich – powiedziała „Do Rzeczy” prezes nieuznawanego ZPB, Andżelika Borys. A znany dziennikarz i działacz ZPB Andrzej Poczobut w rozmowie z nami podkreśla: – Związek Polaków jest organizacją apolityczną. Oczywiście nie możemy być jednak obojętni na to, co się dzieje w kraju. ZPB demonstrował swoją solidarność z ofiarami przemocy milicyjnej, poszczególni członkowie organizacji brali też udział w protestach, bo Polacy nie mają powodów, by sympatyzować z Łukaszenką.



Polacy wychodzą z podziemia

Takie stanowisko to następstwo wydarzeń z przeszłości. W 2005 r. w Grodnie odbył się zjazd Związku Polaków. Wybory przegrał ówczesny prezes Tadeusz Kruczkowski, a nową szefową organizacji została Andżelika Borys. Władze w Mińsku uznały, że związek może zostać opanowany przez opozycję, i anulowały decyzje zjazdu. Nowe kierownictwo ZPB tego nie uznało.

Doszło do szturmów milicji na Dom Polski w Grodnie, a na czele milicjantów szedł Tadeusz Kruczkowski. Polscy działacze trafili do aresztów. I tak nastąpił rozłam na ZPB nielegalny, uznawany przez Warszawę, ale nie przez Mińsk, i na związek legalny, nieuznawany w Polsce, ale cieszący się poparciem władz Białorusi. Ten drugi coraz bardziej pozorował działalność – w kilkunastu

ufundowanych przez nasz kraj Domach Polskich pomieszczenia wynajmowano komercyjnym firmom, a kolejny prezes łukaszenkowski ZPB Stanisław Siemaszko nawet nie mówił po polsku. Obecny szef tej organizacji, Mieczysław Łysy, język polski zna. Tyle że wielokrotnie wypowiadał się niechętnie, a nawet wrogo o naszym kraju.

Andżelika Borys była ponad 100 razy przesłuchiwana przez prokuraturę i milicję. Jej współpracownicy trafiali do aresztów pod absurdalnymi zarzutami, np. dlatego, że przeklinali na ulicy. Ostatecznie jednak sytuacja unormowała się, choć na bardzo dziwnym poziomie. Niezależny ZPB jest tolerowany przez władze. Jego działacze są bardzo aktywni, organizują rozmaite wydarzenia, istnieje



Demonstracja przeciw sfałszowanym wyborom na Białorusi

FOT. SERGEI BOBYLEV/TASS/FORUM

nawet społeczna szkoła polska przy ZPB w Grodnie. Mińsk nadal jednak nie chce formalnie uznać istnienia tej organizacji.

Polską społeczność dotyczą rozmaite szkany. Sztucznie ograniczane jest przyjmowanie nowych uczniów do państwowych szkół z językiem polskim w Grodnie i Wołkowysku. Nie ma mowy o tworzeniu nowych takich placówek. Podobna jest sytuacja z polskimi grupami w przedszkolach. O polskich napisach nazw miejscowości (np. w Werenowie koło litewskiej granicy, gdzie Polacy stanowią ponad 80 proc.) w ogóle nie ma mowy.

PRZEŚLADOWANY KOŚCIÓŁ

Na Białorusi jest 1,4 mln katolików. Oczywiście nie wszyscy z nich to Polacy, także część Białorusinów jest wyznania rzymskokatolickiego. Jednak z reguły Polacy są katolikami. I dla nich stanowisko Kościoła jest bardzo ważne.

Przed wyborami 9 sierpnia słyszeli więc wezwania do tego, by były one „uczciwe, wolne i sprawiedliwe”, jak podkreślił zwierzchnik białoruskiego Kościoła, abp Tadeusz Kondrusiewicz. Później do katolików dotarła ostra krytyka przemocy: „W ostatnich dniach staliśmy się świadkami niespotykanych dotąd w naszej miłującej pokój i tolerancyjnej

ojczyźnie wydarzeń, towarzyszących kampanii wyborczej i wyborom prezydenckim. Rozlały się one na ulice i place naszych miast. Doszło do starć między obywatelami i formacjami resortów siłowych. Na skutek tej konfrontacji przelała się niestety pierwsza krew i po obydwu stronach są już ofiary. Po raz pierwszy we współczesnej historii Białorusi brat podniósł rękę na brata”.

Podczas wizyty w Polsce, wypowiadając się m.in. dla Radia Maryja i telewizji Trwam, arcybiskup wskazał, że „Kościół na Białorusi chce pokojowego rozwiązania. Kilka razy zwracałem się na konferencji biskupów, aby drogą pokojową, drogą porozumienia, drogą okrągłego stołu usiąść i te problemy rozwiązać. Namawiałem do pokuty tych wszystkich, którzy zawinili. Kościół prawosławny i Cerkiew prawosławna występują z podobnymi apelami”. Zarazem podkreślił, iż „są niektóre przesłanki, mówiące, że wybory nie odbyły się uczciwie”.

Pod koniec sierpnia białoruscy katolicy dowiedzieli się niespodziewanie, że abp Kondrusiewicz nie może wjechać na Białoruś, choć jest jej obywatelem. Wiele godzin stał na przejściu granicznym – i musiał zawrócić. Prezydent Aleksander Łukaszenko oznajmił później, że „zwierzchnik Kościoła katolickiego niespodziewanie wyjechał do Warszawy na konsultacje i, otrzymując pewne zadania, wracał na Białoruś, i trafił na listę niewpuszczanych, wspólną dla Białorusi i Rosji”.

Wikariusz generalny archidiecezji mińsko-mohylewskiej bp Jerzy Kasabucki oznajmił potem, że „dochodzi do prób wywierania nacisku na Kościół katolicki, a to oznacza, że ma miejsce prześladowanie Kościoła, chociaż nikt nie mówi o tym wprost”.

Ta dramatyczna sytuacja tylko podgrzewa nastroje wśród Polaków i faktycznie obraca się przeciwko Łukaszenko.

CISI ZWOLENNICY PREZYDENTA

Trudno dziś jest znaleźć jakiegokolwiek wypowiedzi naszych rodaków – zwolenników Łukaszenki, choć z pewnością tacy również istnieją. Polacy pełnią różne funkcje w lokalnych urzędach, a to wymaga przynajmniej formalnego popierania władzy. W okresie kampanii wyborczej w państwowych mediach pojawiali się Polacy wspierający ponowny wybór dotychczasowego szefa państwa.

Jakie jest stanowisko Łukaszenkowskiego Związku Polaków na Białorusi,

można poznać z zamieszczonych jakiś czas temu w internetowym wydaniu pisma „Biełgazietia” wypowiedzi Mieczysława Łysego. Na pytanie, czy „nie boli go serce, gdy widzi, jakie pieniądze Polska i UE wydają na [białoruską] opozycję, niezależne media, antyrządowe postacie kultury”, gdy ZPB pieniędzy nie dostaje (oczywiście, chodzi o związek Łukaszenkowski), odparł: „Boli mnie serce, że oszukiwani są [polscy i unijni] podatnicy. A te pieniądze mogłyby zostać przeznaczone na bardziej znaczące cele”.

Istnieje specyficzna strona internetowa polaki.org – według działaczy niezależnego ZPB, stworzona przez białoruskie KGB – publikująca anonimowe teksty wymierzone w Andżelikę Borys i działaczy związku. Ostatnie odniesienie do aktualnej sytuacji politycznej pojawiło się 10 czerwca – nieznani autorzy napisali, że „prezes nielegalnego Związku Polaków Andżelika Borys, jej przyjaciele Andrzej Poczubot i Irena Biernacka złożyły swoje podpisy pod zgłoszeniem Swietłany Tichanowskiej na kandydata na prezydenta Republiki Białoruś. Swoje działania przedstawili w sieciach społecznościowych i tzw. niezależnych mediach, co wywołało szeroką dyskusję wśród ich zwolenników. Demonstracyjne działania przywódców nielegalnego Związku Polaków spowodowały niezrozumienie ze strony wielu działaczy”. Bo przecież związek powinien być apolityczny...

Po wyborach rozpoczęły się gigantyczne jak na Białoruś protesty, ale polaki.org ich nie dostrzegają. Tematem numer jeden jest dla nich co innego. Oto działacze ZPB jeździli po miejscach pamięci „przypominających o bitwie nad Niemnem w 1920 roku w rejonie wołkowyskim”. Andżelice Borys rzekomo jeździć się nie chciało i gościła w „najdroższym grodzieńskim salonie piękności”.

Jedno jest pewne: przy Łukaszenko polska mniejszość nie będzie miała szans na należyty jej szacunek, na rozwój, na aktywność. Jeśli „ostatni dyktator Europy” utrzyma się u władzy, to nasi rodacy będą mieć narastające problemy nawet z ujawnianiem swej polskości. Zmiana władzy w Mińsku może dawać nadzieję, że Polacy przestaną być traktowani jak „piąta kolumna”. Jeśli bowiem zmieni się Białoruś, to także oni będą w innej jakościowo sytuacji. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą w AFIB Vistula i dziennikarzem tygodnika „Idziemy”.

Do wybuchu magazynu z saletrą, który zniszczył kilka dzielnic Bejrutu, doszło 4 sierpnia tego roku

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Liban na beczce z saletrą



Witold Repetowicz z Bejrutu

Eksplozja, która zniszczyła bejrucki port i kilka dzielnic stolicy, była już trzecią plagą, która spadła na ten wyjątkowy na Bliskim Wschodzie kraj. Coraz częściej mówi się o groźbie wybuchu nowej wojny domowej, a najwięcej do stracenia mają chrześcijanie

Liban to jedyny (poza Izraelem) kraj na Bliskim Wschodzie, o którym nie można powiedzieć, że jest muzułmański. Stworzony został jako chrześcijańska wyspa na morzu islamu, choć oczywiście od samego początku był multietniczny i multireligijny. Chrześcijanie długo byli tu jednak większością. Według spisu z 1932 r. stanowili aż 58,7 proc. mieszkańców. Dzisiaj są mniejszością. Exodus zaczął

się wraz z wybuchem wojny domowej w 1975 r. Zakończyła się ona w 1990 r., ale ustalony wówczas system podziału władzy stał się przyczyną zżerającej Liban korupcji, która doprowadziła do tego, że kraj ten znajduje się obecnie na skraju przepaści.

POŁĄCZONE PROBLEMY

– W Libanie problemy się ze sobą łączą – powiedział mi Hagop Pakrado-

unian, deputowany armeńskiej partii Tashnak do libańskiego parlamentu. Przygnębiający obraz Bejrutu, jaki zobaczyłem, gdy wylądowałem w nim 20 sierpnia, zdawał się w pełni potwierdzać te słowa. Port i otaczające go dzielnice, w większości chrześcijańskie, leżały w gruzach. W historycznym centrum znanym jako Downtown Beirut i sąsiadującej z nim dzielnicy Gemmayzeh zabytkowe budynki, często odbudowane po zakończonej w 1990 r. wojnie domowej, znów zmieniły się w ruiny. Wyglądało, jakby przez miasto przetoczył się błyskawiczny konflikt zbrojny, którego skutki były równie niszczycielskie jak te wynikające z 15-letniej wojny domowej. Zwłaszcza że w Bejrucie jest wciąż wiele budynków nieodbudowanych po jej zakończeniu i jedyna rzecz, która odróżnia nowe ruiny od starych, to brak śladów po kulach.

W wyniku wybuchu ucierpiała najważniejsza chrześcijańska świątynia w Bejrucie, czyli maronicka katedra św. Jerzego. Jej dach jest uszkodzony, a z okien wypadły wszystkie witraże. Katedra jest zamknięta, podobnie jak cały plac de l'Etoile, czyli historyczne serce libańskiej stolicy. Sąsiadujący z nim suk, który dopiero kilka lat temu odżył po otwarciu tam centrów handlowych, galerii, kawiarni i restauracji, znów uległ wyniszczeniu.

Właściciele sklepów i lokali gastronomicznych energicznie przystąpili do remontu, bo ich na to stać. Jednak dach nad głową straciło ok. 300 tys. Libańczyków, w większości (choć nie wyłącznie) chrześcijan. Im będzie bardzo trudno. – 300 dol. to teraz dla wielu rodzin bardzo duża suma, a tyle właśnie mogą kosztować podstawowe naprawy, takie jak wymiana okien i drzwi – powiedział mi George Krikorian koordynujący odbudowę w ormiańskiej dzielnicy Bejrutu Burdż Hamoud, która jest jedną z najbardziej dotkniętych wybuchem. Dodał, że jeśli pomoc nie nadejdzie szybko, to dojdzie do katastrofy, bo zaczną się zimowe ulew.

Sytuacja nie byłaby tak dramatyczna, gdyby nie krach finansowy, który wstrząsnął Libanem w październiku ubiegłego roku. Zbankrutowało wtedy kilka banków, a oszczędności wielu Libańczyków wyparowały. Okazało się, że zadłużenie wewnętrzne wynosi 92 mld dol., czyli 172 proc. PKB. Libański funt zaczął gwałtownie tracić na wartości i czarnorynkowy kurs dolara poszybował z 1,5 tys. do ponad 7 tys. libańskich funtów. Tymczasem oficjalny kurs wciąż jest na poziomie 1,5 tys., a osoby mające oszczędności dolarowe lub otrzymujące przelewy w tej walucie mogą miesięcznie wypłacić tylko niewielką ich część, i to po kursie 3,9 tys.

BEZ PRACY I BEZ PENSJI

Kilka miesięcy po krachu finansowym pojawiła się pandemia koronawirusa. Liban jest krajem, który szczególnie mocno odczuł skutki COVID-19. Po pierwsze dlatego, że liczba infekcji jest tu dość duża (obecnie ponad 600 przy ok. 4,5 mln populacji), po drugie – ponieważ i tak osłabiona gospodarka została dobita redukcją globalnej mobilności. Liban jest bowiem krajem, który żyje głównie z handlu, międzynarodowych usług oraz turystyki. Progno-

zowano, że w wyniku tych strat PKB Libanu skurczy się w 2020 r. o 12 proc., ale po wybuchu pandemii szacuje się, że będzie to aż 25 proc.

– Połowa Libańczyków jest obecnie bez pracy, a druga połowa albo dostaje swoje pensje nieregularnie, albo realna wartość ich wynagrodzeń zmniejszyła się kilkakrotnie ze względu na kurs dolara. Nauczyciel, który rok temu zarabiał 1,3 tys. dol., dostaje teraz 300, a żołnierz zarabia zaledwie 150 – tłumaczył mi Krikorian, który jest nauczycielem. – Tymczasem za jakieś trzy miesiące skończą się całkowicie rządowe zapasy dolarów, co uniemożliwi dotowanie leków, za które dziś pacjenci płacą 15 proc. ich wartości. Po eksplozji zaczyna też brakować ziarna, co wkrótce spowoduje gwałtowny wzrost cen chleba – ostrzegał.

– 52 proc. Libańczyków żyje obecnie poniżej granicy ubóstwa – powiedział mi deputowany Pakradounian. Przewiduje się, że na koniec 2020 r. odsetek bezrobotnych wzrośnie do dwóch trzecich. Nie ma też turystów. Wydawałoby się zatem, że branża gastronomiczna nie ma po co walczyć o otwarcie, bo i tak nie będzie miała zbyt wielu klientów. Jest to prawda, ale tylko częściowo. Po faktycznym zniesieniu lockdownu Hamra ożyła, ale w stopniu dalekim od normalnego. Ponadto bogate elity Libanu wciąż żyją dostatnio, a nadmorskie kurorty nie narzekają na brak klientów. Liban to bowiem kraj kontrastów i nierówności, nepotyzmu i wszechogarniającej korupcji. Dlatego po krachu finansowym w ubiegłym roku ludzie wyszli na ulice. Na wielu pomnikach zawisły strycki jako przestroga dla całej klasy politycznej. Na murach pojawiły się też liczne graffiti z karykaturami polityków wszystkich frakcji. Protestujący przełamali również tabu, jakim jest publiczna krytyka lidera Hezbollahu, szejka Nasrallaha. Żądano odsunięcia od władzy wszystkich polityków, zmiany systemu politycznego, odrzucenia sektarianizmu, reform gospodarczych oraz walki z korupcją.

Tyle że szybko się okazało, iż protestujący nie mają żadnego spójnego planu zmian. Na przykład w kwestiach gospodarczych liberałowie zaczęli się spierać z komunistami.

– Początkowo wydawało się, że rewolucja jest godna poparcia, ale potem nastąpiło rozczarowanie, bo ujawnił się brak wizji i strategii, każdy tam chciał

być też liderem. Następnie niektóre partie zaczęły się podpinąć pod protesty – ocenił biskup Ormiańskiego Kościoła Katolickiego w Libanie Kevork Assadourian.

NOWY PODZIAŁ?

Nośnym hasłem było odejście od systemu sektariańskiego, czyli podziału stanowisk między 18 oficjalnie uznanych grup etniczno-wyznaniowych. Zgodnie z tym systemem chrześcijanie mają zagwarantowane m.in. stanowisko prezydenta, dowódcy libańskiej armii, a także połowę miejsc w parlamencie. Nieoficjalnie szacuje się, że liczba chrześcijan nie przekracza 40 proc. (prawdopodobnie jest bliska 30 proc., a skrajne szacunki mówią nawet o tym, że spadła ona do 24 proc., przy 33 proc. szyitów i takiej samej liczbie sunnitów). Trudno odejść od sektarianizmu w sytuacji, gdy Liban jest areną ścierania się wpływów zewnętrznych, a kontekst regionalny, czyli rywalizacja między takimi państwami jak Iran, Arabia Saudyjska czy Turcja, ma charakter właśnie sektariański. W tym kontekście chrześcijańscy liderzy w Libanie narzekają, że podczas gdy muzułmanie mają zewnętrznych sojuszników, Europa – wchodząc na scenę „politycznej poprawności” i laicyzacji – ich opuściła. Część chrześcijańskich zwolenników protestów wierzy wprawdzie, że dzięki zmianie percepcji z walki o prawa chrześcijan na walkę o prawa obywatelskie doprowadzi się do takiej sytuacji, że nie będzie istotne, czy dane stanowisko zajmuje szyita, sunnita, druz czy chrześcijanin, ale wielu innych ostrzega, że elity Libanu nie są na to gotowe, a odejście od sektarianizmu grozić będzie tym, iż Liban stanie się po prostu kolejnym krajem muzułmańskim. Wtedy exodus chrześcijan się dopełni, tak jak to się stało np. w Iraku.

Kolejnym problemem wiszącym nad Libanem jest też spór o Hezbollah. USA naciskają na całkowite odsunięcie go od władzy w Libanie i grożą sankcjami. Niektórzy głoszą też, że jeśli nie będzie Hezbollahu, to wszystkie problemy po prostu znikną. To daleko idące uproszczenie. Niewiele też wskazuje, by wobec Hezbollahu i jego sojuszniczego Amalu wyrosła jakakolwiek realna szyicka alternatywa polityczna. A to oznacza, że izolacja Hezbollahu to izolacja szyitów i recepta na wojnę domową.



ZASADY NANCY PELOSI

Spikerka Izby Reprezentantów w USA i polityk Partii Demokratycznej to jedna z najzgorzalszych krytyczek Donalda Trumpa. Ostro krytykowała jego administrację za brak maseczek w czasie pandemii COVID-19. Właśnie ujawniono film z salonu fryzjerskiego. Nancy Pelosi pojawiła się w nim dzień wcześniej, zanim zezwolono na otwarcie tej branży. W dodatku nie miała na twarzy maseczki. Przeprasiła? A skąd! Tłumaczyła, że maseczkę zdjęła podczas mycia włosów i jest to „zrozumiałe”. Całe nagranie nazwała zaś „ustawką” i uważa, że została „wrobiona” przez fryzjerkę.

FOT. AL DRAGO/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS

„CZARNE” SKLEPY W GOOGLE MAPS

Walka z rasizmem zaczyna przybierać nieoczekiwane barwy. Otóż, żeby pomóc (?) uciskanym ciemnoskórym, Google wprowadziło niedawno nową ikonę do oznaczania miejsc w Google Maps. Będzie to czarne serduszek. I oznaczać będzie biznesy „prowadzone przez czarnych” (dosłownie „black-owned”). Czy oznaczanie miejsc, których właściciele są jednego koloru skóry, nie jest czasem rasistowskie? I czy piekło naprawdę nie jest wybrukowane dobrymi chęciami?

UDAWAŁA CZARNOSKÓRĄ

Jessica A. Krug jest profesorem na The George Washington University. Specjalizuje się w zagadnieniach afrykańskich i latyno-amerykańskich. Sama twierdziła najpierw, że jest Afroamerykanką, a potem, że jest osobą z Bronksu z korzeniami karaibskimi. Teraz przyznała na łamach prasy, że całe życie kłamała, „chcąc być częścią społeczności Afroamerykanów”. W rzeczywistości wychowała się jako białe żydowskie dziecko na przedmieściach Kansas City.

NERWOWY MISTRZ TENISA

Novak Djoković został usunięty z rozgrywanego właśnie turnieju tenisowego US Open. Serb zdenerwował się podczas meczu i z frustracji odbił trzymane piłki w bok. Jedną trafiła zaskoczona sędzią liniową w szyję. Kobieta związała się z bólu. Organizatorzy turnieju zdyskwalifikowali Novaka, odebrali mu wszystkie punkty oraz zdobyte do tej pory w turnieju nagrody pieniężne. Mistrz tenisowy przeprosił i przyznał, że musi nad sobą popracować.

ROSYJSKA LOGIKA

Opozycjonista z Rosji – Aleksiej Nawalny – został otruty. To wiadomo, bo po wywiezieniu go z kraju został zbadany w Niemczech. Rosjanie ułożyli sobie jednak własną wersję tych zdarzeń. Według Dimitria Pieskowa, rzecznika Kremla, Nawalny został... otruty przez Niemców! Jak na to wpadli Rosjanie? Bardzo prosto. Twierdzą, że ponieważ w ich kraju „cały kompleks analiz” nie wykazał u Nawalnego śladów trucizny, musiał on zostać otruty tam, gdzie wyniki badań jednak wskazały na substancje toksyczne w jego organizmie.

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Śmierć za Chrystusa

Asif Pervaiz, 37-letni chrześcijanin, który od 2013 r. przebywa w pakistańskim więzieniu, został skazany na karę śmierci. Zarzut – bluźnierstwo. Pracujący w jednej z fabryk odzieżowych Asif tłumaczy, że oskarżenie to zemsta jego szefa, który próbował zmusić go do przejścia na islam. Znieważenie proroka Mahometa, islamu czy Koranu automatycznie oznacza jednak w Pakistanie najwyższy wymiar kary. Oskarżony zostanie powieszony. Wcześniej musi zapłacić grzywnę: 50 tys. pakistańskich rupii (równowartość 1,1 tys. zł), a także dokończyć odbywanie kary

więzienia. To kolejna ofiara surowych ustaw o bluźnierstwie, które zdaniem obrońców praw człowieka są często wykorzystywane do rozprawiania się z chrześcijańską mniejszością lub załatwiania prywatnych porachunków. Od 1990 r. z powodu „bluźnierstwa” stracono niemal sto osób.

Islamscy ekstremiści tak mocno urosli w siłę, że czasem „niewierni” giną po prostu w wyniku linczu. W lipcu Amerykanin pakistańskiego pochodzenia został zastrzelony w Peszawarze przez nastolatka, który tłumaczył potem, że zabił go za znieważenie Mahometa. Za bohatera wielu

Pakistańczyków uważa też ochroniarza, który w 2011 r. zabił swego szefa, gubernatora prowincji Pendżab, bo ten stanął w obronie Asi Bibi, chrześcijanki oskarżonej o bluźnierstwo. Bibi śmiała napić się wody ze studni dla mużulmanek. Ona również odmówiła przejścia na islam. „Jezus Chrystus umarł za moje grzechy i za grzechy świata. A co zrobił Mahomet dla ludzi?” – pytała prześladowców dzielna Asia Bibi. Wypadałoby więc zapytać: Co w XXI w. robią rządy chrześcijańskich państw, aby bronić wyznawców Chrystusa przed śmiercią w krajach islamskich? ©©

Niedziela

w Telewizji Republika



W Punkt
9:06

zaprasza Katarzyna Gójska



Studio prasowe
10:06

zaprasza Adrian Stankowski



Salonik polityczny
11:00

zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Salonik
POLITYCZNY
RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Polityczna kawa
12:00

zaprasza Tomasz Sakiewicz



oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 167cd6c9e1

Podcięte skrzydła



Jacek Przybylski

Rok 2020 zapisze się jako najgorszy w historii lotnictwa. Każdy dzień oznacza ponad 200 mln dol. straty. Zagrożone są miliony miejsc pracy. COVID-19 przypieczętował również wyrok na jumbo jety oraz wielkie A380. Jednocześnie bilety można kupić wyjątkowo tanio

Pandemia koronawirusa nieoczekiwanie spełniła wielkie marzenia aroganckiej szwedzkiej ekoaktywistki Greta Thunberg: samochody nagle przestały zjeżdżać z linii produkcyjnych, mocno podupadł handel, fabryki zaczęły ogłaszać bankructwo, a pozbawieni dochodów i poczucia bezpieczeństwa ludzie przestali myśleć o podróżowaniu samolotami w najdalsze zakątki świata.

Pandemia przesądziła o losie takich podniebnych olbrzymów jak Boeing 747 czy Airbus A380, które na pokład mogły zabrać jednorazowo nawet kilkaset osób (A380-800 w konfiguracji ekonomicznej może pomieścić nawet 853 osoby). W czasach koronawirusa nikt nie potrzebuje już takich kolosów, które, aby na siebie zarabiać, wymagają dużego obłożenia.

W lipcu Boeing ogłosił więc, że już za dwa lata zakończy produkcję modelu słynnego jumbo jeta, który na pokładzie mieścił jednorazowo nawet 568 pasażerów. Już w przyszłym roku zostanie zaś wyprodukowany ostatni A380 (decyzję tę podjęto jeszcze przed wybuchem pandemii, ale koronawirus przyspieszył wykonanie wyroku śmierci na największym samolocie pasażerskim świata). Rzucony na kolana przez wirusa Airbus po wybuchu pandemii wstrzymał dostawy zamówionych już A380.

OLBRZYMY UZIEMIONE

Z danych firmy Cirium wynika, że znakomita większość maszyn typu 747 została uziemiona. Podobny los spotkał też A380, który zużywa znacząco więcej paliwa i emituje więcej dwutlenku węgla niż najnowocześniejsze samoloty na rynku. Szef



FOT. ADOBE STOCK

szy aż o 86,5 proc., a ruch w europejskich portach lotniczych zmalał o 93 proc. (choć maj był jeszcze gorszy – wówczas ruch w porównaniu z rokiem 2019 był mniejszy o 98 proc.).

Według szacunków ekspertów IATA globalne przychody branży lotniczej spadną w tym roku o 50 proc. z 838 mld dol. do zaledwie 419 mld dol., a branża poniesie stratę netto w wysokości 84,3 mld dol. W roku 2021 przychody mają wzrosnąć do 598 mld dol., a strata netto spaść do 15,8 mld dol.

Przychody z przewozu pasażerów mają spaść z 612 mld dol. w roku 2019 do zaledwie 241 mld.

– Finansowo rok 2020 zapisze się jako najgorszy rok w historii lotnictwa. Każdy dzień przynosi dla branży stratę średnio 230 mln dol. – zauważył Alexandre de Juniac, dyrektor generalny IATA. Zaaapelował do rządów o ratunek, a także wprowadzenie ulg podatkowych mających zmniejszyć koszty funkcjonowania branży.

SUPEROBNIŻKI I ABONAMENTY

Co najgorsze, nawet najwięksi optymiści nie spodziewają się szybkiego odbicia branży. Według ogłoszonych w sierpniu analiz IATA na powrót do poziomu ruchu lotniczego sprzed pandemii powietrzni przewoźnicy będą musieli poczekać nie rok czy dwa lata, ale nawet do roku 2024. Tym samym analitycy przyznali, że w maju byli zbyt optymistyczni, przewidując, że załamanie na rynku zakończy się w roku 2023.

Równie pesymistycznie nastawieni są przedstawiciele stowarzyszenia Airports Council International Europe, reprezentującego europejskie porty lotnicze. W opublikowanym w lipcu raporcie ogłosili, że wzrost liczby podróży lotniczych po zniesieniu rządowych ograniczeń postępuje wolniej, niż się spodziewali. Według ACI Europe liczba pasażerów wróci do tej sprzed pandemii najwcześniej w roku 2024. Tę samą datę jako próg powrotu do normalności wskazuje też czołowe lobby w amerykańskim sektorze lotniczym: Airlines for America.

Obecnie podniebną branżą w wielu krajach ratuje głównie lokalny ruch lotniczy. W Chinach, gdzie odbicie jest najbardziej widoczne, w sierpniu liczba lotów krajowych wynosiła 86 proc. stanu z 2019 r., a we wrześniu – według szacunków analityków ForwardKeys – ma powrócić do stanu sprzed wybuchu

pandemii koronawirusa. Ten sukces jest możliwy dzięki ogromnym obniżkom cen biletów oraz nietypowym promocjom. Przykładowo linie China Eastern Airlines wprowadziły w czerwcu bilety abonamentowe. Za 3322 juany (równowartość ok. 1830 zł) można w weekendy bez żadnych ograniczeń latać po Chinach kontynentalnych aż do końca roku. Oferta tak bardzo spodobała się klientom, że w połowie sierpnia chiński przewoźnik wprowadził nowy pakiet, który za 3456 juanów pozwala na nielimitowane loty w dni powszednie przed godz. 8 i po godz. 20 przez 180 dni. Dzięki promocjom liczba wykonywanych lotów przez China Eastern Airlines odbiła z 200 lotów dziennie – to minimum tej linii podczas pandemii – do ok. 2,3 tys. dziennie (to ponad 90 proc. rejsów z czasów sprzed koronawirusa).

Śladami China Eastern Airlines poszli oczywiście konkurenci chińskiego przewoźnika. Promocjami kuszą też największe tradycyjne linie. Część przewoźników oferuje w promocjach pulę przecenionych o połowę lub niemal darmowych miejsc na pokładzie (np. za kilkadziesiąt groszy), licząc na to, że zarobią chociaż na usługach dodatkowych. Utrzymując loty, przewoźnicy zachowują też atrakcyjne sloty i nie muszą obawiać się utraty siatki połączeń czy kosztów związanych z utrzymaniem większości floty. Mimo to ze światowego rynku na stałe wycofano już tysiąc samolotów, a linie lotnicze rezygnują z dostaw zamówionych wcześniej maszyn lub przekładają termin ich zakupu.

Ceny pospadały nie tylko w Azji, lecz także w Europie. Za mniej niż 200 zł bez trudu można jeszcze na wrzesień kupić bilet powrotny z Warszawy do Dublina, Londynu, Madrytu, Mediolanu czy Wiednia. Kupując bilet na październik, Mediolan, Rzym, Oslo czy Wiedeń można zobaczyć, płacąc mniej niż 80 zł w obie strony. Za niecałe 200 zł można zaś polecieć w tę i z powrotem do Aten, Lwowa, Lizbony, Paryża. A jeśli ktoś nie lubi tanich linii, to za mniej niż 300 zł może polecieć na pokładzie TAP Portugal do Lizbony lub na pokładzie LOT do Rygi (cena za bilet w obie strony). Loty z przesiadką są zaś jeszcze tańsze. Kłopot w tym, że możliwość odbicia lotu zależy od tego, czy w danym momencie wybrany kierunek nie będzie na liście zakazanych z powodu koronawirusa.

Przewoźnikom pomaga oczywiście niższa cena ropy, ale niższe koszty absolutnie nie równoważą w żaden sposób

pięciogwiazdkowych linii Qatar Airways Akbar al-Baker poinformował więc o długotrwającym uziemieniu posiadanych A380, zaznaczając, iż nie wyklucza, że ta maszyna już nigdy nie będzie wozila pasażerów. Z wielkim francuskim airbusem z powodu wysokich kosztów eksploatacji pożegnały się już nawet linie Air France.

Skromna liczba podróżnych sprawia, że liniom lotniczym obecnie trudno jest zapełnić o wiele mniejsze modele nowoczesnych samolotów, takie jak Boeing 787 czy Airbus A350.

Sytuacja jest dramatyczna. Według Międzynarodowego Stowarzyszenia Transportu Lotniczego (IATA), aby linie lotnicze wychodziły na swoje, obłożenie musi wynosić ok. 75 proc. Tymczasem w czerwcu globalny popyt na przewozy lotnicze był w porównaniu z tym samym miesiącem roku 2019 niż-

■ niskich przychodów. Wojna cenowa, powielająca schemat działania tanich linii, utrudnia rzecz jasna szanse na powrót do rentowności.

Spełniła się w ten sposób przepowiednia szefa Ryanaira, który już cztery lata temu ogłosił na konferencji prasowej, że zamiast oferować bilety w promocji po 5 lub 9 funtów, zamierza oferować darmowe miejsca. Michael O'Leary doskonale opanował sztukę zarabiania na dodatkowych usługach (rozbudowany i bezwzględnie egzekwowany system dopłat do niemal wszystkiego, co możliwe), a także na sprzedaży pokładowej czy pośrednictwie w wynajmie samochodów.

Na pandemii obecnie zyskują więc sporo tanie linie, takie jak wspomniany irlandzki Ryanair czy węgierski Wizz Air, które dzięki sporym zapasom gotówki, elastycznej siatce połączeń opierającej się na najpopularniejszych wśród turystów trasach, a także doświadczeniu w rozdmuchiwaniu przychodów pozaletniczych będą w stanie sprawnie walczyć o spory wzrost udziału w światowym rynku przewozów pasażerskich.

Wspierać je będzie sposób, w jaki popyt na loty ma wracać do dawnych poziomów. Eksperci spodziewają się, że w pierwszej fazie odbicia wzrośnie liczba pasażerów na kierunkach typowo turystycznych – to było już widać podczas wakacji – oraz tzw. trasach pracowniczych.

Typowy ruch biznesowy najprawdopodobniej nie wróci jednak do dawnych poziomów co najmniej do końca 2023 r.

Według ekspertów agencji ratingowej Moody's Investors Service powrót popytu na podróże lotnicze jest uwarunkowany znalezieniem skutecznych leków i szczepionek na COVID-19.

Obecnie odpowiadając na lęki podróźników, linie lotnicze wprowadziły obowiązek noszenia maseczek, a także dodatkowe procedury sprzątania i dezynfekcji kabin. Część przewoźników, choćby niemiecki Eurowings czy amerykańska Frontier Airlines, jeszcze przed lotem umożliwia klientom nie tylko rezerwację miejsca dla siebie, lecz także wykupienie pustego miejsca w środku rzędu. Za gwarancję braku pasażera siedzącego tuż obok trzeba dopłacić równowartość ok. 100 zł za odcinek lotu. I chociaż epidemiolodzy nie widzą w tym większego sensu, oferty tego typu cieszą się sporym powodzeniem. Również tradycyjni przewoźnicy w przypadku niewielkiego obłożenia starają się blokować środkowe miejsca lub tak

rozsadzać pasażerów, aby znajdowali się możliwie jak najdalej od siebie. Jak jednak zauważył szef irlandzkiego Ryanaira, jeśli w samolotach chciałoby się przestrzegać zasady izolacji społecznej i dwóch metrów odstępu, to dla czworga pasażerów należałoby zarezerwować w sumie 26 miejsc, a to wywindowałoby ceny biletów do astronomicznych poziomów.

BANKRUCTWA I ZWOLNIENIA

Dopóki na lotniskach wciąż hula wiatr, dopóty szefowie linii lotniczych jak mantrę powtarzają, że jedynym sposobem na przetrwanie jest drastyczne cięcie kosztów. Wielu przewoźników zdecydowało się więc na istotne obniżki pensji, a także na ogromną redukcję etatów. Pracę tracą nie tylko piloci, lecz także mechanicy oraz osoby zatrudnione w administracji czy obsłudze naziemnej.

Na początku września zwolnienie 1150 osób zapowiedziały linie Virgin Atlantic. To już kolejna fala zwolnień u tego brytyjskiego przewoźnika. Wcześniej pracę straciło 3150 osób. Kolejnych 600 ma zaś pójść na obowiązkowy urlop.

Kryzys nie oszczędził nawet największych czy najlepszych. Amerykańskie linie lotnicze United Airlines ogłosiły we wrześniu, że szykują się do zwolnienia 16,4 tys. z nieco ponad 90 tys. pracowników. Prestiżowe australijskie linie Qantas Airways w czerwcu pożegnały się z 6 tys. pracowników, a w sierpniu zapowiedziały, że ograniczą personel o kolejne 2,6 tys. osób z obsługi naziemnej. Skandynawski SAS już w marcu ogłosił plan „tymczasowego” zwolnienia z pracy 10 tys. osób, czyli aż 90 proc. załogi. Pod koniec kwietnia SAS ogłosił, że zamierza trwale rozstać się z 5 tys. pracowników.

Podobne przykłady można mnożyć. Dyrektor generalny IATA Alexandre de Juniac szacuje, że na całym świecie zagrożonych może być nawet 25 mln (sic!) miejsc pracy, bo w zawodach bezpośrednio lub pośrednio powiązanych z lotnictwem pracuje ponad 65,5 mln osób.

Mimo dramatycznych decyzji o oszczędnościach i grupowych zwolnieniach coraz więcej linii ogłasza bankructwo. Od marca 2020 r. już ponad 30 przewoźników na świecie ogłosiło bankructwo lub zgłosiło się do sądów z wnioskami o ochronę przed wierzycielami. Są wśród nich tak znane linie lotnicze jak Miami Air, Flybe, Thai Airways, Virgin Australia czy SunExpress Deutschland.

Ta lista byłaby o wiele dłuższa, gdyby nie to, że wielu przewoźników wynegocjowało od rządów gigantyczne wsparcie. Przetrwanie holdingu Air France-KLM ma zapewnić ponad 10 mld euro pomocy, na którą złożyły się rządy w Paryżu (7 mld euro) oraz w Amsterdamie (3,4 mld euro). Niewiele mniej, bo aż 9 mld euro, władze w Berlinie zdecydowały się przeznaczyć na pomoc w ratowaniu Lufthansy. Dzięki tak potężnemu wsparciu rządów linie te będą w stanie obronić kluczowy dla ich przetrwania rynek przesiadkowy.

Z prośbą o 500 mln funtów pożyczki ratunkowej dla Virgin Atlantic do rządu w Londynie wystąpił jeszcze w kwietniu sir Richard Branson. Brytyjski miliarder oferował nawet nietypowe zabezpieczenie, a więc swą prywatną wyspę Necker Island. Rząd Borisa Johnsona zdecydował jednak, że po pieniądze podatników będzie można sięgnąć dopiero, gdy nie będzie już żadnej innej możliwości. A co z PLL LOT? Minister aktywów państwowych Jacek Sasin jasno deklaruje, że polskie linie będą musiały skorzystać z zewnętrznego wsparcia. Wysokość tego wsparcia – jak zadeklarował Sasin w wywiadzie dla telewizji wPolsce.pl – ma zależeć „od działań, które zarząd w tej chwili skutecznie podejmuje, czyli racjonalizacji wydatków, renegotjacji umów leasingowych”.

TRACĄ NIE TYLKO PRZEWÓŹNICY

Chociaż wiele pisze się i mówi o problemach linii lotniczych, to pandemia uderzyła również w lotniska, a także w pracowników obsługi lotów, w tym np. w służby nawigacyjne. Chude lata nadeszły więc m.in. dla Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej: brak operacji lotniczych oznacza bowiem brak wpływów do budżetu z tytułu opłat nawigacyjnych za ich obsługę.

Jak poinformowała PAŻP, od 31 sierpnia do 6 września liczba operacji lotniczych na wszystkich lotniskach w Polsce wyniosła 4873, co oznacza spadek aż o 50 proc. w porównaniu z rokiem 2019. Najwięcej lotów w polskiej przestrzeni powietrznej wykonały zaś PLL LOT, Wizz Air oraz Ryanair. Wirus zaatakował również finanse lotniczych wystawców – kilka dni temu organizatorzy największego salonu lotniczego świata poinformowali, że pierwszy raz od 24 lat są zmuszeni odwołać imprezę – oraz największych producentów maszyn. Według analityków firm ratingowych Boeing czy Airbus odbicie na rynku odczują zapewne sporo później niż linie lotnicze czy lotniska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Według wyliczeń firmy doradczo-audytorskiej Grant Thornton jeśli wybieramy towar zagraniczny, to z każdego jednego złotego, który przeznaczymy na taki produkt, aż 75 gr ucieka za granicę, a tylko 24 gr zostaje w Polsce. Kiedy produkt jest polski, wówczas z każdej złotówki aż 79 gr zostaje w Polsce. Z wyliczeń firmy Grant Thornton opublikowanych jesienią 2019 r. wynika także, że gdyby polscy konsumenci zwiększyli zaledwie o 1 proc. zakupy krajowych towarów kosztem importowanych, to w polskiej gospodarce zostawałoby rocznie dodatkowo 6,6 mld zł.

W czasach kryzysu wywołanego przez pandemię patriotyzm gospodarczy odgrywa szczególną rolę. Kupowanie polskich produktów to najprostszy sposób na wsparcie polskiej gospodarki, a co za tym idzie – na utrzymanie miejsc pracy naszych krewnych, przyjaciół czy znajomych. Polskie firmy nie tylko bowiem zatrudniają na rodzimym rynku pracy, lecz także to w Polsce płacą podatki, dzięki którym finansowane mogą być inwestycje lokalne oraz krajowe.

KAMPANIA PGE

Pracownicy PGE doskonale zdają sobie z tego sprawę. Podczas pandemii koronawirusa, aby wesprzeć rodzimych przedsiębiorców, pracownicy za pośrednictwem wewnętrznych narzędzi komunikacji zaczęli więc polecać sobie polskie produkty, a następnie ciekawe miejsca w Polsce na weekend czy dłuższy urlop. Chcieli w ten sposób wesprzeć polskie firmy, wśród których wiele znalazło się ostatnio w trudnej sytuacji finansowej.

Aby wesprzeć tę aktywność pracowników, wewnątrz Grupy PGE stworzony został specjalny blog, który ułatwia pracownikom wszystkich



„Polskie – kupuję to!”

Kampania społeczna PGE Polskiej Grupy Energetycznej „Polskie – kupuję to!” zachęca Polaków do kupowania krajowych produktów i usług. W nowej odsłonie, PGE zachęca do korzystania z aplikacji Pola, dzięki której znalezienie polskich artykułów będzie jeszcze prostsze.

spółek wymianę opinii o polskich produktach. Ogólnopolska kampania społeczna pod hasłem: „Polskie – kupuję to!” ma na celu rozszerzenie aktywności pracowników poza Grupę PGE i zachęca Polaków do kupowania rodzimych produktów oraz usług. Im więcej bowiem polskich produktów zostanie kupionych, tym mniej dotkliwe dla krajowej gospodarki będą skutki

ogólnoswiatowej recesji wywołanej przez epidemię.

W Internecie oraz w mediach społecznościowych pojawiły się już grafiki i spoty zachęcające Polaków do wyboru krajowych produktów. Ruszyła także kampania telewizyjna. PGE stworzyła również specjalną stronę internetową poświęconą akcji, a także profile w mediach społecznościowych mające na celu

zaangażowanie jak największej liczby użytkowników.

Akcja odbywa się pod honorowym patronatem ministra aktywów państwowych, który od początku koordynuje działania spółek Skarbu Państwa w walce z epidemią i jej skutkami gospodarczymi.

PGE PARTNEREM APLIKACJI POLA

Jak wybierać polskie produkty? Jak mieć pewność, że produkt jest polskiego pochodzenia, że dana firma ma polski kapitał lub też, że większość lub całość produktu została wyprodukowana w Polsce?

Wszystkie te informacje odnaleźć można za pomocą aplikacji na smartfony. Najbardziej znana z tych aplikacji – Pola – po zeskanowaniu kodu kreskowego błyskawicznie wyświetla dane o tym, czy producent jest zarejestrowany w Polsce, czy inwestuje w naszym kraju w badania i rozwój i czy jego kapitał jest rodzimy, czy też może jest to część zagranicznego koncernu. Aplikacja wyświetla także liczbę punktów określających stopień „polskości” sprawdzonego produktu.

W ramach kampanii „Polskie – kupuję to!” PGE nawiązała współpracę z twórcami aplikacji Pola. W ramach umowy PGE będzie wspierać rozwój aplikacji, by rozszerzyć jej bazę produktów o kolejne branże. Dzięki temu lista krajowych producentów dostępnych w aplikacji będzie się stale powiększać, a identyfikacja polskich produktów stanie się jeszcze łatwiejsza.

W ramach kampanii „Polskie – kupuję to!” PGE uruchomiła także platformę fachowcy.gkpg.pl, wspierającą krajowych usługodawców, oraz specjalną zakładkę z produktami oznaczonymi jako produkt polski z logo „Polskie – kupuję to!” na platformie PGE eSklep.

Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej:

Celem działań PGE skupionych wokół „Polskie – kupuję to!” jest zwrócenie uwagi konsumentów na wybór rodzimych produktów, ale również ułatwienie ich zakupu, w czym właśnie pomaga aplikacja Pola. Dlaczego PGE – spółka energetyczna – angażuje się w ten projekt? Ponieważ kupując polskie produkty wspieramy polskich przedsiębiorców i polską gospodarkę. Dzięki aplikacji Pola, w prosty sposób można sprawdzić, czy produkt został wyprodukowany w Polsce, przez krajową firmę, w Polsce zarejestrowaną i w Polsce płacącą podatki



Polskie w modzie



Radosław Wojtas

Podczas pandemii koronawirusa chętniej wybieramy polskie produkty. Czy patriotyzm gospodarczy w nas zostanie, gdy strach już minie?

Od rolnika bez pośrednika", „Bezpośrednio od rolnika", „Rolnik sprzedaje warzywa", „Mobilny warzywniak" – na Facebooku przybywa grup, w których Polacy oferują naturalne, lokalne produkty. Z dostawą do domu albo do odbioru o umówionej porze, w umówionym miejscu. Niektórzy rolnicy i drobni handlarze oferują także wysyłkę kurierem. W ofercie ziemniaki,

marchew, pomidory, włoszczyzna, jabłka, wiśnie, gruszki czy świeża mięta, ale też miody, jaja, wędliny.

Internetowe bazarki rosną ostatnio szybko. Do jednej z utworzonych w lutym facebookowych lokalnych grup z zachodniopomorskiego zapisało się już ponad 10 tys. ludzi. Wiele jest takich liczących po kilka tysięcy osób. Wzmógł się ruch panuje w grupach i na portalach, które działają już od dłuższego czasu. Żabi skok wykonał portal wirtualnyrolnik.pl, internetowy targ, na którym swoje produkty wystawiają producenci. W trakcie lockdownu zanotował wzrost sprzedaży o 300 proc. „W dobie sporych obostrzeń narzuconych na sklepy zakupy spożywcze on-line były dla wielu Polaków prawdziwym wybawieniem – mówił »Pulsowi Biznesu« Andrej Modic, prezes i założyciel Lokalnego Rolnika. – Kupowali klienci, którzy są

z nami od dawna, pojawiło się spore grono nowych osób, wrócili także starzy klienci, którzy przez jakiś czas przestali zamawiać jedzenie na naszym portalu”.

STRACH PRZED OBCYM

Te wyniki to w dużej mierze efekt wzrostu całego sektora e-handlu. Ze względów bezpieczeństwa otworzyliśmy się na zakupy przez Internet, a wiele osób przebywających na kwarantannie było lub wciąż jest skazanych wyłączenie na sklepy oferujące dostawę pod drzwi. Zaznacza się jednak jeszcze jeden trend. Na dokładne wyliczenia zapewne dopiero przyjdzie czas, jednak kilka niezależnych od siebie badań pokazuje, że w czasie pandemii więcej osób zwraca uwagę na pochodzenie produktów. I chętniej sięga po te lokalne.

O zwyczaje zakupowe zapytano Polaków już w marcu (o pierwszym przypadku zakażenia w naszym kraju poinformowano 4 marca) w badaniu ARC Rynek i Opinia oraz Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Przeprowadzono je na próbie reprezentatywnej dla ludności Polski w wieku 18–65 lat. Co piąta osoba deklarowała, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni częściej kupowała żywność wyprodukowaną w Polsce.

Badanie Mindshare Polska z czerwca „Wpływ koronawirusa na styl życia Polaków” pokazało utrzymywanie się tego trendu. 35 proc. osób wskazało, że w wyniku pandemii zaczęło częściej kupować produkty polskiego pochodzenia. Większość z tych, którzy zaczęli częściej kupować polskie produkty (57 proc.), deklaruje, że ten „nowy” zwyczaj pozostanie w ich codziennym życiu na stałe.

Chciałoby się tu ukuć teorię o wzroście patriotyzmu gospodarczego Polaków, ale powody są dużo bardziej prozaiczne. – Zawsze, kiedy pojawia się jakieś zagrożenie społeczne, to niesie ze sobą także coś takiego jak strach przed obcym. Szukamy wtedy produktów lokalnych – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Szymon Sikorski, prezes agencji PR Publicon z Wrocławia. Uważamy je bowiem za bezpieczniejsze. W sytuacji, gdy 64 proc. osób obawia się, że świeża żywność może być źródłem kontaktu z wirusem SARS-CoV-2, a prawie 75 proc. sądzi, że takim źródłem może być opakowanie (badanie Wydziału Nauk o Zdrowiu Warszawskiego

Uniwersytetu Medycznego oraz agencji PR Hub z kwietnia), większe zaufanie wzbudzają produkty, które przeszły przez mniej rąk i nie przejechały przez pół świata.

Jak czytamy w informacji firmy doradczycy Deloitte, która w czerwcu także przyjrzała się preferencjom zakupowym Polaków, za bezpieczeństwo jesteśmy w stanie więcej zapłacić. – Już przed pandemią wielu Polaków deklarowało, że próbują wybierać produkty z regionu, w którym mieszkają. Teraz widać to jeszcze wyraźniej – 53 proc. Polaków jest gotowych kupić produkty lokalne, nawet jeśli w ofercie sklepu znajdują się tańsze, zagraniczne. Ten trend będzie nabierał coraz większego znaczenia i będzie coraz silniejszy, a im krótsza ścieżka, którą przebył produkt, zanim trafił na półkę, tym będzie on dla nas atrakcyjniejszy – uważa Michał Pieprzny, lider branży Consumer w Polsce, partner Deloitte.

POLAK NIEWYCHOWANY

Polska żywność ma dobry PR, uchodzi (i słusznie) za smaczną i naturalną, a że coraz częściej sięgamy po to, co ekologiczne i zdrowe, mimo że droższe, to i po pandemii będzie cieszyć się rosnącym zainteresowaniem. Jest jednak jeszcze wiele do zrobienia, by przekonać Polaków, że warto sprawdzać pochodzenie produktów nie tylko w dziale spożywczym i że wspieranie firm płacących podatki w Polsce po prostu opłaca się nam wszystkim.

Firma audytorsko-doradczą Grant Thornton szacuje, że z każdej złotówki wydanej na towar wykonany w Polsce przez polską firmę zostaje w kraju 79 gr. W przypadku towarów importowanych jest to 25 gr. Grant Thornton wylicza, że gdyby polscy konsumenci zwiększyli wydatki na krajowe produkty tylko o 1 proc., to w naszej gospodarce zostałoby rocznie 6,6 mld zł więcej.

– Na Zachodzie patriotyzm gospodarczy wspiera się silnie od lat. Mocno mnie to uderzyło, kiedy kilka lat temu byłem w Australii. Tam pierwszym przekazem na każdym plakacie, każdym billboardzie jest „Made in Australia”. I jest to absolutnie najważniejsza informacja każdej reklamy, a cała reszta jest rzeczą drugorzędą – mówi Szymon Sikorski. Polska jest na początku tej drogi. – Często w aplikacji Pola pozwalającej po zeskanowaniu kodu kreskowego rozpoznać

produkty polskich firm zwracaliśmy uwagę, że świadomość konsumentów w Polsce jest bardzo niska. Do tego stopnia, że z braku wiedzy często wybierają zagraniczne produkty, mimo że są one gorszej jakości niż te polskie – mówi Maciej Dulak z Klubu Jagiellońskiego.

– W Polsce temat patriotyzmu gospodarczego do niedawna w zasadzie w ogóle nie istniał. Myślę, że zaczęło się o nim mówić dopiero w okolicach 2015 lub 2016 r. Wtedy też zaczęli rosnąć nasi narodowi czempioni jak 4F czy CD Projekt, którzy dziś są światowymi markami. A konsumentów trzeba „wychowywać” już od najmłodszych lat – dodaje.

Trudno o wychowanych konsumentów, skoro jeszcze kilka lat temu trzeba było kampanii Klubu Jagiellońskiego, by wprowadzić polskie masło do Sejmu, a wodę polskiego producenta do pociągów państwowego przewoźnika. – Uważam, że spółki Skarbu Państwa powinny być zobligowane do tego, aby korzystać z polskich produktów i promować je wśród konsumentów. W momencie, kiedy obywatel wsiada do pociągu państwowego przewoźnika, w którym serwuje się mu posiłki, a państwowa spółka podaje wodę od zagranicznego koncernu, to jest to trochę nie na miejscu – mówi Maciej Dulak. – Robiliśmy analizy we Francji, we Włoszech, w Niemczech i nie spotkaliśmy podobnego przypadku – dodaje.

Maciej Dulak zaznacza, że zadaniem spółek Skarbu Państwa jest nie tylko czerpanie zysku, co jest naturalną konsekwencją prowadzenia działalności gospodarczej. Podkreśla, że pełnią one także ważne funkcje społeczne. I choć nauczanie patriotyzmu gospodarczego nie jest najważniejszą z nich, to chyba najprostszą do zrobienia – poprzez wspieranie i promowanie polskich produktów.

Przykładem dobrych praktyk w tym zakresie może być Orlen, który ze współpracy z polskimi firmami uczynił jeden z filarów marketingu, pokazując w reklamach swoich dostawców, np. producentów soków ze Śmiłowic, pieczywa z Legionowa czy sękacza wypiekanego w podwarszawskich Markach. „Wybierając Orlen, wybierasz ich. Pracujących już wtedy, kiedy ty jeszcze śpisz – niezależnie od pogody, dnia, pory roku. Dbających o jakość swoich produktów” – mówi lektor, gdy na ekranie widzimy lokalnych dostawców. – Widać, że w Orlenie mają marketingowego nosa. Raz, że

taki marketing podkreślający lokalność produktów jest w czasie pandemii po prostu skuteczny, dwa, że uczy ludzi patriotyzmu gospodarczego. A do tego robią to w sposób fajny, nienachalny, bez zbędnego zadęcia – mówi Szymon Sikorski z agencji Publicicon.

Za sprawą PGE Polskiej Grupy Energetycznej narodziła się kampania „Polskie – kupuj to!”. Zaczęło się od tego, że pracownicy grupy (a jest ich ok. 42 tys.) za pośrednictwem wewnętrznych kanałów komunikacji zaczęli polecać sobie polskie produkty, by wesprzeć rodzime firmy w trakcie pandemii. Szybko zaczęto dzielić się referencjami usług czy miejsc na weekendowy wypoczynek. Powstał internetowy blog, a całą akcję wsparła grupa PGE i przekształciła ją w kampanię ogólnopolską. W połowie lipca na kanwie akcji Ministerstwa Rolnictwa #KupujŚwiadomie #ProduktPolski, przedstawiciele Poczty Polskiej, Polskich Kolei Państwowych, PKP Polskich Linii Kolejowych SA, PKP InterCity, Wars SA, PKS Polonus Warszawa oraz KOWR podpisali list intencyjny. Spółki zobowiązały się m.in. do podejmowania działań mających na celu zwiększanie świadomości społeczeństwa w zakresie wyszukiwania i wyboru produktów spożywczych wytworzonych w Polsce.

JAK TRWOGA, TO DO SĄSIADA

– Zachodnie gospodarki uczą się kapitalizmu od wielu lat, my dopiero je gonimy. Po tym, jak w latach 90. zachłystaliśmy się globalizmem i światowymi brandami, zaczynamy dostrzegać i doceniać własne marki. To naturalny etap rozwoju, a czas pandemii to dobry moment, by ten proces przyspieszyć – uważa Szymon Sikorski.

Maciej Dulak z Klubu Jagiellońskiego zwraca uwagę jeszcze na jedną kwestię. – Sytuacja kryzysowa, którą jest pandemia koronawirusa, pokazała, że wspieranie rodzimej wewnętrznej gospodarki okazuje się być kluczowe w momentach, gdy potrzebna jest pomoc i kooperacja społeczna między biznesem, obywatelami a rządem. Kiedy szpitale i inne placówki czy służby potrzebowały wsparcia, otrzymywały je głównie od polskich firm – mówi Dulak. – W tej nadzwyczajnej sytuacji wspieranie polskich firm okazało się słusznym kierunkiem i mam nadzieję, że patriotyzm gospodarczy będzie w Polsce coraz bardziej zyskiwał na znaczeniu.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

DeGAZPROMi-
zacja Europy?

Trudno powiedzieć, co bardziej zaszkodziło Gazpromowi – beczere-monialne używanie go przez Kreml do szantażowania państw Europy Wschodniej i Środkowej, obcesowość w łamaniu prawa UE i unijnej solidarności energetycznej czy atrakcyjniejsze warunki oferowane przez dostawców gazu LNG – a może wszystkie te i jeszcze inne czynniki po trosze? Dość, że Gazprom powoli traci europejski rynek.

Jak napisała „Rzeczpospolita”, ostatnio najbardziej, bo aż ośmiokrotnie, zredukowała import gazu z Rosji Litwa, kilkakrotnie mniej sprowadziły go stamtąd także Łotwa i Estonia, a Czechy i Wielka Brytania zmniejszyły dostawy Gazpromu o połowę, niedawno w zasadzie niemal całkowicie zrezygnowała z rosyjskiego gazu Turcja, a Ukraina uczyniła to już pięć lat temu. Natomiast akurat Polska w ostatnim czasie nieco zwiększyła ilość gazu kupowanego od Rosjan, lecz już wkrótce, bo w 2022 r. – zgodnie z deklaracją PGNiG – zamierza nie przedłużać kontraktu z Gazpromem i być może w ogóle przestać sprowadzać gaz z Rosji.

Wsumie jeszcze w 2000 r. Europa kupowała od Rosji prawie połowę zużywanego przez siebie gazu. Od tamtej pory udział błękitnego paliwa z Gazpromu w bilansie Europy raz malał (w 2010 r. spadł do 33 proc.), innym razem rósł, wszelako od ubiegłego roku już tylko się kurczy – z niemal 40 proc. do – ostatnio – niecałych 28 proc. Nietrudno się domyślić, że na miejsce Rosjan

bez pardonu wchodzi do Europy właśnie Amerykanie i Katarczyści, windując udział swego gazu LNG w bilansie energetycznym naszego kontynentu; udział i USA, i Kataru wynosi już po ok. 6 proc.

A teraz każdy sam może sobie odpowiedzieć na pytanie, co w tym wszystkim cieszy go bardziej. Czy to, że wraz z wypychaniem Gazpromu z Europy, wraz z pozbawianiem go pozycji dostawcy dominującego, rośnie bezpieczeństwo wszystkich użytkowników gazu, a więc także nasze, czy to, że wskutek rosnącej konkurencji na rynku gazu spadają jego ceny, a więc i my możemy kupować gaz taniej (oczywiście, pod warunkiem że nie mamy nadmiernie zmonopolizowanego rynku dostaw gazu we własnym kraju)?

No i warto byłoby pilnować, żeby z jednego uzależnienia – od Rosji – nie popaść w drugie i jak najdłużej czerpać korzyści z zabiegania o nasze pieniądze przez różnych konkurujących ze sobą gazowników. I nie ustawać w staraniach o to, by nie trafić na powrót w gazowe imadło Kremla, który niejednemu raz dawał dowód, jak sprawnie potrafi wychodzić z opresji i na powrót zakładać gazowe chomąto tym, których sobie upatrzył. Gazociągi Nord Stream są tego koronnym dowodem, a kalkulacja, że otrucie Aleksieja Nawalnego zmiany – na radykalnie niekorzystne dla Kremla – stanowisko Niemiec w sprawie dokończenia budowy Nord Stream 2, szybko może okazać się płonna. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Miejskie
pięknoduchy

Piątka dla zwierząt” jest skierowana do klienteli, którą pogardliwie określa się po angielsku jako snow-flakes: rozemocjonowane, nieposługujące się rozumem ani zdrowym rozsądkiem, przeczulone wielkomiejskie pięknoduchy. Taki pięknoduch patrzy na swojego wypieszczanego kotka śpiącego na kanapie, potem ogląda kolejny ustawiony lub wprost sfalszowany film przedstawiający rzekome okrucieństwa na fermie norek albo w dowolnym gospodarstwie hodowlanym i się w nim gotuje. Jak to jest, że te śliczne norki albo nutrie, te kochane świnki, te krówki o tęsknych oczkach nie mają tak dobrze jak jego uwielbiany kotek?! To skandal, trzeba z tym skończyć!

Pięknoduch trząsie się z oburzenia na myśl o tym, że z tych cudnych futrzaków będzie się zdejmować skórę, i uważa to za największe możliwe barbarzyństwo. Z trudnością jest w stanie uwierzyć, że skóry nie zdejmują się na żywca, tylko zwierzęta są najpierw usypiane. W jego oczach to nic nie zmienia. Jakoś jednak umyka mu, że właśnie zjadł kotleta ze świnki, którą zabito w rzeźni. Jest jak Kinga Rusin, która była przekonana, że drewno bierze się ze sklepu. On sądzi, że mięsko bierze się ze sklepu.

Animalsi są bardzo sprytni. Wykorzystują ludzką psychikę, która każe uznawać, że futrzane zwierzątko jest najmiłsze.

Dlatego przecież więcej ludzi ma w domach kotka czy pieszka niż węży. I dlatego hodowla na futra idzie na pierwszy ogień. Nie mamy jednak złudzeń – PiS swoim projektem uruchamia również pochyłą. Następne w kolejce są hodowle zwierząt na rzeź. Tutaj nie ma granicy. Humanizowanie zwierząt musi ostatecznie prowadzić do wniosku, że zabijając ich po prostu nie wolno – wszystko jedno czy na skóry, czy na mięso, czy w jakimkolwiek innym celu.

Hodowla na futra idzie na pierwszy ogień. Następne w kolejce są hodowle zwierząt na rzeź

Taka jest logiczna konsekwencja lewicowego prozwierzęcego szaleństwa i koncepcji „praw zwierząt”. Czy prezes PiS tego nie rozumie? Czy też w tej sprawie utracił jasność widzenia? A może taktyczne racje partyjne – próba pozyskania młodych miejskich wyborców – są dla niego ważniejsze niż strategiczne konsekwencje jego działań? Trudno powiedzieć. Lecz jeśli osoby pokroju Sylwii Spurek ze swoim prozwierzęcym fanatyzmem odniosą ostatecznie sukces, to będzie temu współwinny PiS. ©©

Konstytucyjny limit trzech piątych długu do PKB należy przemyśleć

W ostatnich latach wiele mówiono o polskiej konstytucji. Przeważnie w kontekście rzekomego jej łamania. Rzekomego, bo w praktyce nic takiego nie miało miejsca. Tymczasem polska ustawa zasadnicza wymaga zmian. I to w kwestiach, które z politycznym sporem mają niewiele wspólnego. Od marca praktycznie cały



Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

świat walczy z pandemią koronawirusa. Jej skutki odczuwa także gospodarka, trudno znaleźć na globie państwo, które nie doznałoby znacznego spadku PKB. Podobna sytuacja dotknęła także nasz kraj. Tylko dzięki bardzo szybkiej reakcji i dobrej współpracy najważniejszych instytucji w państwie, by wymienić tu w pierwszym rzędzie: prezydenta, rząd i Narodowy Bank Polski, udało się uniknąć zupełnej katastrofy. Aby ratować przedsiębiorstwa przed upadkiem, a pracowników przed utratą zatrudnienia, trzeba było sięgnąć głęboko do budżetowej kieszeni. Stąd skokowy wzrost deficytu i długu publicznego. Słusznie jednak zwraca uwagę np. wicepremier Emilewicz,

że gdyby nie akcja ratunkowa ze strony państwa koszt dla gospodarki byłby niepomiarowo większy. Niemniej zadłużenie wzrosło, i to na tyle, by niebezpiecznie zbliżyć się do konstytucyjnego progu 60 proc. w relacji do PKB.

I tu wracamy do zasygnalizowanej na wstępie kwestii. Prógów, wpisany do ustawy zasadniczej, miał chronić kolejne rządy przed zaciąganiem zbędnych zobowiązań i w ten sposób przed wpędzeniem państwa w poważne fiskalne kłopoty. I trzeba przyznać, że to w dużej mierze się udało. Nasze zadłużenie jest na poziomie optymalnym, a na tle wielu krajów UE wyglądamy wręcz wzorowo. Tyle że wysokość długu to nie jedyny parametr, który powinien być brany pod uwagę, jeśli chodzi o ocenę stanu finansów państwa. Szczególnie zaś w obecnych warunkowaniach, w których priorytetem powinno być przywrócenie stabilizacji makroekonomicznej i powrót na ścieżkę znacznego wzrostu gospodarczego.

Obecnie jednak rząd ma niejako związane ręce. Jedyne, co da się w tej sytuacji zrobić, to księgowe sztuczki umożliwiające faktyczne zwiększanie wydatków publicznych bez formalnego zwiększania długu publicznego. Nie o to jednak chodzi, aby bawić się w takie triki. Stąd warto zadać pytanie, czy owego 60-procentowego progu przynajmniej na jakiś okres nie zawiesić. Od dawna powtarzam, że polskie finanse publiczne nie potrzebują sztywnych i niezmiennych reguł, tylko elastyczności. Tę jednak trzeba rozumieć nie jako narzędzie do zwiększania wydatków socjalnych, lecz sposobność do reagowania na bieżącą sytuację makroekonomiczną. Stąd wskazana jest poważna dyskusja nad zmianą konstytucji i takim rozłożeniem zależności pomiędzy

długiem publicznym a wzrostem gospodarczym, aby można było realizować kluczowe cele rozwojowe naszego kraju. Nad wszystkim zaś czuwać powinna niezależna i profesjonalna Rada Polityki Fiskalnej, działająca na wzór Rady Polityki Pieniężnej.

Odwagę podjęcia tematu zmiany konstytucji w odniesieniu do wysokości limitu długu miał ostatnio wiceminister finansów Piotr Patkowski. W jednym z wywiadów słusznie wskazał, że „W latach 90. absolutnie nikt nie był w stanie przewidzieć, co się wydarzy w roku 2010, podczas poprzedniego światowego kryzysu finansowego, który zmienił całkowicie myślenie ekonomiczne. Ani też tego, co będzie się dziać w 2020 r. i kolejnej fali zmian doktryn ekonomii i polityki gospodarczej”. Warto docenić te słowa, gdyż po pierwsze, to trafna diagnoza, a po drugie, są wypowiedziane przez urzędnika bardzo ostro atakowanego przez różne ośrodki tylko za to, że ich zdaniem ma mniej lat niż powinna mieć osoba pełniąca tak ważną funkcję w ministerstwie (Patkowski ma 29 lat). Wiceminister ma stuprocentową rację i należy mu się uznanie za to, że powiedział rzecz niepopularną, ale prawdziwą. Najpewniej za tę odwagę spadnie na niego kolejna fala ataków. Nie ma się co nimi za bardzo przejmować. A o zmianie konstytucji także w odniesieniu do finansów publicznych warto dyskutować, i wiek tego, kto taką tezę stawia, nie ma tu nic do rzeczy!

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA

TEST „DO RZECZY”: SONY XPERIA 1 II

Piękny ekran OLED o kinowych proporcjach, łączność 5G, minimalistyczne wzornictwo, dobry aparat fotograficzny oraz wydajny procesor – to największe zalety najlepszego smartfona japońskiej firmy Sony dostępnego na polskim rynku. Kanciasta minimalistyczna obudowa ze szkła oraz z metalu pozwala Japończykom wyróżnić się na tle iPhone’ów, samsungów, huaweiów etc. Flagowiec Sony wygląda elegancko i solidnie, a przy okazji spełnia normę IP65/68, co oznacza, że jest wodoodporny, ale bezpośrednio tuż nad basenem lepiej z nim nie biegać. Zwłaszcza że szklano-metalowa obudowa jest dosyć śliska i telefon potrafi się zsunąć zarówno ze stacji do bezprzewodowego ładowania, jak i z pozostawionego na biurku kalendarza.

6,5-calowy wyświetlacz HDR OLED ma proporcje 21:9 i rozdzielczość 3840 x 1644 (nazywaną przez marketingowców Sony rozdzielczością 4K). Dzięki 643 pikselom na cal zarówno poziom szczegółowości obrazu, jak i jakość barw robią doskonałe wrażenie, zwłaszcza po przełączeniu się z trybu standardowego na tzw. tryb twórcy. Szkoda jednak, że częstotliwość odświeżania to jedynie 60, a nie 90 lub 120 Hz.

Jak na flagowca przystało, Sony Xperia 1 II jest też wyposażony w wydajny procesor Snapdragon 865, a także 8 GB pamięci RAM oraz 256 GB

pamięci na zdjęcia, muzykę czy inne pliki – dodatkowo można ją rozszerzyć pamięcią karty microSD o pojemności do 1 TB.

Aparat fotograficzny pozwala na robienie bardzo dobrych zdjęć i filmów, choć z pewnością nie jest najlepszy wśród tegorocznych flagowców. Do wyboru jest jeden z trzech obiektywów Zeissa: standardowy (12 MP, f/1.7), teleobiektyw (f/2.4) oraz obiektyw szerokokątny (f/2.2). Aby uzyskać fantastyczne rezultaty, warto trzymać się obiektywu głównego, a także zamiast zwykłej aplikacji do robienia zdjęć użyć aplikacji Photo Pro (jest automatycznie preinstalowana we wszystkich egzemplarzach) i przejść na ustawienia manualne, które pozwalają z Xperii 1 II zrobić miniaturową lustrzankę. Dzięki temu Sony pozwala kreatywnym użytkownikom nie tylko na robienie poprawnych zdjęć z jak największą ilością detali (na co stawiają również wszyscy główni konkurenci z branży), lecz także na bardzo ciekawe fotograficzne eksperymenty.

Na pochwałę zasługują wbudowane głośniczki stereo, które emitują zaskakująco dobry dźwięk. Fajnie też, że Sony w swoim flagowcu przywróciło gniazdo minijack, dzięki czemu można podłączyć do niego tradycyjne słuchawki bez konieczności stosowania uciążliwych przejściówek. Dużym plusem jest za to oddzielny przycisk do robienia zdjęć.



Bateria o pojemności 4000 mAh wystarczy na jeden dzień zwyczajnej pracy bez konieczności szukania gniazdka lub powerbanka. Minusy? Umieszczony z boku obudowy czynniki papilarnych mózgów działać nieco szybciej. Wadą jest też wysoka cena testowanego modelu. Mimo tych minusów Sony Xperia 1 II to jeden z najlepszych smartfonów 2020 r. Wiedzą o tym japońscy marketingowcy, którzy żądają za niego 4959 zł. © ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GITARA DLA TECHNOMANIAKÓW

Circle Guitar to gadżet dla umuzykalnionych miłośników gadżetów. Gitara uzbrojona w specjalny silnik z sekwencerem potrafi uderzać w struny 32 tys. razy na minutę. A do tego struny mogą być uderzane z różną siłą. Do jesienowego korpusu gitary przymocowane jest koło ze 128 otworami, do których montuje się specjalną kostkę. Wewnątrz ukryto zaś mnóstwo elektroniki, dzięki której grający gadżet można odpowiednio programować. Anthony Dickens, twórca Circle Guitar, twierdzi, że dzięki niej można tworzyć dźwięki i rytmy, które nie są możliwe do uzyskania za pomocą żadnej innej gitary elektrycznej. Dzięki przetwornikowi heksafonicznemu każda struna ma osobne wyjście, co pozwala wzmacniać lub wyciszać konkretne struny.

INTELIгентNA MASECZKA

Południowokoreański koncern LG zaprezentował przenośny oczyszczacz powietrza w formie maseczki zakładanej na twarz. PuriCare Wearable Air Purifier ma dwa wymienne filtry HEPA oraz miniaturowe wentylatory na baterie, które mają trzy stopnie regulacji obrotów i potrafią automatycznie dostosowywać swoją pracę do wdechów oraz wydechów użytkownika. Akumulator o pojemności 820 mAh wystarczy na osiem godzin pracy w trybie ekonomicznym i dwie godziny w trybie intensywnego oczyszczania. Maseczka ma trafić do sprzedaży jeszcze w tym roku. Na razie nie wiadomo jednak, ile trzeba będzie za nią zapłacić.

© © **Jacek Przybylski**



Ministerstwo Klimatu zakończyło etap konsultacji projektu Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. – poinformował minister klimatu Michał Kurtyka podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu, przedstawiając najważniejsze założenia projektu. O wyzwaniach i szansach, które w związku z jego realizacją staną przed polską energetyką, dyskutowali uczestnicy spotkania.

STRUMIEŃ PIENIĘDZY

– Polityka energetyczna Polski do 2040 r. jest kompasem dla przedsiębiorców, samorządów i obywateli w zakresie transformacji polskiej gospodarki w kierunku niskoemisyjnym – mówił minister klimatu.

Jakie są najważniejsze założenia projektu? Sprawiedliwa transformacja, jeden z filarów zmian, oznacza przeznaczenie w ciągu najbliższej dekady 60 mld zł dla pięciu regionów Polski uzależnionych od wydobywania węgla.

Drugim kluczowym elementem programu ma być budowa równoległego systemu energetycznego, który będzie porównywalny pod względem mocy zainstalowanych do obecnie istniejącego. – Stoimy przed ogromną transformacją, która w ciągu najbliższych 10 lat spowoduje, że jedna megawatogodzina na trzy wyprodukowanej energii będzie pochodziła z jednostek odnawialnych – zapowiedział minister. Planowane jest powstanie morskich farm wiatrowych o mocy do 11 GW oraz elektrowni atomowej. Zdaniem ministra transformacji polskiej energetyki będzie oznaczać utworzenie 300 tys. wysokopłatnych miejsc pracy.

Ostatni kluczowy element projektu, dobra jakość powietrza, to w praktyce zaprzesta-



Podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu Prezes PGNiG Jerzy Kwieciński odebrał nagrodę dla Firmy Roku

FOT. FORUM EKONOMICZNE

Rewolucja w energetyce

Sprawiedliwa transformacja, budowa równoległego, zeroemisyjnego systemu energetycznego oraz dobra jakość powietrza to trzy filary Polityki Energetycznej dla Polski do roku 2040 – długoterminowej strategii rządu dla energetyki

nie wykorzystywania węgla do ogrzewania domów oraz elektryfikacja transportu.

PALIWO PRZEJŚCIOWE

Jak na ten przewrót w energetyce są przygotowane polskie spółki energetyczne?

Jak podkreślił prezes PGNiG Jerzy Kwieciński, 30 proc. największego budżetu w historii Unii Europejskiej ma być przeznaczony na politykę klimatyczną. – To

olbrzymia szansa. Mamy potencjał, by ją wykorzystać – powiedział. PGNiG, które obecnie pod względem kapitalizacji jest drugą firmą na warszawskim parkiecie, w II kwartale tego roku odnotowało najlepsze wyniki w swojej historii.

Akcje firmy idą w górę, tak jak idzie w górę znaczenie gazu jako surowca energetycznego. Zdaniem prezesa Kwiecińskiego nie uda się bowiem przeprowadzić sku-

tecznie procesu transformacji energetycznej bez gazu ziemnego jako paliwa przejściowego. PGNiG chce uzyskiwać „błękitne paliwo” również z nowych źródeł – zamierza inwestować w pozyskiwanie biogazu, a także w technologie wodorowe.

ROZPROSZENI PRODUCENCI

W transformacji energetycznej uczestniczyć będą nie tylko wielkie firmy, lecz także mali lokalni producenci energii.

– Energetyka rozproszona, opierająca się na wykorzystywaniu lokalnie dostępnych zasobów i źródeł, zwłaszcza odnawialnych źródeł energii, oraz rozwijaniu lokalnych rynków energii, może przyczynić się do zwiększania bezpieczeństwa dostaw energii i obniżania jej kosztów, poprawy stanu środowiska oraz ożywiania lokalnej gospodarki – podkreśla Robert Perkowski, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych PGNiG, który brał udział w Karpaczu w debacie o energetyce rozproszonej.

Na razie lokalne inicjatywy energetyczne, takie jak klastry energii, nie rozwijają się w szybkim tempie, ale zdaniem uczestników dyskusji w niedalekiej przyszłości mogą się stać motorem całej transformacji energetycznej. Sam klastrer to rodzaj platformy, która pozwala na równoważenie produkcji i konsumpcji energii na obszarze kilku gmin albo powiatu. Dzisiaj w kraju istnieje ponad 60 takich struktur, a jedna z nich, Zgorzelecki Klastrer Energii (ZKlastrer), buduje największą farmę fotowoltaiczną w Polsce. Żeby jednak klastry mogły się rozwijać, trzeba również myśleć o magazynowaniu energii. Z tym problemem będzie się musiała zmierzyć jednak cała energetyka.

Buty sportowe, złoto mody



Joanna Bojańczyk

Kupują dwie pary: jedną, żeby nosić, drugą do gablotki, żeby pochwalić się przed znajomymi. Za buty sportowe gotowi są zapłacić kilkanaście tysięcy euro

Entuzjazm był natchmiastowy. Kilka godzin po otwarciu, 25 czerwca o godz. 13, pod naporem klientów, padła ministrona, na której można było kupić premierową wersję sportowych butów Dior Air Jordan 1 High OG. Ich premiera prasowa odbyła się pół roku wcześniej, w grudniu ubiegłego roku w Miami, sprzedaż miała rozpocząć się w kwietniu, lecz koronawirus przesunął ją o dwa miesiące.

Zapisy na limitowaną wersję zamknięto po kilku godzinach, bo buty wyprzedano. Model wyceniony na 2,2 tys. euro powstał z okazji 35. rocznicy marki Air Jordan Nike oraz pierwszej kolekcji męskiej Dior Homme we współpracy z marką Jordan w Stanach Zjednoczonych. Buty z białej i szarej skóry, z niebieską przezroczystą podeszwą mają na boku cholewki firmowy przecinek Nike spleciony z monogramem Diora.

„To podróż w lata 60. – powiedział magazynowi WWD Kim Jones, dyrektor artystyczny marki Nike. – Współpraca Diora i Nike to alians najlepszych marek, symboli doskonałości w swojej dziedzinie.

Uwielbiamy łączyć różne światy, sport i elegancję. Teraz proponujemy coś naprawdę ekscytującego i całkiem nowego”.

Można by się zastanowić, co jest tu rzeczywiście ekscytującego i całkiem nowego. Buty jak buty... Ale ci, którzy są w temacie, tak nie myślą. To eksperci wąskiej dziedziny, jaką jest sneakerologia – kolekcjonerstwo butów sportowych. Rządzą tu prawa rynku kolekcjonerów. Poluje się na krótkie serie, rzadkie okazy. Tylko kolekcjoner zrozumie innego kolekcjonera. Liczy się dobro rzadkie, choćby dla postronnego oka nic w nim nadzwyczajnego nie było. Jego wartość wynika z jego rzadkości. „Sneakerologia to subkultura, która narodziła się w Stanach Zjednoczonych w latach 80., wraz z eksplozją kultury hip-hopu i popularności koszykówki – pisze Paulina Witek-Młynarska w magazynie IgiMag.pl. – Swoje modele sneakersów mieli wtedy Michael Jordan i raperzy z Run-D.M.C. Ponad trzy dekady później kolejne air jordany czy superstary sprzedają się coraz lepiej, wybór butów jest niemal nieograniczony,

a sneakerheadzi na całym świecie tworzą wielotysięczną społeczność”.

CENY EKSPLODOWAŁY

Jeszcze jakieś 20 lat temu takie adidas można było znaleźć w sportowych szatniach jako niezbędne akcesorium zawodników. Dzisiaj stały się masową modą, nosi je cały świat, od dzieci do starszków, którzy odkryli, jak są wygodne. Nowe modele są kołem napędowym branży, a fanów, znawców i kolekcjonerów nie jest w stanie zniechęcić. Nawet szalona cena.

Najdroższe buty świata, jak podaje StockX, platforma sprzedażowa modeli obuwia sportowego, kosztują 29 977 euro. To Nike Air Mag Back to the Future BTTF. Nosił je Marty McFly w serialu „Powrót do przyszłości” w roku 1989. Wyprodukowano tylko 89 egzemplarzy, każdy wyposażony w baterię LED-ową, działającą pięć godzin. 30 lat temu to był cud techniki! Dzisiaj te buty są Świętym Graalem kolekcjonerów – wszyscy marzą, żeby je zdobyć. Na drugiej pozycji plasuje się model Adidasu Human Race NMD Pharell x Cha-

nel, obuwie stworzone w roku 2017 przez Pharell Williamsa dla domu mody Chanel. Były one wielkim przebojem sklepu Colette w Paryżu, który od początku lat 90. przez ponad 20 lat był mekką fashion victims z całego świata. Dwa lata temu go zamknięto. Pielgrzymowano tam, aby się dowiedzieć (i kupić wszystko), co aktualnie należało nosić, jeść, czytać.



wzrastała o 5 proc. rocznie. A ceny dosłownie eksplodowały. Przełomu dokonał raper Kanye West, który w roku 2015 wypuścił kolekcję ubrań i butów „Yeezy”. Buty „Yeezy” jednym ruchem podniosły poprzeczkę cen. Kosztowały między 250 a 350 euro, a i tak były „nie do zdobycia”.

ARTYKUŁ NIEDOSTĘPNY

Marketing współczesnych dóbr tzw. luksusowych – trudno uwierzyć, że są nimi zwykłe buty do gry w koszykówkę – wypracował nowe techniki. Polegają one na wytworzeniu wokół produktu atmosfery niedostępności, podgrzewaniu jej, aż zdobędzie grono pragnących to dobro za wszelką cenę zdobyć. Ta sztuczka jest znana. Stosowała ją umiejętnie firma Apple, zapowiadając z wyprzedzeniem datę wypuszczenia kolejnego modelu iPhone’a, dostępnego (rzekomo) w niewielkim nakładzie i niewielkiej liczbie sklepów.

Prognoza była samospełniająca się: kolejki stały całą noc, wierząc, że znajdą się w gronie wybranych, którzy telefon zdobyli. Teraz również została użyta. Wtajemniczeni szeptali, że aby zdobyć jeden z niewielu egzemplarzy Air Jordan Diod, nie wystarczyło wydać 2 tys. euro – należało być dobrym klientem Diora – takim, który w ostatnim roku został w sklepie 30 tys. euro.

W Polsce przykład tego zjawiska mieliśmy w roku 2016, kiedy przed warszawskim sklepem z obuwem sportowym przez tydzień stała kolejka oczekująca na dostawę butów „Yeezy” za-

projektowanych przez rapera Kanye Westa. Portal Nasze Miasto donosił: „Do sklepu przy ulicy Chmielnej 20 trafiły 33 pary butów modelu Yeezy Boost. Każda z nich kosztuje 850 zł. Chętnych do zakupu butów nie brakuje. Wszystko odbywa się na zasadach tzw. kempingu, czyli obozu utworzonego przed wejściem do sklepu. Żeby kupić buty, trzeba zapisać się na specjalną listę, którą tworzą pracownicy sklepu”.

Do końca nie wiadomo, czy cała akcja nie była zorganizowana przez firmę Adidas w celu podkręcenia emocji i sprzedaży, czy też kolejka uformowała się spontanicznie z fanów gotowych koczować tydzień przed sklepem, żeby zyskać możliwość wydania kilkuset złotych.

Kim są ci, którzy gotowi są wydać kilkaset, nawet kilka tysięcy euro po to, aby pochwalić się „jedynym” egzemplarzem? Samuel Mantelet, ekspert tematu, współzałożyciel stowarzyszenia Sneakers Empire, twierdzi, że klienci dzielą się na trzy grupy. Pierwsza to zwykli konsumenci, którzy akt nabywania traktują jako miłą przerwę w codzienności. Druga grupa to kolekcjonerzy, którzy kupują dwie pary, jedną żeby nosić, drugą, żeby jak trofeum włożyć do gablotki i chwalić się przed znajomymi. Trzecia grupa to handlarze, których jedynym celem jest zbyć zyskiem każdy nowo nabyty egzemplarz. To już niezły biznes, a buty z limitowanej serii są niezłą inwestycją. Podobno czasem lepszą niż nieruchomości czy giełda... Jednak o handlarzach, zwanych sneakerheadami, kolekcjonerzy nie mają dobrego zdania. Twierdzą, że interesuje ich tylko cena. A dla prawdziwego miłośnika liczy się historia...

Żeby mieć gwarancję udanych biznesów, należy się

zarejestrować na aplikacji Nike Sneakers.

W każdą sobotę o godz. 9 zaczyna się tam loteria. W ciągu trzech minut należy wpisać nazwisko i otrzymuje się szansę wygrania „trofeum dnia”. Zwycięzca otrzymuje wiadomość. „Jestem na tej aplikacji od dwóch lat i udało mi się wygrać tylko jedną parę butów. To okrutne! – skarży się jeden z jej uczestników tygodnikowi »Paris Match«.

– Przeszła mi koło nosa wspaniała okazja: model Nike Off White. W sobotę chodził za 200 euro. A godzinę później na Instagramie, Facebooku czy StockX był już za 800 do 1000 euro”.

Kanadyjski biznesmen Miles Nadal kupił na aukcji w Sotheby’s w Nowym Jorku 99 par butów sportowych. Zapłacił 850 tys. dol. W tej setce znajdują się głównie buty Nike, dwie pary Nike Mag, futurystycznego modelu inspirowanego filmem „Powrót do przyszłości II”. Jedne z nich, wyprodukowane w roku 2016 w liczbie 89 egzemplarzy, oceniono na sumę między 50 a 70 tys. dol.

Mamy i krajowych sneakerfanów – tu sumy nie są aż tak zawrotne. Kilka, najwyżej kilkanaście tysięcy złotych.

„Teraz już nie trzeba przeglądać forów i koczować pod sklepem przez całą noc – mówi magazynowi Imago kolekcjoner Kamil Tomaszewski, który ma kolekcję liczącą ponad 500 par. – Jak ma się pieniądze, można kupić wszystko w Internecie. Są aplikacje pomagające w personalizacji butów czy wyszukujące rzadkie modele na aukcjach. Dużo łatwiej jest kolekcjonować buty, więc coraz więcej osób w sieci chce zarobić na tej pasji. Bez uczestnictwa w społeczności sneakerheadów, która ma swój kodeks postępowania, zakazujący m.in. spekulacji cenami sneakersów”.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pole elekcyjne

RYS. PELCZ

Pole Elekcyjne na Woli

I RZECZYPOSPOLITA



FOT. WIKIPEDIA

i tego było nie dość, przebyli Wisłę po moście i zajęli błonia, rozbijając na niej po większej części namioty". Owe błonia leżały przy wsi Kamień (lub Kamion) na wschodnim brzegu Wisły; dziś to tereny Kamionka, części dzielnicy Praga-Północ, mniej więcej pomiędzy dzisiejszymi ulicami Żąbkowską i Podskarbińską.

Pole elekcyjne wyglądało, jak podaje Gloger, tak: „Tutaj otoczony był rowem i wałem równoległobok, do którego prowadziły trzy bramy podług głównych trzech prowincji Rzeczypospolitej i położenia ich geograficznego. Od zachodu wiodła brama dla Wielkopolski, od południa dla Małopolski, od wschodu dla Litwy z Białą Rusią. Ruś Czerwona z Podolem, Wołyniem i Ukrainą stawała razem z Małopolską”. Ten

czworokątny obóz dla szlachty dzielił się na dwie części – w mniejszej znajdowała się tzw. szopa, czyli drewniany budynek dla senatorów, czyli biskupów, wojewodów, kasztelanów i urzędników królewskich. Natomiast na zewnątrz, pod gołym niebem, zbierało się Koło Rycerskie, czyli wszyscy posłowie ziem Rzeczypospolitej. Natomiast zwykła szlachta stawała województwami, rozbijając namioty poza wałem, w miejscach wskazanych przez marszałków koronnych i litewskich.

Na króla głosowano prawdopodobnie kreskami. W dniu, w którym następowała rzeczywista elekcja, obie izby – senatorska i rycerska – gromadziły się pod gołym niebem obok szopy, natomiast szlachta stawała konno w polu dokoła okopu. Ten właśnie obraz owych niesamowitych szeregów konnych wojowników otaczających obie izby sejmu pokazał Bernardo Belotto Canaletto na swym sławnym obrazie „Elekcja Stanisława Augusta”.

Druga elekcja, w 1575 r., odbyła się na terenie wsi Wola Wielka, od której wzięła swój początek nazwa dzisiejszej dzielnicy Warszawy. Dziś jest tam plac u zbiegu ulic Obózowej i Jana Ostroroga. Była o wiele bardziej brutalna. Kiedy 12 grudnia prymas Jakub Uchański ogłosił królem cesarza Maksymiliana II, następnego dnia na polu elekcyjnym szlachta rzuciła się na niego z dobytymi szablami. Ktoś strzelił nawet z rusznicy do interreksa, zabijając jadącego obok prymasa kanonika. W atmosferze wzburzenia wybrano zatem Annę Jagiellonkę, przydając jej na męża księcia Siedmiogrodu Stefana Batorego.

Trzecia elekcja zaczęła się 30 czerwca 1587 r. i upłynęła pod znakiem walki dwóch stronnictw – Zamoyskiego i Zborowskich, z których każde popierało oczywiście innego kandydata. 3 marca sługa Zborowskich cisnął czekaniem w Stanisława Żółkiewskiego. Ten po

dwóch dniach rzucił się na przeciwnika z szablą i musiał uciekać z miasta. Na elekcję stawiała się licznie biedna szlachta mazowiecka, jak podaje Stanisław Grzybowski – „z kijami zamiast szabli, mieli niektórzy szyszaki z hubu świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej większej ważności”. Sejm elekcyjny zamienił się w demonstrację siły – Zamoyski przyprowadził ponoć 5 tys. prywatnego żołnierza, drugie tyle mieli Zborowscy, na polu omal nie doszło do bitwy. Ostatecznie, kiedy zamoyszczy i większość szlachty wybrali królewicza Zygmunta Wazę, Andrzej Zborowski kazał biskupowi kijowskiemu ogłosić królem księcia Maksymiliana Habsburga. Wojnę domową wygrał jednak Zamoyski i dzięki niemu książę zasiadł u nas na tronie jako Zygmunt III Waza.

Czwarta elekcja, w 1632 r., na której wybrano na króla Władysława IV Wazę, była jedną z najspokojniejszych. Tak samo następna – jego brata w 1649 r. Jednak po abdykacji Jana Kazimierza w 1669 r. odbyła się jedna z najbardziej burzliwych, gdyż rozwścieczona szlachta popierająca „Piastą” zaczęła strzelać do dygnitarzy. „Kiedy to poczną ognia dawać: senatorowie z miejsc w nogi, między karety, pod krzesła; rozruch, tumult. Zaraz inne chorągwie skoczyły w drugą stronę piechotę potrącać, deptać; piechota w rozsypek” – pisał o tym Jan Chryzostom Pasek.

Elekcja Jana III Sobieskiego w 1674 r. była ostatnią wolną w Rzeczypospolitej. Po jego śmierci Prusy, Austria i Rosja wmisczały się brutalnie w przebieg wyborów, terroryzując szlachtę i przeprowadzając głosowania pod szablami i bagnietami sprowadzonych do Rzeczypospolitej żołnierzy. Może właśnie dlatego elekcja Augusta III Sasa przeprowadzona została po raz drugi we wsi Kamion, a nie na Woli. ©

SZYBKE RACUCHY Z CUKINII NA MAŚLANCE

Adam Kozanecki, rocznik '84, pochodzi z malowniczo położonego nad Wartą w samym centrum Polski Uniejowa. Pedagog, ekonomista, ekspert kulinarny. Finalista programu „MasterChef”, od wielu lat związany z kuchnią, skrywa mnóstwo kulinarnych sekretów. Z ogromną pasją miesza w garach. Podczas wspólnego gotowania zabiera w niesamowitą podróż po niemalże każdym regionie. Odkrywa tradycyjne metody tworzenia dań, przywołując najcenniejsze wspomnienia. Wskrzesza zapomniane receptury, które urzekają prostotą. Swobodnie kreuje nieziemskie spotkania w kuchni, syca brzuchy i raduje podniebienie. Dzisiaj poleca szybkie sezonowe danie, które ucieszy każdego.

oczka, lekko posól i odstaw na 10 min, po tym czasie wyciśnij z niej sok (należy odsączyć wodę). Do przygotowanej cukinii dodaj posiekany szczypiorek, wbij dwa jajka, dodaj maślanę, dopraw solą i pieprzem, można dodać trochę ostrej papryczki chili. Ostatni etap to dodanie trzech czubatych łyżek mąki pszennej. Jeżeli chcesz, to zastąp ją inną mąką, np. z ciecierzycy. Całość wymieszaj. Placuszki nakładaj łyżką stołową na rozgrzany olej i smaż na złoto z obydwu stron. Gdy będą gotowe, odsącz na ręczniku kuchennym, od razu podawaj. Można lekko skropić pozostałą maślaną i oprószyć posiekany koprem. Są obłędne, proste i pyszne! ☺☺

oprac. raw

Składniki:

- 1 cukinia średniej wielkości, teraz sezon na nią idealny
- pęczek szczypiorku, najlepiej tego od cebuli dymki, wraz z białą częścią
- 3 łyżki mąki pszennej, opcjonalnie inna mąka, może być z ciecierzycy
- 2 jajka od szczęśliwych kur
- 100 g maślanki naturalnej
- sól
- pieprz
- opcjonalnie: szczypta ostrej papryki w proszku lub płatków chili
- olej do smażenia
- koper do dekoracji i smaku

Przygotowanie:

Umytą cukinię zetrzyj na tarce do jarzyn na grubych



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

10 lat jedzenia

Foodies. Kto 10 lat temu znał to słowo? Niewiele. Dzisiaj też nie powiem, żeby wszyscy, ale jednak już więcej osób wie, że foodie to znawca i pasjonat jedzenia. A jedzenie to obecnie wielki temat. Powstały nowe zawody: trener jedzenia, barista, dziennikarz kulinarny. Rzeźnika zastąpił butcher, rogalik zamienił się w croissanta, przysmak stał się gourmet.

„Jedzenie i jego różnorodne formy zawładnęły naszą wyobraźnią i stały się tematem numer 1 towarzyskich small-talków. Hashtag #foodporn skolonizował Instagram, a otwarcie każdej nowej restauracji odbija się szerokim echem w środowisku foodies. Tym trudniej przypomnieć sobie, że zaledwie 10 lat temu za szczyt nowoczesności uchodziło sushi, a burger kojarzył się wyłącznie z fast foodem” – donosi raport „Jak zaczęliśmy jeść sushi, hummus i curry” portalu pyszne.pl, poświęcony rozwojowi kultury kulinarnej w Polsce w latach 2010–2020.

Ja cofnę się w czasie jeszcze bardziej. W roku bodajże 1989 w delikatesach przy Marszałkowskiej w Warszawie zobaczyłam brokuły. Zachwycona kupiłam chyba ze 3 kg, bo sprzedawano je na wagę. Stojąca za mną kolejka zaciekała się: Co to takiego? W Polsce brokuły były jeszcze warzywem kompletnie nieznanym.

Ale niedługo potem horyzont kulinarny w Polsce

zaczął się rozszerzać. Dzisiaj brokuły są codziennością na polskich talerzach, w barach i stołówkach szkolnych. Zdrowe i to się liczy. Poza otwarciem się na zagraniczne przysmaki tym, co interesuje Polaków najbardziej, jest bowiem zdrowie. „Najważniejszym trendem



FOT. ADRIAN STOK

okazało się zdrowe odżywianie, wybrane przez jedną trzecią Polaków. Wegetarianizm i weganizm wpłynęły najsilniej według 9 proc. z nas, przy czym w grupie wiekowej 18–24 lata uważa tak prawie dwa razy więcej osób” – czytamy w raporcie pyszne.pl.

Poza zdrowiem Polacy interesują się oczywiście trendami kulinarnymi, modnymi daniami i kuchniami świata. Takie zainteresowanie zadeklarował co drugi Polak. Jednak zainteresowanie, jakie młodzi okazują hummusowi i kimchi, równe jest brakowi zainteresowania gotowaniem we własnym domu. Single i bezdzietne pary nie zadają sobie tego trudu. Zakupy, stanie przy kuchni, zmywanie – to nie dla nich. Po co się męczyć, skoro można zamówić jedzenie z restauracji? W dodatku kosztuje tyle samo. A jeszcze gdy COVID przyciska... ☺☺



JAK MAKIEM ZASIAŁ

MARCIN MAKOWSKI

Europa w miniaturze

Zycie jest bardzo długie – napisał poeta T.S. Eliot w poemacie „Próżni ludzie”. Bywa również zaskakujące. Właśnie w taki, w dużej mierze przypadkowy, sposób, nie mając większego związku z żeglarsstwem, wylądowałem na pokładzie jachtu morskiego. Jego droga rozpoczęła się pod koniec sierpnia przed świtem w Gdyni, wiodła przez osamotnione wyspy Szwecji, jej portowe miasta oraz duński Bornholm, a skończyła się prawie po dwóch tygodniach o zmierzchu w Kołobrzegu.

Nie zdarzyło mi się wcześniej doświadczyć czegoś nawet zbliżonego do uczucia, które towarzyszy człowiekowi siedzącemu w kamizelce ratunkowej w nocy na środku Bałtyku przy deszczu i wietrze przekraczającym 30 węzłów. Widoczność ogranicza się wtedy do około metra wokół pokładu, a szansa na wyłowienie pechowca, który

znajdzie się za burtą, nie przekracza 4 proc. Jedyne, co zostaje, to czekać, pilnować zmiany wacht i wykorzystać każdą godzinę, która przypada na odpoczynek w trwającej prawie dwa dni przeprawie. W inny sposób nie da się jednak dotrzeć – i chyba na tym polega cały urok masochistycznego sportu zwanego żeglarsstwem – do miejsc, których porty są zbyt małe, aby mógł w nich zaciumować jakikolwiek prom. A właśnie tam znajduje się mało znana Europa w miniaturze, która wygląda, jakby zastygła w czasie na przełomie wieków XIX i XX.

Wyłaniając się leniwie zza horyzontu, z malowniczymi jednopiętrowymi domkami, latarniami morskimi z czerwonej cegły i żyłtymi społecznościami, przypomina trwające poza polityką Tolkienowskie Shire. I jakąś idyllą, w której nie panują kontynentalne prawa ograniczonego zaufania, w rzeczywistości jest. Są bowiem

jeszcze w Europie miejsca, w których można zostawić otwarty bar wraz z lodówką piwa i pokojami gościnnymi, a następnie opuścić maleńkie Norraskär, wracając na jego skalisty brzeg w następnym sezonie, zastając wszystko w nienaruszonym porządku. Są miasteczka takie jak Hanö, okupowane przez skandynawskich emerytów w ich domkach z idealnie wystrzyżonymi trawnikami. Jest Bornholm, na którym nie uświadczysz się odrapanych elewacji, murów wymalowanych graffiti czy reklam gofrów czy kebabów. Spotka się za to stoiska z warzywami i wyprzedaże, których pilnują jedynie poczucie przyzwoitości i założenie, że wrzuci się do skarbonki tyle koron, ile głosi etykieta położona obok wyhodowanych samodzielnie pomidorów.

Wiem, że ten świat się kurczy. Nadal jednak, również w Polsce, możemy się od niego czegoś nauczyć. ©

REKLAMA

PRENUMERATA

PRENUMERATA ROCZNA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
W PREZENCIE KSIĄŻKA

RYSZARD WOLAŃSKI
„EUGENIUSZ BODO.
JUŻ TAKI JESTEM ZIMNY DRAŃ”

Cena: 240 zł
Oszczędność: 388 zł

NOWOŚĆ!
+
e-wydanie



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

NOWY NUMER KONTA: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**Prenumerata na rok 2020 w cenach roku 2019
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664 TELEFON: 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Thanos, czyli utopia i pamięć



ANDRZEJ NOWAK

Czego można się dowiedzieć z najbardziej kasowego filmu w historii kina (zarobił w ciągu roku blisko 3 mld dol.)? Przekonałem się o tym, z ponad rocznym opóźnieniem wchodząc w ostatni odcinek „kinowego świata Marvela”. „Avengers: Koniec gry” to tytuł czwartego filmu z cyklu rozpoczętego w roku 2012, a skupiającego bohaterów serii komiksów, zainaugurowanej, jeszcze zanim Hitler ze Stalinem napadli na Polskę, w roku 1939. Wśród owych bohaterów są m.in. reprezentujący dobro Spider-Man, Hulk, Thor, Iron Man, Ant-Man, Kapitan Ameryka, Strażnicy Galaktyki, a także źli – m.in. Loki czy Thanos. Na pewno wielu czytelników „Do Rzeczy” zna ich lepiej ode mnie. Zachęcony przez syna obejrzałem „Koniec gry” oraz „Avengers: Wojna bez granic”.

Greta Thunberg, a dziś „socjalistyczna demokratka” w kongresie USA Alexandria Ocasio-Cortez i lansowany przez nią Green New Deal są symbolami tej samej postawy. Ma ona miliony wyznawców, głoszą, zalecają i rozwijają jej postulaty najsilniejsze media światowe, ucząc szkoły i uniwersytety. Jeśli człowiek jest największym zagrożeniem dla świata, to rozwiązanie nasuwa się samo... Jest już ruch kobiet, które deklarują, że nie będą miały dzieci, żeby nie powiększać zniszczeń uniwersum. Nordycki uczony, Magnus Soderlund, poszedł nawet w realnym świecie dalej, sugerując pod koniec 2019 r., że warto rozważyć konsumowanie (po jakiejś przeróbce, pewnie ciepłej) ludzkich zwłok, żeby zmniejszyć zużycie innych środków natury przez nasz pasożytniczy gatunek. Filmowy Thanos może pójść jeszcze dalej i, korzystając z czarodziejskiej rękawicy, przeprowadzić dobroczynny holokaust, tyle że bez rasowych uprzedzeń. I tu dopiero zaczyna się interesująca lekcja. Tytan jest rozczarowany swoim dziełem: „Myślałem, że eliminując połowę życia, zapewnię rozkwit drugiej połowie. Ale jak długo pozostają ci, którzy pamiętają, co było wcześniej [świat przed likwidacją połowy ludzkości], zawsze będą tacy, którzy nie będą potrafili przyjąć tego, co może być. Będą się opierać”. Gorzkie słowa Thanosa wyrażają ubolewanie nad tym, że ludzie mogą nie być zadowoleni z utopii, jaką on chce stworzyć dla ich (tych, którzy przeżyją) dobra. Problemem jest pamięć o tych, którzy byli – i zniknęli – oraz o świecie, który był, rzeczywisty, ze swoimi wadami, ale nasz, swojski, nieutopijny, niezaplanowany przez mądrzejszego od nas Tytana. Thanos znajduje więc ostateczne rozwiązanie tego problemu: trzeba zlikwidować nie połowę, ale wszystkich (poza mądrym Tytanem oczywiście i jego pomocnikami).

Trzeba cały stary świat zniszczyć i zbudować od zera nowy: „Taki, który nie będzie wiedział, co zostało stracone, tylko to, co zostało dane. Wdzięczny świat”. Twórca utopii musi wyruszyć ze swojej pięknej samotni, pogrążonej w urokach nieskazanej natury, żeby dokończyć dzieła zniszczenia starego świata, które będzie zarazem dziełem tworzenia nowego. Naprzeciw stają mu jednak ci, którzy rzeczywiście pamiętają stary świat i zamieszkujących ich ludzi: swoich bliskich (i dalszych, ale też ludzi). Historia starcia tych dwóch sił – utopii i pamięci, nienawiści do świata i współczucia dla indywidualnych ludzi, z których składa się „abstrakcyjna” ludzkość – to jest oś pełnej akcji dwóch ostatnich odcinków świata Marvela. Ale może jest to także oś historii, która dzieje się wokół nas? Projekty utopii są ogłaszane z coraz większą pewnością, poczuciem absolutnej, wyłącznej racji. Sama myśl o oporze przeciw nim staje się „zbrodniomysłą” – z wyroku najbardziej wpływowych mediów, instytucji pozarządowych i rządów, uniwersytetów i celebrytów.

Czy znajdują się „Avengersi”, superbohaterowie, którzy zatrzymają w naszej rzeczywistości mnożących się kandydatów na Thanosa? Filmowa saga kończy się melancholijnym akcentem politycznej poprawności. Główny męski bohater przekazuje władzę kobiecie; biały przekazuje tarczę, symbol swych mocy, afroamerykańskiemu bohaterowi. Ale może to dobra odpowiedź? Kobiety, skazane na zniszczenie swej kobiecej natury przez twórców nowych utopii, i mieszkańcy „czarnej” Afryki w pierwszej kolejności przewidywani przez tychże twórców (od Henry’ego Kissingera poczynając) do masowych aborcji i praktyk sterylizacyjnych – może właśnie w tych grupach znajdują się najbardziej zmotywowani do walki obrońcy ludzkiego świata? ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Główną postacią obu filmów jest Thanos – szalony Tytan, który chce zgładzić równo połowę ludzkości. Statystycznie, bez emocji. Po co? Dla dobra świata, którego równowagę zakłócił nasz zbyt ekspansywny gatunek. Powinno nas być co najmniej dwa razy mniej, żeby świat – przytłoczony zbyt szybko rozmnażającymi się i panoszącymi zuchwałe ludźmi – zakwitnął znów. Brzmi znajomo? Kiedyś głosił podobne poglądy Malthus, wczoraj

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdyby w roku 1955 w jakiejś knajpie na Kubie ktoś po rumie zaczął opowiadać, że za pięć lat kapitalizm zostanie pokonany przez rewolucję marksistowską, zostałby wyśmiany, a kumple dolaliby mu więcej rumu – napij się i uspokój, bredzisz.

Gdyby po drugim rumie nadal opowiadał, że za pięć lat gospodarka kraju zostanie znacjonalizowana, że władze rewolucyjne wsadzą tysiące ludzi do obozów, a wszystko to dokona się bez inwazji z Rosji czy Chin, zostałby uznany za lunatyka. A jednak stało się. Zwyciężyła rewolucja, zmieniono ustrój z kapitalistycznego na marksistowski, Kuba stanęła w gospodarczej ruinie i trwa w tym stanie do dziś.

Kto to zrobił? Niewielka grupa zarośniętych bandytów cuchnących kwaśnym potem i cygarami najgorszego gatunku. Nie było sowieckiej inwazji, nie było zagranicznego wojska – to wszystko przyszło później jako bratnia pomoc z Moskwy. Zrobili to sobie sami – zniszczyli własny kraj i zamienili go w kolonię karną. W ciągu dziesięciolecia stał się nie do poznania i nie do zniesienia.

Przed rewolucją na Kubie osiedlali się ludzie ze świata (najślawniejszy to pewnie Ernest Hemingway, ale byli inni i było ich wielu). Po rewolucji na Kubie nie osiedlał się już nikt, za to kilka milionów obywateli uciekło i ucieka nadal. To cecha wspólna krajów komunistycznych – z tego „raju” się ucieka, bo jest nie do zniesienia. Dlatego powstał mur berliński, dlatego w PRL tak trudno było dostać paszport. Gdyby komunistyczne „raje” nie trzymały swoich



FOT. W. CEJROWSKI/LUDŹ. MORZOWSKI

GDYBY...

obywateli siłą, groziłoby im wyludnienie.

W roku 1998 w knajpie w Wenezueli piłem z kumplami rum. I zacząłem im opowiadać, że jeżeli w grudniu tamtego roku w wyborach prezydenckich wygra Hugo Chávez, to za kilka lat kapitalizm zostanie pokonany przez rewolucję marksistowską, a w Wenezueli będzie tak jak na Kubie. Zostałem wyśmiany – napij się i uspokój, bredzisz.

Po drugim rumie nadal opowiadałem, że jeżeli wygra Chávez, to za kilka lat gospodarka kraju zostanie zrujnowana, będzie nacjonalizacja przemysłu naftowego, a wszystko to dokona się rękami własnych obywateli. Uznali mnie za lunatyka.

A jednak stało się. W ciągu 10 lat najbogatszy kraj Ameryki Południowej stanął w gospodarczej ruinie i trwa w tym stanie do dziś. A moi kumple na ulicach Caracas polują na gołębie i psy, bo nie

ma co jeść. Służba zdrowia jest powszechna i państwowa, tak jak w Polsce. I z tego powodu nawet lewacka stacja CNN pokazuje kobiety rodzące na ulicy. W USA coś takiego się nie zdarza nigdy – nawet gdybyś był nielegalnym imigranem bez ubezpieczenia, urodzisz w szpitalu, a potem szpital będzie się martwił rachunkiem za usługę.

Kiedy więc dziś w Stanach Zjednoczonych ktoś opowiada podobne rzeczy – o realnym zagrożeniu komunistyczną rewolucją – nie nazywajcie go lunatykiem. Wie, co mówi! Najbogatszy kraj świata może się w ciągu pięciu lat zamienić w marksistowskie piekło. I nie potrzeba do tego inwazji z Chin, wystarczy Antifa oraz jej zbrojne ramię BLM, które napada, pali, bije, terroryzuje i zabija.

Antifa jest organizacją terrorystyczną. „Pokojuowe protesty” BLM to pożary

i przemoc. Gdy listopada-wy wybory wygra Biden, Ameryka stanie się krajem socjalistycznym. Służba zdrowia zostanie upaństwowiona (patrz: program wyborczy demokratów), co oznacza, że miliony osób zatrudnionych w prywatnych ubezpieczeniach trafią na bezrobocie. Wprowadzony zostanie zakaz wydobywania węgla i ropy (patrz: program wyborczy demokratów), co oznacza, że dziesiątki milionów osób zatrudnionych w przemyśle naftowym i wydobywczym trafią na bezrobocie. Skończy się wojna celna z Chinami (program demokratów), co oznacza, że kolejne miliony miejsc pracy znikną w USA, bo taniej będzie to samo produkować w Chinach. Do sfinansowania darmowej edukacji, darmowych mieszkań komunalnych i zasiłków dla rosnącej rzeszy bezrobotnych wprowadzone zostaną nowe wysokie podatki w tym VAT (patrz: program demokratów!!!), co oznacza... Margaret Thatcher ujęła to tak: problem z socjalizmem polega na tym, że kiedyś kończą się cudze pieniądze i wtedy po prostu na wszystkim brak pieniędzy.

Byłem w Wenezueli kilka razy za kapitalizmu i był to wtedy kraj bogaty ropą jak Kuwejt. Ludzie z krajów sąsiednich pchali się tam nielegalnie – za chlebem. A gdy tam pojechałem 10 lat po wprowadzeniu komuny, benzynę racjonowano. Owszem była tania, ale jej brakowało. Ludzie nielegalnie uciekali do Kolumbii – za chlebem.

Jeśli więc w tym roku wybory wygra Joe Biden, to w USA też nastąpi gospodarcza ruina, a kto uważa, że jestem lunatykiem, niech poczeka lat... osiem, czyli dwie kadencje. Tyle wystarczy, by kraj, do którego przyjechałem z miłości, został rozmontowany. ©©

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY**

**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



NOWOŚĆ!



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER
„SEKRETNE ŻYCIE AUTORÓW
LEKTUR SZKOLNYCH.
NIE TACY ŚWIĘCI JAK
ICH MALUJĄ”

~~337~~ zł



139,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
198 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

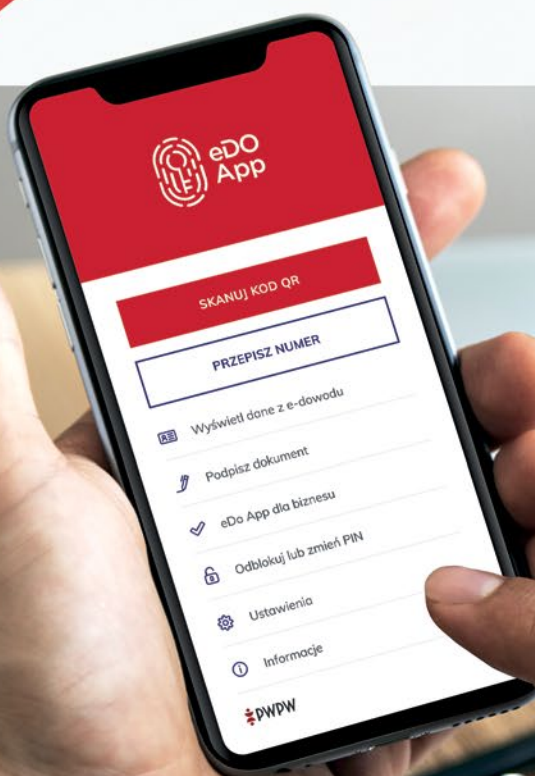
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Rewolucja w potwierdzaniu tożsamości



BEZPIECZEŃSTWO
TOŻSAMOŚCI



OGRANICZENIE
RYZYKA NADUŻYCIA
FINANSOWEGO



REDUKCJA
KOSZTÓW



OSZCZĘDNOŚĆ
CZASU

Szukasz nowych możliwości technologicznych, usprawniających procesy (np. KYC) w Twojej firmie? Dbasz o bezpieczeństwo swoich klientów? Twój biznes opiera się na weryfikacji tożsamości lub zawieraniu umów, w tym tych podpisywanych na odległość?

Sprawdź jakie korzyści Twojej firmie może przynieść integracja z eDO App (API).

Umów się na prezentację produktu już teraz!

Więcej na **www.edoapp.pl**